

Jules Verne

Czarne Indye

SPIS TREŚCI

Rozdział I	
Dwa listy z sobą sprzeczne.	3
Rozdział II	
W drodze.	7
Rozdział III	
Pod ziemią Zjednoczonego Królestwa.	10
Rozdział IV	
Sztolnia Dochart.	14
Rozdział V	
Rodzina Ford.	21
Rozdział VI	
Kilka zjawisk niezrozumiałych.	27
Rozdział VII	
Doświadczenia Szymona Ford.	31
Rozdział VIII	
Wystrzał dynamitowy.	37
Rozdział IX	
Nowa Aberfoyle.	40
Rozdział X	
Droga i powrót.	42
Rozdział XI	
Damy ogniste.	47
Rozdział XII	
Wyprawa Jakóba Ryan.	52
Rozdział XIII	
Miasto węglowe.	59
Rozdział XIV	
Zawieszony na nitce.	63
Rozdział XV	
Nella.	68
Rozdział XVI	
Na drabinie wahadłowej.	74
Rozdział XVII	

Wschód słońca.	78
Rozdział XVIII	
Od jeziora Lomond do jeziora Katrine.	85
Rozdział XIX	
Ostatnia groźba.	91
Rozdział XX	
Pokutnik.	96
Rozdział XXI	
Wesele.	100
Rozdział XXII	
Legenda starego Silfaksa.	104

Rozdział I

Dwa listy z sobą sprzeczne.

*Do Wielmożnego J. R. Starr. Inżyniera
w Edynburgu«. Canongate Nr. 30.*

»Jeżeli pan James Starr zechce przybyć jutro do kopalni Aberfoyle, sztolni Dochart, szybu Yarow, otrzyma wiadomość, która go mocno zajmie.

»Pan James Starr będzie oczekiwany przez dzień cały, na dworcu Callander, przez Henryka Ford, syna dawnego nadsztygara Szymona Ford.

»Pan James Starr proszony jest o zachowanie powyższego zaproszenia w tajemnicy«.

Oto treść listu, który James Starr odebrał pierwszą pocztą dnia 3 Grudnia 18... a list ten nosił na sobie stempel biura pocztowego Aberfoyle, w hrabstwie Stirling, w Szkocji. Ciekawość inżyniera była wielce pobudzoną. Nie przeszło mu nawet przez myśl, by list powyższy mógł zawierać jakąś mistyfikację. Znał oddawna Szymona Ford, jednego z najdawniejszych nadsztygarów kopalni Aberfoyle, w której to kopalni on sam, James Starr, był dyrektorem przez lat dwadzieścia – noszącym w kopalniach angielskich nazwę »viewer«.

James Starr był mężczyzną silnie zbudowanym, miał lat pięćdziesiąt pięć, ale wyglądał zaledwie na czterdzieści. Należał do starożytnej rodziny edynburskiej, której był jednym z najznakomitszych członków. Prace jego przynosiły zaszczyt szanownej korporacji inżynierów, która rok rocznie coraz głębiej zapuszcza się w podziemiach węglodajnych Zjednoczonego Królestwa, tak samo w Cardiff, Newcastle, jak i w innych hrabstwach Szkocji. Przedewszystkiem jednak nazwisko Jamesa Starr zyskało ogólne uznanie w głębi tych tajemniczych kopalni Aberfoyle, które się łączą z kopalniami Alloa i obejmują część hrabstwa Stirling. Tam to spędził większą część swego życia. Prócz tego James Starr należał do stowarzyszenia archeologów szkockich,

którego był nawet prezesem. Był również członkiem czynnym w »*Royal Institution*«, a *Przegląd Szkocki* drukował często znakomite artykuły jego pióra. Jak widzimy, był to jeden z tych uczonych praktycznych, którym Anglia zawdzięcza swój rozwój. To też poważano go wielce w tej starej stolicy Szkocji, która nie tylko pod względem fizycznym ale i pod umysłowym zasługuje na nazwę »Aten północnych«.

Wiadomo nam, że Anglicy nadali ogromnym swym kopalniom węgla nazwę bardzo charakterystyczną. Nazywają je słusznie »Czarnymi Indyami«, a Indye te więcej się może przyczyniły niż Wschodnie do powiększenia nieprzebranych skarbów i bogactw Zjednoczonego Królestwa. Cały zastęp górników pracuje dniem i nocą nad wydobywaniem z podziemia brytańskiego tego drogocennego węgla, który, jako materiał opałowy, stał się niezbędnym żywiołem w świecie przemysłowym.

Podówczas jeszcze kres oznaczony przez specjalistów na wyczerpanie zupełne kopalni węgla zbyt był oddalony, i nie było obawy braku ich w krótkim czasie. Pokłady węglane na dwóch półkulach rozciągały się szeroko. Fabryki do tyłu użytków służące, lokomotywy, lokomobile, parowce, fabryki gazu i t. d. mogły się nie troszczyć o brak kopalnego paliwa. Wprawdzie zapotrzebowania tak wzrosły w ostatnich latach, że niektóre pokłady zostały wyczerpane do najcieńszych żył prawie. Dziś, opuszczone podziemne przejścia i szyby, niepotrzebnie dziurawiły powierzchnię gruntu otworami swymi.

Tak właśnie wyglądały kopalnie Aberfoyle.

Przed dziesięciu laty winda uniosła ostatnią beczkę węgla z jej pokładów. Materiał »podziemny«, maszyny przeznaczone do jazdy mechanicznej po szynach galeryi, wózki tworzące pociągi, tramwaje podziemne, klatki służące do wydobywania materiału kopalnego ze studni, rury, w których zgęszczone powietrze przyspieszało rozbijanie otworów w sztolniach, – jednym słowem wszystko, co należało do przyrządów eksploatacyjnych, zostało wydobyte z głębi szybów i pozostawione na powierzchni gruntu. Kopalnia wyczerpana stała niby szkielet olbrzymiego mastodonta, któremu odebrano wszystkie organa żywotne, pozostawiając jedynie kościoskład fantastyczny.

Z tego całego materiału, zostały jedynie długie drabiny drewniane, służące jeszcze do spuszczenia się do kopalni przez szyb Yarow, jedyny, który się łączył ze sztolnią Dochart, a raczej z jej dolnymi galeryami, od czasu ustania robót w tej stronie.

Na zewnątrz budynki chroniące niegdyś roboty »dienne« wskazywały jeszcze miejsce skąd się spuszczały szyby wyżej wymienionej sztolni, dziś już zupełnie opuszczonej tak samo, jak innych galeryi i chodników, których całość tworzyła kopalnie Aberfoyle.

Smutny to był dzień, gdy po raz ostatni górnicy opuścili kopalnię, w której tyle lat przeżyli.

Inżynier James Starr zwołał kilka tysięcy pracowników, którzy tworzyli czynną i odważną ludność kopalni. Górnicy wszelkiego rodzaju, nadzorcy czyli nadsztygarzy, sztygarzy, kowale, cieśle, wszyscy wraz z kobietami, dziećmi i starcami, pracownicy wewnętrzni i zewnętrzni, zgromadzili się na olbrzymim podwórzu sztolni Dochart, wypełnionem dawniej wydobywanym węglem kopalni.

Pocziwi ci ludzie, których potrzeby życia miały niezadługo po świecie

rozproszyć, rozpamiętywali milcząc szereg lat, który tu spędzili w starej Aberfoyle, gdzie z ojca na syna przechodziły ich zajęcia, i porzucając je na zawsze czekali ostatniego pożegnania inżyniera. Towarzystwo kopalni nakazało rozdanie im, jako wynagrodzenie, przewyżki dochodów roku bieżącego. Nie wiele to co prawda wynosiło, ponieważ wyczerpane żyły tak mało wydawały, że eksploatacja z niewielką przewyżką pokrywała koszty; zasilek ten jednak miał wystarczyć im do chwili znalezienia zajęcia w sąsiednich kopalniach.

James Starr stanął we drzwiach obszernego budynku, pod dachem którego tak długo działały olbrzymie maszyny parowe studni.

Szymon Ford, nadsztygar w sztolni Dochart, liczący podówczas lat pięćdziesiąt pięć i kilku innych sztygarów otoczyło inżyniera.

James Starr zdjął kapelusz. Górnicy z odkrytymi głowami milczeli ponuro.

Ta scena pożegnania miała w sobie coś wzruszającego a równocześnie i wzniosłego.

– Przyjaciele moi – rzekł inżynier – nadeszła chwila rozłączenia naszego. Kopalnie Aberfoyle, które od lat tylu łączyły nas w wspólnej pracy, wyczerpane. Poszukiwania nasze nie odkryły już nowej żyły i ostatni kawał węgla został wydobyty ze sztolni Dochart!

Mówiąc to James Starr pokazywał górnikom odłam czarnego węgla, który leżał opodal.

– Kawał ten węgla, przyjaciele moi – mówił dalej – jest to jakby ostatnia kropla krwi, która wypłynęła z żył kopalni! Zachowamy go, jakeśmy zachowali pierwszy odłamek, wydobyty sto pięćdziesiąt lat temu z pokładów Aberfoyle. Pomiędzy dwoma temi odłami przeszło w szybach naszych wiele pokoleń pracowników! Dzisiaj już koniec! Ostatnie słowa, które do was zwraca wasz inżynier, są słowami pożegnania. Żyliście z tej kopalni, która się wyczerpała pod waszą dłoń. Praca była ciężką, ale dla was nie bez korzyści. Wielka nasza rodzina rozpieczęcie się po świecie i niema nadziei by się kiedy na nowo zebrali rozrzućeni jej członkowie. Nie zapominajcie jednak, żeśmy długo z sobą żyli i że górnicy z Aberfoyle mają obowiązek wspierania się wzajemnie. Skoro się razem pracowało, niepodobna być sobie na zawsze obcymi. Będziemy czuwać nad wami i wszędzie gdzie będziecie uczciwymi ludźmi, otrzymacie jak najlepsze polecenia. Żegnajcie mi przyjaciele, niech was Bóg prowadzi!

James Starr wyrzekłszy te słowa, objął jednego z najstarszych pracowników kopalni, który rzewnymi łzami zapłakał.

Następnie nadsztygarzy różnych szybów przychodzili kolejno ścisnąć dłoń inżyniera, podczas gdy górnicy powiewali w górze czapkami, wołając:

– Żegnaj nam, James Starr, nasz dyrektorze i przyjacielu!

To pożegnanie pozostawiło niezatarte wspomnienie w sercach poczciwych górników. Powoli cały ten tłum opuścił podwórze. Pusto się zrobiło wkoło inżyniera. Czarny grunt drogi, wiodącej do sztolni Dochart, zadźwięczał raz ostatni pod stopami górników i milczenie grobowe zaległo w tej ożywionej dotąd kopalni Aberfoyle.

Jeden tylko człowiek pozostał przy Jamesie Starr. Był to nadsztygar Szymon Ford. Przy nim stał młody piętnastoletni chłopiec, syn jego Henryk, który już od lat kilku należał do pracowników podziemnych.

James Starr i Szymon Ford znali się dobrze i co za tem idzie szanowali się wzajemnie.

– Bądźcie zdrowi Szymonie! – rzekł inżynier.

– Bądź pan zdrow – panie James – odrzekł nadsztygar, a raczej pozwól mi powiedzieć sobie: Do widzenia!

– Tak, do widzenia Szymonie! – odparł James Starr. – Bądźcie przekonani, że będę rad ilekroć was spotkam i będę mógł z wami porozmawiać o naszej starej Aberfoyle!

– Wiem o tem, panie James.

– Dom mój w Edynburgu jest dla was otwartym.

– Edynburg! – rzekł dozorca wstrząsając głową – to daleko, bardzo daleko od sztolni Dochart!

– Daleko Szymonie! A gdzież zamyślacie mieszkać?

– Tutaj, panie James! My nie opuścimy naszej kopalni, naszej starej karmicielki, chociaż jej mleka w piersiach zabrakło. Żona moja, syn i ja pozostaniemy jej wierni!

– Żegnajcie więc Szymonie – zakończył inżynier, którego głos pomimo woli zdradzał wzruszenie wielkie.

– Nie, powtarzam jeszcze: do widzenia, panie James! nie zaś »żegnajcie!
« Jakem Szymon Ford, Aberfoyle jeszcze ujrzy pana!

Inżynier nie chciał pozbawić ostatniej iluzji biednego nadzorcy. Ucałował młodego Henryka, który nań patrzył ze wzruszeniem. Uścisnął po raz ostatni dłoń Szymona Ford i opuścił kopalnię.

Oto co się działo przed dziesięciu laty, ale pomimo chęci zobaczenia nadsztygara, James Starr więcej o nim nie słyszał.

I dziś, po dziesięciu latach rozłączenia, otrzymuje list od Szymona Ford, który go prosi o przybycie do dawnych kopalni Aberfoyle.

Jakąż wiadomość ciekawą mu zapowiadano? Sztolnia Dochart, szyb Yarow! Ileż wspomnień nazwy te w nim budziły! Tak, niezawodnie! Były to dobre czasy! Czasy pracy, czasy walki! Najlepsze chwile jego życia jako inżyniera!

James Starr odczytał list powtórnie. Obracał go na wszystkie strony i żałował wielce, że Szymon Ford paru słów objaśniających nie dodał.

Czyżby stary nadsztygar odkrył jaką nową żyłę? Nie, to było niemożliwe!

James Starr przypominał sobie jak drobiazgowo zostały przeszukane kopalnie Aberfoyle zanim wszelkie roboty ustały. Sam dyrygował ostatnimi sondowaniami, nie znajdując ani śladu pokładów. Próbowano nawet czynić poszukiwania pod pokładami czerwonej gliny dewońskiej, która najczęściej znajduje się pod węglem, ale i to napróżno. James Starr opuścił wiec kopalnię z zupełnem przeświadczeniem, że nie zawierała ona ani kawałka materiału palnego.

– Nie – powtarzał sobie – nie! to niemożliwe! Jakże można przypuścić, że to co mnie się nie udało, osiągnął Szymon Ford? Przecież stary nadsztygar dobrze wie, że jedna jedyna rzecz w świecie jest w stanie mnie zaciekawić, pocóż więc to tajemnicze zaproszenie?

Znał nadto Szymona Ford jako zręcznego górnika, obdarzonego dziwnym

instynktem w swoim fachu. Nie widział go od chwili, gdy kopalnie w Aberfoyle opuszczone zostały. Nie wiedział nawet co się stało ze starym, ani czym się zajmował, ani gdzie mieszkał z żoną i z synem. Wiedział tylko, że naznaczono mu teraz schadzki w szybie Yarow, i że Henryk, syn Szymona Ford, będzie go oczekiwał na dworcu Callander przez cały dzień następny. Chodzi więc niezawodnie o zwiedzenie sztolni Dochart.

– Pojadę, pojadę! – powtarzał James Starr, czując wzmagające się wzruszenie w miarę, gdy się chwila odjazdu zbliżała.

Około szóstej godziny wieczór, lokaj Jamesa Starr przyniósł mu list, nadeszły trzecią pocztą.

List ten zawarty był w kopercie grubej, nieforemnej, a adres na niej umieszczony wskazywał rękę nie przywykłą do władania piórem.

James Starr rozerwał kopertę. Zawierała ona kawałek papieru żółtkiego, który zdawał się być wydartym z jakiegoś starego bezużytecznego kajetu.

Na tym papierze znajdowało się tylko następujące zdanie:

»Inżynier James Starr napróżnoby się fatygował. List Szymona Ford jest obecnie bezcelowym«. Podpisu nie było.

Rozdział II

W drodze.

Bieg myśli Jamesa Starr zatrzymał się nagle, po odczytaniu drugiego listu, tak sprzecznego z pierwszym.

– Co to ma znaczyć? – pytał sam siebie.

Inżynier podjął kopertę rozdartą. Miała ona jak pierwsza, stempel biura pocztowego w Aberfoyle. Wyszła więc z tej samej miejscowości hrabstwa Stirling. Nie pisał tego listu stary górnik, to więcej jak pewno. Nie ulegało jednak wątpliwości, że autor tego drugiego listu znał tajemnicę byłego nadsztygara, ponieważ odwoływał wyraźnie zaproszenie do szybu Yarow.

Czyżby naprawdę pierwszy list nie miał już znaczenia? Czy też chciano przeszkodzić przyjazdowi Jamesa Stan? Czyż nie był to zamiar zniweczenia planów Szymona Ford?

Tak też myślał James Starr po głębszym zastanowieniu. Sprzeczność dwóch listów obudziła w nim tylko żywsze pragnienie dostania się do sztolni Dochart. Zresztą, jeżeli w tej całej sprawie zaszła jakaś mistyfikacja, lepiej było się o tem upewnić. Sądził jednak słusznie, że warto było raczej wierzyć pierwszemu listowi niż drugiemu, godniejszy bowiem wiary mógł być Szymon Ford aniżeli autor anonimu.

– W każdym razie – myślał sobie – ponieważ tak usiłują zachwiać moje postanowienie, warto niezawodnie dowiedzieć się o interesie Szymona Ford. Jutro będę na miejscu o naznaczonej godzinie!

Wieczorem James Starr kazał sobie wszystko przygotować do podróży.

Ponieważ nieobecność jego mogła się przedłużyć, uprzedził pana W. Elphiston, prezesa »Royal Institution«, że nie będzie mógł brać udziału w przyszłym posiedzeniu Towarzystwa. W taki sam sposób uwolnił się od kilku innych spraw bieżących. Następnie kazał służącemu przygotować i zapakować swą torbę podróżną i położył się spać, myśląc wciąż o otrzymanych listach.

Nazajutrz o piątej zrana James Starr wyskoczył z łóżka, ubrał się ciepło, ponieważ było chłodno i deszcz padał; opuścił swoje mieszkanie przy Canongate i udał się do przystani Granton, gdzie miał wsiąść na statek, który go w trzy godziny zawiezie do Stirling.

Po raz pierwszy może James Starr, przejeżdżając przez Canongate, nie odwrócił się i nie spojrzął na Holyrood, pałac dawnych władców szkockich. Nie widział przed frontem tegoż pałacu karyatyd, przyodzianych w stare kostyумы szkockie, składające się ze spódnicy zielonej, pledu kraciaty i torby z koziej skóry. Chociaż fanatycznie uwielbiał Waltera Scotta, jak każdy prawdziwy syn starej Kaledonii, nie rzucił tym razem okiem na oberżę, w której stanął Waverley i gdzie mu krawiec przyniósł jego sławny kostyum wojskowy, który się tak bardzo podobał naiwnej wdowie Flockhart. Nie zniżył głowy również przed małym placikiem, gdzie górale powystrzelili swoje naboje po zwycięstwie Pretendenta, nie bacząc na to, że mogli zabić Florę Mac Ivor. Zegar więzienny wznosił wśród placu swój historyczny cyferblat, spojrzął nań jedynie by się przekonać, że się nie spóźni na parowiec. W Nelher-Bow nie zauważył domu wielkiego reformatora Johna Knoxa, jedyne go człowieka, którego nie mogła pozyskać uprzejmość Maryi Stuart.

Skręciwszy na High-Street, ulicę drobiazgowo opisaną w powieści »L'Abbé«, szybkim krokiem posunął się do mostu olbrzymiego na Bridge-Street, który łączy trzy pagórki Edynburga z sobą.

W kilka minut potem James Starr przybył na dworzec »General Railway«, a po upływie 30 minut wysiadł z wagonu w Newhaven, ładnej rybackiej wiosce, położonej o milę od Leith, portu Edynburgskiego. Przyptyw morza pokrywał właśnie wybrzeże czarne i skaliste. Pierwsze bałwany uderzały o barykadę, podtrzymywaną tylko żelaznymi łańcuchami. Na lewo jeden z tych statków, które krążą po rzece Forth, pomiędzy Edynburgiem a Stirlingiem przymocowany był do przystani Granton.

W tej chwili komin *Księżcia Walii* wyrzucał ze swej paszczy kłęby czarnego dymu, a kocioł jego chrapał ponuro. Na odgłos dzwonka, spóźnieni pasażerowie przyspieszyli kroku. Mnóstwo tam było kupców, rolników, pastorów, tych ostatnich łatwo poznać było można po krótkich spodniach, długich rewerendach i wązkim, białym pasku, okalającym szyję.

James Starr przybył w samą porę. Lekko wskoczył na pokład *Księżcia Walii*. Chociaż deszcz padał gwałtowny żaden z pasażerów nie szukał schronienia w salonie parowca. Wszyscy stali nieruchomi, otuleni w pledy podróżne, niektórzy popijali od czasu do czasu dżyn lub whisky, rozgrzewając się w ten sposób. Ostatni odgłos dzwonka rozległ się, podniesiono kotwicę, zluźniono łańcuchy i *Księżę Walii* ruszył ku wyjściu z małego basenu, który go bronił przed bałwanami morza Północnego.

Firth of Forth, tak bowiem zowią zatokę wyżłobioną pomiędzy wybrzeżami hrabstwa Fife na północ, a hrabstwami Linlithgow, Edynburg i Haddington od południa, tworzy stronę wschodnią Forthu, rzeki niewielkiej w rodzaju Tamizy

lub Mersey o głębokich wodach, która, spływając z zachodu Ben-Lomond, wpada do morza pod Kinkardine.

Przeprawa od przystani Granton do końca tej zatoki trwałaby nie długo, gdyby nie konieczność zatrzymywania się przy rozmaitych stacyach obu wybrzeży i licznych z tego powodu zakrętów. Miasta, wsie, wybrzeża, rozciągają się po obu stronach Forthu wśród drzew i żyznej krainy. James Starr ukryty przed deszczem pod szeroką kładką, rzuconą pomiędzy bębniami, nie myślał się zachwycać tym krajobrazem, który cięły gęste strumienie deszczu. Szukał raczej okiem jakiego pasażera, któryby nań zwracał szczególniejszą uwagę. Zdawało mu się, że autor anonimowego listu powinienby się znajdować na statku. Ale nikt się na niego nie patrzył.

Książę Walii, opuszczając przystań Granton, skierował się do ciasnego przejścia, utworzonego przez dwa szpice South-Queensferry i North-Queensferry, poza którym to przejściem Forth tworzy rodzaj jeziora splewnego dla okrętów o stu tonnach. Wśród gęstej mgły widoczne były od czasu do czasu śnieżyste szczyty gór Grampian.

Niebawem parowiec stracił z oczu wioskę Aberdour, wyspę Colm, ozdobioną w górze ruinami klasztoru z XII wieku, resztki zamku Barnbogle, dalej Donibristle, gdzie został zamordowany zięć regenta Murray, następnie ufortyfikowaną wysepkę Garvie. Parowiec, posuwając się dalej, przebył cieśninę Queensferry, zostawił na lewo zamek Rosyth, gdzie dawniej zamieszkiwała linia Stuartów, pokrewna z matką Cromwella, przesunął się koło Blackness-Castle, również ufortyfikowanego, zgodnie z jednym z paragrafów traktatu Unii i wzdłuż małego portu Charleston, dokąd zwożą wapno z pokładów lorda Elgina. Nareszcie dzwonek *Księcia Walii* oznajmił stację Crombie-Point.

Czas był szkaradny. Deszcz pędzony gwałtownym wiatrem rozdrabniał się i mokrą kurzawą okrywał wszystkich.

James Starr nie mógł się ustrzedz od pewnego niepokoju. Czy też syn Szymona Ford będzie na oznaczonym miejscu? Wiedział z doświadczenia, że górnicy przyzwyczajeni do głębokiego spokoju w kopalniach niechętnie narażają się na zaburzenia atmosferyczne. Z Callander do sztolni Dochart i szybu Yarow można było liczyć cztery mile angielskie. Oto powody, które mogły opóźnić przybycie syna starego nadsztygara. Inżynier niepokoił się jednak bardziej myślą, że naznaczona w pierwszym liście schadzka, odwołaną była w następnym. Co prawda było się czem niepokoić.

W każdym razie, jeżeliby Henryk Ford nie znajdował się na stacyi, gdy pociąg stanie w Callander, James Starr postanowił udać się sam do sztolni Dochart, a nawet gdyby tego potrzeba było do wioski Aberfoyle. Tam otrzymałby niezawodnie wiadomości o Szymonie Ford i dowiedziałby się, w którym miejscu przebywał obecnie nadsztygar.

Książę Walii tymczasem nie przestawał podnosić wielkich bałwanów za swemi kołami. Nie było widać ani wybrzeży rzeki, ani wioski Crombie, ani Torryburn, ani Torry-house, ani Newmils, ani Carriden-house, ani Kirkgrange, ani Salt-Pans, po prawej stronie. Mały port Bowness, port Grangemouth, wyżłobiony przy ujściu kanału Klydy, zniknęły we mgle wilgotnej. Kulross, stary gród i ruiny opactwa Citeaux, Kinkardine i jego warsztaty budowlane, przed którymi się parowiec zatrzymał, Ayrth-Castle i jego wieża czworograniasta z XIII-go wieku, Clackmannan i jego pałac, zbudowany przez Roberta Bruce,

nie były nawet widoczne poza prostopadłymi strumieniami deszczu.

Księżę Walii zatrzymał się przed przystanią Alloa, gdzie kilku wysiadało pasażerów. James Starr uczył ścisnienie serca na widok tego miasteczka, gdzie dawniej dostawiano tak obficie węgiel eksploatowany w wielkich kopalniach, które żywiły taką liczną rzeszę pracowników. Fantazja jego wprowadzała go do tych podziemi, gdzie oskarży górników dźwięczały jeszcze dotąd. Kopalnie Alloa, łączące się prawie z kopalniami Aberfoyle, wzbogacały jeszcze hrabstwo, podczas gdy pokłady sąsiednie wyczerpane od tylu lat nie liczyły już ani jednego pracownika.

Parowiec, opuszczając Alloa, zagłębił się w rozliczne zakręty, które przebiega Forth na przestrzeni mil dziewiętnastu. Płynął szybko wśród drzew obu wybrzeży. Na chwilę jedną, gdy się niebo nieco rozjaśniło, ujrzano ruiny opactwa Kambuskenneth z XII-go stulecia. Następnie zamek Stirling i gród królewski tegoż nazwiska, gdzie rzeka Forth przecięta dwoma mostami nie może być spławna dla okrętów o wysokich masztach.

Zaledwie *Księżę Walii* przybił do brzegu, inżynier na brzeg wyskoczył. W pięć minut potem przybył na dworzec Stirling, a w godzinę wysiadł z pociągu na stacyi Callander, wioski położonej na lewym brzegu Teith.

Na dworcu czekał młody człowiek, który się natychmiast zbliżył do inżyniera.

Był to Henryk, syn Szymona Ford.

Rozdział III

Pod ziemią Zjednoczonego Królestwa.

Dla lepszego zrozumienia niniejszej powieści, musimy przypomnieć czytelnikom pochodzenie węgla kamiennego. Podczas formacji geologicznych, kula ziemi otoczona była gęstą atmosferą przesiąkniętą parami wodnymi i kwasem węglowym. Stopniowo pary te zgęstniały w formę deszczów potopowych, które padały jakby wyrzucone z miliona miliardów butelek wody selcerskiej. I w istocie był to jakiś płyn nasycony kwasem węglowym, który potokiem spływał na grunt miękkie, źle ubity, skłonny do zmian szybkich lub powolnych, pozostający w tym stanie półpłynnym zarówno pod działaniem promieni słonecznych, jako też żaru wewnętrznego. Ten żar wewnętrzny nie był jeszcze skoncentrowany w środku kuli ziemskiej. Skorupa ziemska, niezbyt gruba i nie zupełnie twarda, wypuszczała te ognie przez wszystkie pory. Stąd i roślinność nadzwyczajna, taka, jaka się zapewne znajduje na powierzchni planet, jak Wenus lub Merkury, bardziej zbliżonych do słońca niż ziemia.

Grunt łądu, źle jeszcze zbity, pokrył się olbrzymimi lasami. Kwas węglowy, tak potrzebny do rozwoju królestwa roślinnego, rozlanym był obficie. To też rośliny rozwijały się bujnie w formie drzewnej. Nie było ani jednej rośliny trawiastej. Wszędzie widniały olbrzymie gęstwiny drzew, bez kwiatów, bez

owoców, o monotonnym wyglądzie, i nie mogące dać pożywienia żadnej żywej istocie. Ziemia przeto nie była jeszcze gotową do przyjęcia królestwa zwierząt.

Czy chcecie wiedzieć z czego się składały te lasy przedpotopowe? Przeważała w nich klasa krytopłciowych roślin naczyniowych. Kalamity, odmiana trawy drzewiastej, lepidodendrony, rodzaj olbrzymich likopodów wysokich na dwadzieścia pięć do trzydziestu metrów, szerokich zaś na metr jeden u samej podstawy, asteropile, paprocie olbrzymich rozmiarów, których odbicie znaleziono w kopalniach świętego Stefana – wszystkie te rośliny wielkie podówczas, a obecnie możliwe do odszukania zaledwie w najlichszych gatunkach; takimi były w tej epoce okazy Flory w nielicznych odmianach, ale olbrzymie w rozwoju swoim, zapełniające wszystkie bez wyjątku lasy.

Drzewa te zapuszczały korzenie swoje w olbrzymią lagunę, nadzwyczaj wilgotną z powodu połączenia wód słodkich i morskich. Wchłaniały w siebie chciwie kwas węglowy, który po trochu zabierały z atmosfery i rzec można, przeznaczone były do składania go w formie węgla we wnętrzu kuli ziemskiej.

Była to, w istocie epoka trzęsień ziemi i poruszeń gruntu, wynikłych z rewolucji wewnętrznych i pracy plutonicznej, które zmieniały nagle zarysy jeszcze niepewne powierzchni ziemi.

Tu tworzyły się wywyższenia, które następnie zamieniały się w góry; tam znowu otchłanie, które zapełnić miały oceany i morza. Wtedy lasy całe zagłębiały się w skorupę ziemską, po przez pokłady ruchome, aż znalazły pod powierzchnią punkt oparcia, jakiś grunt pierwotny skał granitowych lub też przez samo nagromadzenie swoje, utworzyły całość odporną.

W istocie cały gmach geologiczny przedstawia się we wnętrzu ziemi w następującym porządku: grunt pierwotny, pokryty pokładem złożonym z ziem pierwszorzędnych, następnie ziemie drugorzędne, których pokłady węglowe zajmują niższe piętro, potem ziemie trzeciorzędne, a ponad niemi grunt, podlegający uprawom dawniejszym i obecnym.

W tej epoce, wody, których żadne nie wstrzymywały łożyska i które przez ogrzewanie, tworzyły się na wszystkich punktach kuli ziemskiej, toczyły się z łoskotem, urywając skałom, ledwie co utworzonym, materiał składowy łupku, piaskowca, wapna.

Wody te zatrzymując się ponad zatopionymi lasami, składały żywość gruntów, które następnie stanowiły wierzchnią warstwę ziem węglastych. Z czasem – liczącym się na miliony lat, grunty te stwardniały, ułożyły się w warstwy łupku, gliny suchej i lepkiej, żwiru i kamieni ponad całą masą zapadłych lasów.

Cóż się działo w tym olbrzymim kotle, gdzie zatopione materiały roślinne gromadziły się w różnych głębokościach?

Utworzyło się prawdziwe laboratorium chemiczne. Cały kwas węglowy zawarty w tych roślinach zamieniał się w węgiel pod wpływem ogromnego ciśnienia i wysokiej temperatury, którą sprowadzały ognie wewnętrzne, tak blisko niego podówczas leżące.

Tak więc jedno królestwo następowało po drugim w tej powolnej ale nieustannej przemianie. Roślinność przemieniła się w minerały. Wszystkie te rośliny, które żyły życiem czynnym na powierzchni globu, we wnętrzu jego

kamieniały. Niektóre okazy zamknięte w tym wielkim zielniku, nie tracąc formy pierwotnej, pozostawiały ślady swoje na innych prędkiej od nich skamieniałych, które je ścisnęły jak w prasie hydraulicznej, nieobliczonej siły. Równocześnie, skorupki ślimacze, a nawet całe żyjątka, jak gwiazdy morskie, polipy, nawet ryby i jaszczurki, przyniesione z wodami pozostawiały na węglu miękkim jeszcze swój odcisk czysto zarysowany i doskonale wyraźny.

Zdaje się, że nacisk odegrał znaczną rolę przy tworzeniu się pokładów węglowych. W istocie od siły tegoż nacisku zależne są rozmaite rodzaje węgla używanego w przemyśle.

W najniższych więc pokładach gruntu węglowego pojawia się antracyt, który prawie zupełnie pozbawiony materii lotnej, gazu, zawiera największą ilość węgla palnego. W wyższych warstwach ukazują się przeciwnie, lignit i drzewo zwęglone, materiały w których ilość węgla palnego jest o wiele mniejszą. Pomiędzy temi dwiema warstwami, stosownie do stopnia ciśnienia, jaki otrzymały, spotykamy żyły grafitu, węgiel tłusty lub chudy. Można prawie z wszelką pewnością twierdzić, że tylko z braku dostatecznego ciśnienia warstwa bagnałego torfu nie została zwęgloną.

Tak więc pochodzenie pokładów węgla w jakimkolwiek bądź punkcie kuli ziemskiej byśmy je odnaleźli, jest następujące: pochłonięcie przez skorupę ziemską wielkich lasów epoki geologicznej, później zwęglenie roślin po pewnym czasie, pod wpływem ciśnienia i gorąca i pod działaniem kwasu węglowego.

Jednakże, natura tak szczodra zwykle, nie zatopiła dosyć lasów, ażeby ich eksploatacja trwać mogła lat tysiące. Węgiel wyczerpie się kiedyś, jest to rzecz pewna. Świat maszyn zostanie skazany na świętowanie bezterminowe w świecie całym, jeżeli jaki nowy materiał opałowy nie zostanie wynalezionym do zastąpienia węgla. Przyjdzie czas, że już nie będzie pokładów węgla, chyba te, które leżą pod wiecznymi lodami w Grenlandyi, okolicy morza Baffińskiego i których wydobywanie jest prawie niepodobieństwem. Taki czeka los w przyszłości cały świat przemysłowy. Baseny węgla w Ameryce tak nadzwyczajnie bogate jeszcze, nad jeziorem Słone, w Oregon, w Kalifornii, przestaną kiedyś istnieć. Tak samo będzie z pokładami gór Alleghani, w Pensylwanii, Wirginii, Illinois, Indianie i Missouri. Choć pokłady węgla w Północnej Ameryce są dziesięć razy większe od wszystkich pokładów świata całego, to jednak sto wieków nie upłynie a potwór o milionowej paszczy, przemysł, pożre ostatni kawałek węgla na całej kuli ziemskiej.

W starym świecie brak się da prędkiej uczuć niż w nowym. Istnieją wprawdzie pokłady węgla kamiennego w Abisynii, w Natalu, Zambezie, Mozambiku, na Madagaskarze, ale eksploatacja ich regularna przedstawia największe trudności. Kopalnie w Birmanii, w Chinach, Kochinchinach, Japonii, Azji środkowej, zostaną szybko wyczerpane.

Anglicy opróżnią niebawem Australię z węgla dosyć obficie umieszczonego w jej wnętrzu, zanim jeszcze dzień nadejdzie, gdy zbraknie węgla w Zjednoczonym Królestwie.

Zobaczymy cyfry, które nam wykażą ilość węgla wydartego z ziemi i spalonego od odkrycia pierwszych pokładów. Baseny węglowe w Rosyi, Saksonii i Bawaryi wynoszą sześć kroć sto tysięcy hektarów, w Hiszpanii sto pięćdziesiąt tysięcy. Baseny w Belgii, długie na czterdzieści mil, szerokie na

trzy mile, liczą również sto pięćdziesiąt tysięcy hektarów. We Francji, basen pomiędzy Loarą a Rodanem, liczy około trzysta pięćdziesiąt tysięcy hektarów.

Krajem najbogatszym w kopalnie węgla, jest niezawodnie Zjednoczone Królestwo. Z wyjątkiem Irlandyi, gdzie brak prawie zupełny minerału palnego, Anglia i Szkocya posiadają ogromne pokłady węglowe. Skarby te jednak wyczerpać się muszą, jak wszystkie skarby na świecie. Największy z różnorodnych tu basenów, basen Newcastle, który zajmuje podziemne grunta całego hrabstwa Nothumberland, wydaje rocznie do trzydziestu milionów beczek, czyli prawie trzecią część potrzebnego w Anglii opału a prawie dwa razy tyle co wynosi produkcya francuska. Basen księstwa Walii, który zgromadził całą prawie ludność górników w Cardiff, Swansea, Newport, wydaje rokrocznie dziesięć milionów tonn tego węgla tak poszukiwanego, który nosi jego nazwę. W środku Anglii znajdujemy baseny hrabstwa York, Lancaster, Derby, Stafford, mniej wprawdzie obfite ale jednak dosyć znaczne. Nareszcie w tej części Szkocyi pomiędzy Edynburgiem a Glasgowem rozciągają się jedne z najbogatszych pokładów Zjednoczonego Królestwa. Ogólna liczba tych wszystkich basenów wynosi do 1,600,000 hektarów i wydaje rocznie do 100,000,000 beczek czarnego węgla.

Mniejsza z tem! Zapotrzebowanie tak będzie wielkie na potrzeby przemysłu i handlu, że te skarby zostaną wyczerpane. Trzecie tysiącolecie ery chrześcijańskiej nie minie a ręka górnika wypróżni w Europie te składy, w których podług trafnie użytego wyrażenia skoncentrowało się gorąco słoneczne pierwszych czasów tworzenia.

Otóż w czasie, w którym się rozgrywa historia przez nas opisana, jedna z najznacniejszych kopalni basenu szkockiego została wyczerpaną wskutek zbyt nagłej eksploatacyi. W istocie w tem terytoryum, które się rozciąga pomiędzy Edynburgiem a Glasgowem na szerokości średniej od dziesięciu do dwunastu mil, znajdowała się kopalnia Aberfoyle, w której inżynier James Starr, tak długo robotami kierował.

Od dziesięciu lat jednak, kopalnia ta została opuszczoną. Nie można było znaleźć nowych pokładów chociaż zapuszczono sondy do głębokości 1,500 a nawet 2,000 stóp i skoro James Starr się oddalał, był przekonany, że najcieńsza żyła została już zupełnie wyczerpaną.

Niezawodnie, że w takich okolicznościach odkrycie nowego pokładu węglowego w głębiach tego podziemia uważanem być mogło za nadzwyczajne zdarzenie. Czy wiadomość oznajmiona przez Szymona Ford odnosiłaby się do tego faktu? pytał się James Starr sam siebie i tego pragnął się dowiedzieć.

Jednem słowem czyżby istniał nowy zakątek tych bogatych Czarnych Indyi, do którego zdobycia go powoływano? Chciał temu wierzyć.

List drugi na chwilę zmienił jego poglądy w tej mierze, ale obecnie nie myślał już o nim. Zresztą syn starego nadsztygara czekał go na oznaczonym miejscu.

W chwili, gdy inżynier wysiadał z wagonu, młody człowiek zbliżył się do niego.

- Ty jesteś Henryk Ford? – zapytał żywo James Starr bez wstępu.
- Tak jest, panie Starr.
- Byłbym cię nie poznał, mój chłopcze! Prawda, że to już dziesięć lat,

wyrosłeś na mężczyznę!

– Ja pana zaraz poznałem – odrzekł młody górnik, trzymając ciągle kapelusz w ręku. – Pan się nic nie zmienił. Pan to mnie ucałował w dniu pożegnania przed sztolnią Dochart. Takich rzeczy się nie zapomina.

– Włóżże mój Henryku kapelusz na głowę – rzekł inżynier. – Deszcz leje stłumieniem i przez grzeczność zakatarzysz się jeszcze.

– Czy pan nie zechce przeczekać w sali aż deszcz przejdzie? – zapytał Henryk Ford.

– Nie, nie, mój chłopcze. Deszcz nie przejdzie, będzie padał dzień cały, a mnie pilno. Idźmy.

– Jestem na pańskie usługi – odrzekł młody człowiek.

– Powiedz no mi Henryku, jak się miewa twój ojciec.

– Zdrow zupełnie, panie Starr.

– A matka?

– Matka również.

– Czy to twój ojciec pisał do mnie, prosząc bym przybył do szybu Yarow?

– Nie panie, to ja.

– A może Szymon Ford pisał jaki drugi list, odwołujący to zaproszenie? – zapytał żywo inżynier.

– Nie, panie Starr, ojciec mój nic nie pisał.

– To dobrze! – odrzekł James Starr, nie wspominając nic o anonimowym liście. A potem dodał:

– Czy nie możesz mi powiedzieć czego stary Szymon żąda odemnie?

– Panie Starr, mój ojciec chce sam o tem z panem pomówić.

– Ale ty wiesz o co chodzi?

– Wiem panie.

– To dobrze, nie pytam się więcej. W drogę tedy, bo pilno mi rozmówić się z Szymonem Ford. Ale, ale, gdzie mieszkanie?

– W kopalni.

– Jakto? W sztolni Dochart?

– Tak panie.

– Jakżeż to być może! A więc twoja rodzina nie opuściła kopalni po ukończeniu robót?

– Ani na dzień jeden. Pan zna mego ojca, panie Starr. Tam się urodził, tam pragnie umrzeć.

– Rozumiem cię Henryku., rozumiem. To jego rodzinne miejsce ta kopalnia! Nie chciał jej opuścić. I podoba wam się tam?

– Bardzo, proszę pana – odrzekł młody górnik. – Kochamy się serdecznie i nie wielkie mamy potrzeby.

– A więc, Henryku, w drogę!

I James Starr idąc za Henrykiem, zapuścił się w kręte uliczki miasta Callander.

Po dziesięciu minutach wychodzili z miasta.

Rozdział IV

Sztolnia Dochart.

Henryk Ford był tęgim, dwudziestopięcioletnim chłopcem, silnym i dobrze zbudowanym. Rysy twarzy miał poważne, zwykle zamyślane i tem się odznaczał od dzieciństwa wśród towarzyszy górników. Oczy miał głębokie i łagodne, włosy trochę grube, raczej ciemne niż blond, wdzięk naturalny w całej osobie, wszystko to składało się na całość doskonałego typu mieszkańca dolin szkockich. Zahartowany od dzieciństwa przy robotach kopalni węgla był nie tylko tęgim górnikiem, ale szlachetnym i dobrym. Namawiany przez ojca i kierowany własną wolą pracował nieustannie nad sobą, kształcił się w swym fachu i w wieku, kiedy inni bywają zaledwie uczniami, on już był osobistością – jednym z pierwszych wśród swoich – w kraju, który liczy mało niewykształconych ludzi, ponieważ czyni wszystko, aby ich kształcić. Jeżeli w pierwszych latach swej młodości oskard nie wychodził z rąk Henryka Ford, to jednak młody człowiek miał czas na zdobycie wiadomości, potrzebnych do wywyższenia się w hierarchii kopalnianej i niezawodnie byłby po ojcu objął stanowisko nadsztygara w sztolni Dochart, gdyby kopalnia nie została opuszczoną.

James Starr był jeszcze dobrym piechurkiem, a jednak nie mógłby nadażyć za swoim przewodnikiem, gdyby ten nie był zwolnił kroku.

Deszcz padał z mniejszą siłą. Grube krople rozpryskiwały się zanim spadły na ziemię. Były to raczej mgły wilgotne, które przebiegały powietrze, unoszone silnym wiatrem.

Henryk Ford i James Starr, pierwszy z lekkim pakunkiem inżyniera w rękę, szli po lewej stronie rzeki milę drogi. Następnie skręcili na drogę, wysadzoną drzewami, z których deszcz strumieniami teraz spadał. Z obu stron drogi rozciągały się szerokie pastwiska. Trzody bydła pasły się spokojnie na tych zawsze zielonych łąkach niższej Szkocji. Były to krowy bez rogów lub też małe barany o miękkiej wełnie jedwabistej, podobne do owieczek z dziecinnych zabawek. Nie było widać ani jednego pasterza, pochowali się zapewne wszyscy w spróchniałych pniach drzew przydrożnych; tylko psy pasterskie znane ze swej czujności w tej okolicy, krążyły koło trzód swoich.

Szyb Yarow znajdował się o cztery mile od Callander. James Starr, idąc, wydawał się wzruszonym. Nie widział już tych okolic od chwili, gdy ostatnia beczka z kopalni Aberfoyle przesypała swą zawartość do wagonów pociągu idącego do Glasgowa. Życie rolnicze zastępowało obecnie ruch przemysłowy, tak hałaśliwy i czynny dawniej. Kontrast był tem większy, że podczas zimy roboty w polu ustają prawie zupełnie. Dawniej o każdej porze roku, ludność górnicza ożywiała okolicę na zewnątrz i na wewnątrz gruntu. Olbrzymie wozy ładowane węglem toczyły się w dzień i w nocy. Szyny, dziś zapadłe w ziemię na spróchniałych belkach, skrzypiały dawniej pod ciężarem wagonów. Dzisiaj

drogi bite zastępowały dawniejsze tramwaje eksploatacyjne. James Starr widział wszędzie pustkowia.

Spoglądał w około okiem pełnym smutku, czasami przystawał, żeby odpocząć. Nasłuchiwał. W powietrzu nie było słycać świstu oddalonego, ani stłumionego łoskotu maszyn. Na widnokręgu nie widać było ani jednego kłębu czarnego dymu, które przemysłowiec tak mile wita gdy się z chmurami stykają. Ani cylindrowego komina, buchającego dymem, pochodzącym z samych pokładów, ani jednej klapy bezpieczeństwa, wypuszczającej białą parę. Grunt dawniej czarny od prochu węglanego, miał dziś wygląd czysty, do czego oko Jamesa Starr nie było przyzwyczajone. Skoro inżynier się zatrzymywał, Henryk Ford czynił to samo. Młody górnik czekał w milczeniu. Czuł on dobrze co się działo w duszy jego towarzysza i podzielał to wrażenie, on, dziecię kopalni, którego życie całe upłynęło w głębi tego gruntu.

– Tak, tak Henryku, wszystko się tu zmieniło – mówił James Starr. – Ale trudno, bogactwa kopalni musiały się wreszcie wyczerpać. Żałujesz pewnie tych czasów?

– Żałuję bardzo panie Starr – odrzekł Henryk – praca była ciężką, ale nas zajmowała, jak każda walka.

– Niezawodnie mój chłopcze! Walka była nieustanną, niebezpieczeństwo zasypania, pożaru, zalewów, uderzeń, eksplozji gazów, które rażą jak od pioruna. Trzeba było stawiać czoło tym niebezpieczeństwom. Dobrze mówisz! Była to walka i z tego powodu życie pełne wzruszeń.

– Górnicy z Alloa szczęśliwsi są od naszych, panie Starr!

– Niezawodnie Henryku – odparł inżynier.

– Szkoda doprawdy, że cała kula ziemiska nie składa się z samych pokładów węgla! Wystarczyłoby go na kilka milionów lat!

– Zapewne, ale trzeba przyznać, że natura była przewidującą, gdy tworzyła naszą planetę i gdy ją lepila z gliny, wapna, granitu, których to materiałów ogień spalić nie może.

– Czy chcesz pan powiedzieć, panie Starr, że ludzie byliby sami spalili w końcu swoją ziemię?

– Tak! I to w całości, zapewniam cię – rzekł inżynier. – Ziemia byłaby spłonęła do ostatniego kawałka w piecach lokomotyw, lokomobil, parowców, fabryk gazu i z pewnością w taki sposób nastąpiłby pewnego dnia koniec świata.

– Niema się czego obawiać panie Starr. Ale także i kopalnie wyczerpią się prędzej niż to statystyki przypuszczają.

– Tak, przyjdzie do tego Henryku, a podług mnie Anglia źle robi, zamieniając swój węgiel na złoto innych narodów.

– Rzeczywiście – odrzekł Henryk.

– Wiem dobrze – mówił dalej inżynier – że ani hydraulika ani elektryczność nie wypowiedziały dotąd ostatniego swego słowa, i że kiedyś wyzyskać potrafią lepiej te dwie siły. Ale mniejsza z tem! Węgiel jest bardzo praktyczny w użyciu i łatwo się nadaje do różnych potrzeb przemysłu. Niestety, ludzie nie mogą go wyrabiać do woli. Jeżeli lasy zewnętrzne rosna ciągle pod wpływem gorąca i wilgoci, lasy wewnętrzne nie odnawiają się bynajmniej, a kula ziemiska nigdy już nie będzie w stanie sprzyjającym

tworzeniu się ich na nowo.

James Starr i jego przewodnik, rozmawiając w ten sposób, postępowali szybkim krokiem. W godzinę po opuszczeniu Callander przybyli do sztolni Dochart.

Nawet zupełnie obojętny człowiek uczułby się wzruszonym na widok opuszczenia, jakie przedstawiała kopalnia. Był to szkielet tego, co dawniej żyło.

W szerokim kwadracie, otoczonym kilku drzewami, gruntu nie było widać pod czarnym pyłem węgla ziemnego, ale nie było już widać ani przyrządów żadnych, ani też najmniejszego śladu węgla. Wszystko zostało usunięte i spalane od dawna.

Na niskim pagórku odcinała się wyraźnie sylwetka olbrzymiego budynku, zbitego z desek, które deszcz i słońce powoli niszczyło. Na samym wierzchołku tego budynku widniało wielkie koło obrotowe, a poniżej rozpięły się grube bębny, na których dawniej owijały się liny, wyciągające klatki na powierzchnię gruntu.

Na niższym piętrze widać było pomieszczenie maszyn, dawniej połyskujących częściami metalowymi. Całe ściany opadłe leżały na ziemi wśród belek rozbitych i zzieleniałych od wilgoci. Szczątki łańcuchów wiszących, na których opierały się pompy wydobywające, oparcia połamane lub pogieęte, tryby bezzębne, dźwignie wywrócone, rusztowania z przyczepionymi gdzieś niegdyś popsutymi drabinami, niby wielkie kości fantastycznego potwora ichtyozaury, szyny, rzucone na przejściu, opuszczonym dzisiaj i oparte jeszcze na paru słupkach chwiejących, tramwaje, któreby już unieść nie mogły najmniejszego wagonika pustego, – oto rozpaczliwy obraz sztolni Dochart.

Obramowanie szybu, o powybijanych kamieniach, zniknęło pod gęstymi mchami. Tutaj widać było jeszcze ślady klatki, tam resztki ogrodzenia, gdzie składano węgiel, który rozbierano podług gatunku i wielkości. Wreszcie szczątki beczek, u których wisały jeszcze kawałki łańcuchów, resztki olbrzymich rusztowań, ściany kotła rozbitego, poskręcane rury, długie dźwignie, które się spuszczały nad otworem studni od pomp, kładki chwiejące się od podmuchu wiatru, mostki uginające się pod nogą, mury porysowane, dachy na poły zapadłe, skąd się wznosiły jeszcze kominy; z tego wszystkiego wiało uczucie opuszczenia, nędzy, smutku, którego nie znajdziemy ani w ruinach starego zamczyska, ani w szczątkach opuszczonej fortecy.

– To rozpaczliwie wygląda – rzekł James Starr, patrząc na młodego człowieka. Ten milczał.

Obaj przeszli pod pokryciem, chroniącym otwór szybu Yarow, którego szczeble prowadziły jeszcze do niższych galeryi kopalni.

Inżynier nachylił się nad otworem.

Dawniej w tym miejscu słychać było oddech potężny tysiąca wentylatorów. Dzisiaj była to przepaść cicha jak grób. Zdawało się, że to krater wygasłego wulkanu.

James Starr i Henryk zatrzymali się na pierwszym przystanku.

W epoce eksploatacji, niektóre szyby kopalni Aberfoyle obsługiwane były przez doskonałe i kosztowne przyrządy, jako to: klatki o spadochronach automatycznych, opierających się na ścianach drewnianych, drabiny ruchome,

zwane »engine-men«, które za pomocą prostego ruchu wachadłowego, pozwalały górnikom schodzić bezpiecznie i wchodzić bez zmęczenia.

Ale wszystkie te udoskonalone przybory zostały usunięte od chwili przerwania robót. Pozostawał jedynie w szybie Yarow długi szereg drabin, rozdzielonych od siebie przystankami co pięćdziesiąt kroków. Była to na teraz jedyna istniejąca komunikacja pomiędzy głębią sztolni Dochart, a jej zewnętrznym gruntem. Co do powietrza, dostawało się ono tam przez szyb Yarow, łączący się za pomocą galeryi z innym szybem, którego otwór znajdował się znowu wyżej, powietrze ogrzane wydobywało się w sposób naturalny przez ten rodzaj wywróconego syfonu.

– Idę za tobą, mój chłopcze – rzekł inżynier, dając znak Henrykowi, by szedł naprzód.

– Jestem na pańskie usługi, panie Starr.

– Masz swoją lampkę?

– Mam i dałby Bóg, by to była jeszcze lampka bezpieczeństwa, której nigdyś używaliśmy.

– To prawda – rzekł inżynier – nie mamy przyczyny obawiać się obecnie wybuchu gazów.

Henryk zapalił zwyczajną lampkę olejną. W kopalni gdzie już węgla nie było, nie mogły nastąpić ujścia gazu węglanego. Nie było też obawy wybuchu i zbytecznym się stawało osłanianie płomienia tkaniną metaliczną, która nie daje dostępu gazu do ognia. Lampka Davy'ego tak udoskonalona obecnie, zupełnie tu była zbyteczną. Ale jeżeli bezpieczeństwo zniknęło, znikł i powód, który je wytwarzał, a wraz z tym powodem, materiał palny, tworzący dawniej bogactwo kopalni Aberfoyele.

Henryk zszedł po pierwszych szczeblach drabiny, James Starr szedł za nim. Znaleźli się obaj niebawem w głębokich ciemnościach, w których jedynie lampka Henryka błyszczała. Młodzieniec trzymał ją ponad głową, aby lepiej oświetlać drogę.

Inżynier i jego przewodnik zeszli w ten sposób z dziesięć drabin tym krokiem miarowym, jaki zwykł cechować górników.

Drabiny były jeszcze w dobrym stanie.

James Starr śledził pilnie, o ile niedostateczne światło lampki na to pozwalało, ciemne ściany szybu, które obite były jeszcze deskami na poły spróchniałymi.

Gdy przybyli do piętnastego przystanku, czyli do połowy drogi, zatrzymali się na kilka minut.

– Nie mam już twojej siły w nogach, mój chłopcze – rzekł inżynier, oddychając głęboko – ale idzie jeszcze nie źle.

– Silny pan jeszcze bardzo, panie Starr – odrzekł Henryk – a i to wiele znaczy, gdy się tyle czasu w kopalniach przeżyło.

– Masz rację Henryku. Dawniej, gdym miał lat dwadzieścia, schodziłem tu jednym tchem. Dalej, w drogę.

Ale właśnie, gdy schodzić mieli z przystanku, usłyszeli głos, oddalony jeszcze w głębi szybu. Głos ten przybliżał się i stawał się coraz bardziej wyraźnym.

– Któż to idzie? – zapytał inżynier, wstrzymując Henryka.

– Nie umiałbym panu na to odpowiedzieć, odrzekł młody górnik.

– Czy to nie twój stary ojciec?

– Nie, panie Starr, to nie on.

– Może jaki sąsiad?

– Nie mamy sąsiadów w głębi kopalni – rzekł Henryk. – Jesteśmy sami, zupełnie sami.

– Mniejsze z tem, przepuśćmy tego intruza, schodzący winni ustępować wchodzącym.

Zatrzymali się obydwaj.

Głos wzmagał się i rozlegał teraz w całej pełni, jak gdyby go unosiło echo akustyczne, niebawem słowa szkockiej piosenki doszły wyraźnie do uszu młodego górnika.

– To »pieśń jeziora« – zawołał Henryk. – Dziwiłbym się bardzo, gdyby ją kto inny śpiewał niż Jakób Ryan.

– Któż to jest ten Jakób Ryan, który śpiewa tak pięknie? – zapytał James Starr.

– Dawniejszy towarzysz kopalni – odrzekł Henryk.

I nachylając się, zawołał:

– Hola! Jakóbie!

– To ty Henryku? – brzmiała odpowiedź. – Czekał, zaraz przyjdę.

I zaczął śpiewać na nowo.

Za chwilę, chłopiec dwudziestopięcioletni, o wesołej twarzy, uśmiechniętych oczach, ustach rumianych, włosach jasno blond, zjawił się na tle jasnym rzuconym przez latarnię i wskoczył na przystanek piętnastej drabiny.

Chwycił silnie rękę, którą mu Henryk podał i wstrząsnął nią przyjaźnie.

– Dzięki niebu, że cię spotykam! – zawołał – ale widocznie święty Mungo mnie proteguje! Gdybym był wiedział, że dzisiaj wracasz na ziemię, nie byłbym się zapuszczał do tej otchłani.

– Pan James Starr – wyrzekł Henryk, obracając lampkę w stronę inżyniera, który dotąd pozostawał w cieniu.

– Pan Starr! – zawołał Jakób Ryan. – Ach panie inżynierze, nie byłbym pana poznał, odkąd wyszedłem z kopalni, oczy moje odwykły od ciemności i nie widzę wśród nich tak jak dawniej.

– A ja przypominam sobie małego chłopca, który ciągle śpiewał, dziesięć lat już upłynęło... Czy to ty mój chłopcze?...

– Ja sam, panie Starr! I choć zmieniłem rzemiosło, nie straciłem humoru. Ba!... śpiewać i śmiać się, to lepiej niż płakać i jęczeć.

– Niezawodnie Jakóbie Ryan. A czymże się zajmujesz od czasu jak opuściłeś kopalnię?

– Pracuję na folwarku Melrose, koło Irvine w hrabstwie Renfrew, o 40 mil stąd, ale to już nie to, co nasza kopalnia Aberfoyle! Oskard lepiej nadawał się do mojej ręki, niż motyka i rydel! A potem w starej kopalni istniały takie cudne

echa, które odpowiadały różnymi głosami na nasze piosenki. Gdy tymczasem tam... Pan zapewne idziesz z wizytą do starego Szymona, nieprawdaż, panie Starr?

– Tak, Jakóbie – odpowiedział inżynier.

– Nie zatrzymuję pana...

– Powiedz mi Jakóbie – rzekł Henryk – co cię dzisiaj sprowadziło do nas?

– Chciałem cię zobaczyć, kolego – odparł Jakób Ryan – by cię zaprosić na święto doroczne Irvine. Wiesz, że jestem »Piper«, tej miejscowości. Będą śpiewy i tańce.

– Dziękuję ci, Jakóbie, ale to niepodobna.

– Dlaczego niepodobna?

– Wizyta pana Starr może się przedłużyć, a ja go muszę odprowadzić do Callander.

– Ależ Henryku, święto doroczne Irvine wypada dopiero za dni osiem; do tego czasu i wizyta pana Starr będzie skończona zapewne, a wtedy nic cię już nie zatrzyma tutaj.

– To prawda Henryku – wtrącił James Starr. – Trzeba skorzystać z zaproszenia twego kolegi.

– A więc dobrze Jakóbie – rzekł Henryk – za tydzień spotkamy się w Irvine.

– Za tydzień! Pamiętaj. Bądź zdrów Henryku. Do usług pańskich, panie Starr. Bardzo się cieszę, że pana zobaczył. Będę mógł opowiedzieć o panu moim znajomym. Nikt nie zapomniał pana inżyniera.

– I ja nie zapomniałem nikogo – rzekł James Starr.

– Dziękuję panu w imieniu wszystkich – odparł Jakób Ryan.

– Bądź zdrów Jakóbie – rzekł Henryk, ściskając po raz ostatni rękę swego kolegi.

Jakób Ryan znikł niebawem, wychodząc ze szybu, i słychać było tylko odgłos jego piosenki.

W kwadrans potem James Starr i Henryk schodzili po ostatniej drabinie i stanęli na ostatniem piętrze sztolni.

Wkoło okrągłego placu, jaki tworzył szyb Yarow, u samego spodu rozchodziły się rozmaite galerye, które służyły do eksploatacji ostatniej żyły węglowej w kopalni. Zagłębiały się one w gąszcz pokładów łupkowych i gliniastych, powkładanych jedne w drugie i wzmocnionych trapezami grubych belek ledwo ociosanych, lub też podpartych grubym pokładem kamieni. Wszędzie żyły wyeksploatowane, zastępowano sztucznym nasypem.

Słupy sztuczne, ciosane były z kamieni wydobytych z kopalni sąsiednich, a teraz podpierały grunt, czyli podwójne piętro terenów trzeciorzędnych i czwartorzędnych, spoczywających niegdyś w samym pokładzie. Ciemność zalegała wówczas tę galerye, oświetlaną bądź przez lampkę górnika, bądź przez światło elektryczne, które w ostatnich latach zastosowano w kopalni. Ale ciemne tunele nie powtarzały odgłosu skrzypu wagonów, toczących się po szynach, ani oddechu wentylatorów, wdychających powietrze, ani głosu robotników pchających wózki, ani rżenia koni i mułów, ani uderzeń oskardu, ani trzasku piorunującego, który rozsadzał skały.

– Czy chcesz pan spocząć przez chwilę? – zapytał młodzieniec.

– Nie, mój chłopcze – odrzekł inżynier – spieszno mi przybyć do starego Szymona.

– A więc, idź pan za mną, panie Starr. Będę panu służył za przewodnika, chociaż jestem pewien, że i sam nie pobłądziłbyś w tym ciemnym labiryncie galeryi.

– Zapewne! Mam cały plan starej kopalni w głowie.

Henryk, poprzedzając inżyniera i podnosząc lampę by im oświecała drogę, zapuścił się w długą i wysoką galeryę, podobną do sklepienia katedry. Nogami obaj potracali często pokłady drzewa, podtrzymujące szyny w chwili eksploatacja. Zaledwie uszli pięćdziesiąt kroków, ogromny kamień padł u samych stóp Jamesa Starr.

– Ostrożnie panie Starr – zawołał Henryk, chwytając go za rękę.

– To kamień Henryku. Ach, te stare sklepienia nadwątlały widać, i...

– Panie Starr – rzekł Henryk – zdaje mi się, że ten kamień został rzucony... i to rzucony ręką ludzką.

– Rzucony! – zawołał James. – Co chcesz przez to powiedzieć, mój chłopcze?

– Nic, nic, panie Starr – odrzekł Henryk, którego spojrzenie spoważniało nagle, jakby usiłowało przebić grube ściany. Idźmy dalej, oprzyj się pan na mojem ramieniu, i nie obawiaj niczego.

– Bądź spokojnym Henryku!

Obaj przyspieszyli kroku, ale Henryk często odwracał się po za siebie, kierując blask lampki w głąbie galeryi.

– Czy prędko dojdziemy? – zapytał inżynier.

– Za jakie dziesięć minut.

– Dobrze!

– Ale – szeptał Henryk – to jednak bardzo dziwne. Po raz pierwszy spotyka mnie coś podobnego. Ten kamień właśnie musiał spaść wtedy, gdyśmy przechodzili.

– Ależ Henryku, to tylko przypadek.

– Przypadek! – odrzekł młody człowiek, wstrząsając głową... – Tak... przypadek... zapewne.

Henryk wstrzymał się nagle i nadśłuchiwać zaczął.

– Cóż tam Henryku? – zapytał inżynier.

– Zdawało mi się, że ktoś za nami idzie – odparł młody górnik, nadśłuchując uważnie, a potem dodał:

– Nie omyliłem się. Oprzyj się pan na mojem ramieniu panie Starr, tak, jak na lasce.

– Tęga podpora z ciebie, mój Henryku – rzekł James.

Obaj szli dalej w milczeniu pod ciemnym sklepieniem, Henryk jednak widocznie przejęty zdarzeniem obracał się, usiłując pochwycić to dźwięk oddalony, to światło jakieś, ale po za nim i przed nim wszystko było milczące i ciemne.

Rozdział V

Rodzina Ford.

Dziesięć minut potem, James Starr i Henryk wychodzili z głównej galeryi.

Młody górnik i jego towarzysz przybyli do środka szerokiego i ciemnego placyku. Placyk ten nie był jednak zupełnie ciemnym. Trochę promieni dziennych przyływało doń przez szyb opuszczony, który w wyższych piętrach został otwartym. Przez ten otwór sztolnia Dochart otrzymywała świeże powietrze zewnętrzne podczas, gdy gorętsze powietrze wewnętrzne ulatniało się przez szyb Yarow.

Tym sposobem trochę powietrza i trochę światła przybywało do tego placyku poprzez grube sklepienie łupkowe.

Szymon Ford wraz z rodziną swoją zamieszkiwał ten placyk od lat dziesięciu; w miejscu, gdzie dawniej olbrzymie maszyny działały, zajmował on pomieszczenie wykute w skale łupkowej.

Stary nadsztygar chętnie nadawał temu mieszkaniu nazwę »folwarku«. Dzięki pewnej zamożności, długoletnią pracą zdobytej, Szymon Ford mógłby być mieszkać pod jasnym niebem, otoczony zielenią drzew, w pierwszym lepszym mieście królestwa, ale i on i jego rodzina woleli nie opuszczać kopalni, gdzie byli szczęśliwi, mając jedne myśli, jedne nawyki. Podobał im się ten folwark, znajdujący się na tysiąc pięćset stóp pod ziemią szkocką. Prócz innych dogodności mieli i tę, że żaden urzędnik nie zachodził nigdy do nich, celem ściągania podatków.

W chwili naszego opowiadania, Szymon Ford, były nadsztygar sztolni Dochart, miał lat sześćdziesiąt pięć, które dzielnie dźwigał na swych barkach. Wysoki, silny, dobrze zbudowany, uważany był za jednego ze znaczniejszych »sawneys'ów« kantonu, który tylu pięknych mężczyzn dostarczał do pułków górskich. Szymon Ford pochodził z dawnej rodziny górników a genealogia jego sięgała czasów, gdy pierwsze pokłady węgla zostały odkryte w Szkocji.

Nie badając czy Grecy lub Rzymianie używali węgla kamiennego, czy Chińczycy znali kopalnie tegoż węgla długo przed erą chrześcijańską, nie pytamy, czy rzeczywiście materiał ten palny zawdzięcza swą nazwę »houille« od kowala Houillos'a, który żył w Belgii w XII wieku, możemy jednak stwierdzić, że pokłady w Wielkiej Brytanii pierwsze poddane zostały regularnej eksploatacji. W XI wieku, Wilhelm Zdobywca rozdzielał swym towarzyszom broni dochody z basenu Newcastle. W XIII wieku Henryk III wydał pozwolenie poszukiwania »węgla morskiego«, jak go nazywali. Wreszcie przy końcu tegoż wieku historia wspomina pokłady Szkocji i Księstwa Walii.

W tej to epoce właśnie przodkowie Szymona Ford zeszli do wnętrza ziemi kaledońskiej, by już nie wychodzić przez długie wieki. Przebywali tam ojcowie,

syny, wnuki i prawnuki. Byli to prości robotnicy, pracowali jak galernicy nad wydobywaniem drogocennego opału. Zdaje się nawet, że węglarze – górnicy, byli prawdziwymi niewolnikami w tej epoce. W istocie w XVIII wieku ta opinia tak była ustaloną w Szkocji, że podczas wojny pretendenta, zachodziła obawa, by dwadzieścia tysięcy górników w Newcastle nie podniosło buntu w celu odzyskania wolności, której, podług ich mniemania, nie posiadali.

W każdym razie Szymon Ford był dumny z tego, że należał do tej wielkiej rodziny górników szkockich. Pracował tam, gdzie i przodkowie jego używali oskarda, obcęgow, motyki i taczek. W trzydziestym roku życia został nadsztygarem w sztolni Dochart, najznaczniejszej ze wszystkich kopalni Aberfoyle. Kochał całą duszą rzemiosło swoje. Przez długie lata wykonywał gorliwie swoje obowiązki. Jedynym jego zmartwieniem było to, iż pokłady zmniejszały się widocznie i że przewidywał bliską chwilę, w której zupełnie wyczerpanymi zostaną.

Wtedy to oddał się cały wyszukiwaniu nowych żył w kopalni Aberfoyle. Udało mu się szczęśliwie wynaleźć kilka żył podczas ostatniej epoki eksploatacyjnej, dzięki wrodzonemu instynktowi górnika, a inżynier James Starr cenił wielce jego zdolności. Rzekłbyś, że odgadrywał miejsca, gdzie się znajdowały pokłady we wnętrzu kopalni tak, jak hydroskop odgaduje źródła pod powierzchnią gruntu.

Nadeszła jednak chwila, kiedy pokłady znikły wyczerpane rękami górników. Sondowania wszelkie zostały bez rezultatów. Eksploatacja ustała. Górnicy rozproszyli się.

Była to chwila rozpacz dla wielu z nich. Wszyscy, którzy wierzą, że człowiek kocha swoją pracę, nie zdziwią się temu bynajmniej. Szymon Ford też, bez zaprzeczenia, najbardziej się uczył doknięty. Był on typem prawdziwego górnika, którego życie związane jest nierozdzielnie z życiem kopalni. Od chwili urodzenia nie przestał w niej mieszkać, a skoro prace ustały, chciał jeszcze w niej pozostać. I pozostał. Henryk, syn jego, trudnił się znośaniem produktów żywności do podziemnego mieszkania, ale stary Szymon ani razu od lat dziesięciu nie wychodził na powierzchnię ziemi.

– Wychodzić! Po co? – powtarzał i siedział w swym czarnym pałacu.

W tym przybytku zupełnie zdrowym, podległym zawsze średniej temperaturze, stary nadsztygar nie znał ani upałów w lecie, ani mrozów w zimie. Rodzina jego miewała się dobrze. Czegóż można było więcej żądać?

Co prawda to nieraz smutek uczuwał wielki. Żałował życia, ruchu, ożywienia dawniejszego w tej kopalni tak pracowicie eksploatowanej. Mimo to nie tracił nadziei.

– Nie! nie! kopalnia wyczerpana nie jest! – powtarzał.

I ten, który śmiał wątpić, że dawniejsza Aberfoyle nie zmartwychwstanie jeszcze, naraziłby sobie śmiertelnie Szymona Ford. Nigdy nie opuszczała go nadzieja odkrycia nowego pokładu, któryby przywrócił całej kopalni jej dawną wielkość. Jakżeby chętnie chwycił do rąk swoich oskard górnika i starymi spracowanymi dłońmi te skały rozbijał. Chodził więc po ciemnych galeryach, to sam, to z synem swoim, uważając, szukając i wracając co dzień bardziej zmęczonym ale nie zniechęconym do swojego »folwarku«.

Godną towarzyszką Szymona Ford, była Magdalena, wielka i tęga »kobiecina« czyli »goodwife« podług wyrażenia szkockiego. Magdalena

zarówno jak jej mąż nie chciałaby była nigdy opuścić sztolni Dochart. Podzielała pod tym względem wszystkie jego nadzieje i żale. Zachęcała go, popychała naprzód, mówiła z pewną powagą, która zagrzewała starego nadsztygara.

– Aberfoyle śpi tylko, Szymonie – mówiła do niego często. – Ty jeden masz słuszość. To sen tylko, ale nie śmierć, o nie!

Magdalena umiała także obywać się bez świata zewnętrznego i znajdowała całe swoje szczęście w tem życiu we troje na ciemnym »folwarku«.

Do tego to »folwarku« zdążył James Starr.

Oczekiwano inżyniera niecierpliwie. Szymon Ford stał we drzwiach otwartych i skoro tylko ujrzał z daleka blask lampy Henryka, rzucił się skwapliwie na spotkanie swego dawnego »viewer'a«.

– Witamy pana, panie inżynierze! – zawołał radośnie, a sklepienie łupkowe odbiło dźwięki jego głosu. – Witamy pana na naszym folwarku! Dom rodziny Fordów otwiera się gościnnie przed panem, chociaż się znajduje na tysiąc pięćset stóp pod ziemią.

– Jak się macie, kochany Szymonie! – zapytał James Starr, ściskając serdecznie dłoń gospodarza.

– Dziękuję panu, wcale nieźle. Jesteśmy tutaj zabezpieczeni od wszelkich zmian atmosferycznych. A wasze panie, które jeżdżą do Newhaven i Porto Bello podczas lata, lepiej by wyszły, gdyby spędzały kilka miesięcy w kopalni Aberfoyle! Nie dostałyby niezawodnie kataru tak, jak to często bywa na wilgotnych ulicach starej stolicy.

– Nie przeczę temu, Szymonie – odparł James z uśmiechem, zadowolony z tego, że znalazł swego nadsztygara takim, jakim był dawniej. – Sam się dziwię, że dotąd nie zdecydował się zamienić mego mieszkania przy Canongate na jaki folwark sąsiadujący z waszym.

– Do usług, panie Starr. Znam ja jednego z pańskich dawnych górników, któryby był zachwycony, gdyby został pańskim sąsiadem.

– A Magdalena?... – zapytał inżynier.

– Poczciwe kobiecisko! zdrowa, zdrowsza jeszcze odemnie nawet! – zawołał Szymon Ford – a jak się cieszy, że pana dzisiaj ugaszczać będzie. Niezawodnie przejdzie tym razem sama siebie.

– Zobaczmy to Szymonie, zobaczmy! – rzekł inżynier, dla którego zapowiedź przyrządzanego śniadania nie mogła być obojętną po tak długiej, pieszej podróży.

– Zapewne pan głodny? panie Starr.

– Ogromnie! Taka podróż może wzbudzić wilczy apetyt. Szkaradna była pogoda.

– Tak! deszcz znowu pada tam w górze? – spytał Szymon Ford głosem pełnym współczucia.

– Pada Szymonie, pada, a wody Forth'u takie zburzone dzisiaj, jak na morzu.

– A co, panie James, tutaj nigdy deszcz nie pada! Ale co ja mam panu zachwalać zalety, które pan znasz na równi ze mną! Przybyliśmy na mój

folwark. To rzecz najważniejsza, powtarzam zatem panu: Witamy!

Szymon Ford wraz z Henrykiem wprowadzili Jamesa Starr do swego mieszkania; inżynier ujrzał obszerną izbę, oświetloną kilku lampami, z których jedna zawieszona była u malowanych belek sufitu.

Stół był pokryty obrusem kolorowym, a cztery krzesła obite starą skórą oczekiwały biesiadników.

– Dzień dobry wam, Magdaleno – rzekł inżynier.

– Dzień dobry panu, panie James – odparła pocziwa szkotka, powstając na powitanie.

– Z prawdziwą przyjemnością was widzę, Magdaleno!

– Nie wątpię, panie James, bo widzimy zawsze z przyjemnością tych, którym dobrze czynimy.

– No, dawaj śniadanie, kobieto – rzekł Szymon Ford – zupa gotowa, a zepsuje się, gdy jej czekać każemy. Zresztą i pan James głodny jak prawdziwy górnik, niechże się przekona, że z łaski naszego syna niczego nam tu nie brak w podziemiach. Ale, ale, Henryku – dodał stary sztygar, zwracając się do syna. – Szukał cię Jakób Ryan.

– Wiem o tem, mój ojczcie! Spotkaliśmy go w szybie Yarow.

– To wesoły chłopak i dobry kolega – rzekł Szymon Ford. – Ale zdaje mi się, że mu się tam w górze podoba. Nie posiada widać prawdziwej krwi górnika w żyłach. No, siadajmy panie James i zajadajmy co się zmieści, bo bardzo być może, że się na kolację dzisiaj spóźnimy.

Już mieli siadać, ale inżynier ich zatrzymał.

– Chwileczkę, ojczcie Szymonie – rzekł – czy chcecie żebym jadł z apetytem?

– Prosimy o ten zaszczyt, jak o łaskę, panie James – odparł Szymon Ford.

– Muszę się więc przedewszystkiem pozbyć wszelkiego roztargnienia. Pozwólcie mi zadać dwa pytania.

– Słucham pana, panie James.

– Odebrałem wasz list, który mi donosi o jakiejś wiadomości, mającej mnie żywo obchodzić.

– Obchodzi ona pana niezawodnie.

– Ze względu na was?...

– Tak samo dla mnie, jak i dla pana jest ona nadzwyczaj ważną, panie James. Nie dowie się pan jednak o niej aż po jedzeniu i na samem miejscu – inaczej nie uwierzyłbyś.

– Szymonie – rzekł inżynier – spójrzcie mi w oczy... A więc wiadomość ważna?... Acha!... Dobrze!... Nie pytam was więcej – dodał – jakby odgadując we wzroku starego sztygara odpowiedź, jakiej żądał.

– A drugie pytanie? – rzekł Szymon.

– Nie wiecie też Szymonie kto pisał ten list anonimowy? – pytał inżynier, podając staremu list bez podpisu.

Szymon Ford wziął pismo do ręki i odczytał je uważnie, następnie podał synowi.

– Czy znasz charakter tego pisma? – zapytał.
– Nie, ojciec – odrzekł Henryk.
– List ten nosił stempel biura pocztowego z Aberfoyle? – pytał Szymon Ford inżyniera.
– Tak samo jak i wasz – odrzekł James Starr.
– Cóż o tem myślisz, Henryku? – rzekł Szymon Ford, którego czoło zmarszczyło się na chwilę.
– Myślę ojciec, że widocznie ktoś miał interes w przeszkodzeniu panu James Starr, aby nie przybył na czas i miejsce oznaczone przez ciebie.
– Ale któż taki? – zawołał stary górnik. – Któż mógł przeniknąć mój sekret?

I Szymon Ford zamyślił się, zbudził go głos Magdaleny.

– Siadajmy proszę, panie Starr – rzekła. – Zupa stygnie. Przestańmy myśleć na chwilę o tym liście.

Na to zaproszenie wszyscy zasiedli przy stole, James Starr na honorowym miejscu naprzeciwko Magdaleny, ojciec i syn naprzeciwko siebie.

Była to prawdziwa uczta szkocka. Podano najpierw zupę zwaną »hotchpotch«, czyli doskonały bulion, w którym pływały obficie kawałki mięsa. Zdaniem starego Szymona nikt lepiej od jego żony nie znał sposobu przyrządzania tej zupy.

To samo było zresztą i z potrawką zwaną »cockyleekey« przyrządzoną z koguta z porami. Była po prostu wyborną.

Zakropiono to wszystko piwem »ale«, pochodzącym z najlepszych edynburskich browarów.

Główną potrawę stanowił »haggis«, czyli budyń narodowy, zrobiony z mięsa i mąki jęczmiennej.

Znakomita ta legumina, która natchnęła poetę Burnsa do napisania jednej z najlepszych ód swoich, doznała losu wszystkich doskonałości tego świata: znikła jak marzenie.

Magdalena otrzymała najszczerze pochwały od swego gościa.

Na zakończenie śniadania podano deser złożony z sera i »cakes«, ciastek owsianych, wybornie przyrządzonych, które zagryzano, popijając z maleńkich kieliszków »usquebaugh«, doskonałą żytniówkę dwudziestopięcioletnią, rówieśnicę Henryka.

Uczta trwała dobrą godzinę.

James Starr i Szymon Ford nie tylko się najedli, ale się nagawędzili o kopalni Aberfoyle.

Henryk siedział milcząco i zamyślony. Po dwakroć wstawał od stołu i wychodził z izby, nasłuchując dokoła. Znać było po nim jakiś niepokój od chwili przypadku z kamieniem, pragnął odkryć przyczynę tego niezrozumiałego dlań faktu. List anonimowy niepokoił go również.

Inżynier, korzystając z jego nieobecności, rzekł do Szymona Ford i Magdaleny:

– Zaczęliście macie chłopca, moi drodzy!

– Tak, panie James, dobre to i przywiązane do nas dziecko – odrzekł

żywo stary nadsztygar.

– I podoba mu się tu u was na »folwarku«?

– Nie chciałby za nic nas opuścić.

– Trzeba jednak myśleć o żonie dla niego.

– O żonie dla Henryka! – odparł Szymon Ford. – O dziewczynie tam z góry, któraby lubiła zabawy, tańce, któraby wolała swoją wioskę od naszej kopalni! Henryk ani myśli o podobnej.

– Szymonie – rzekła Magdalena – nie wymagałbyś przecież, by się Henryk wcale nie ożenił.

– Nie wymagam – odrzekł stary górnik – ale nic pilnego! Kto wie, czy mu nie znajdziemy...

Henryk wszedł do izby i Szymon zamilkł. Magdalena wstała od stołu, wszyscy poszli za jej przykładem i zasiedli na chwilę przed bramą folwarku.

– A zatem Szymonie – rzekł inżynier – słucham was.

– Panie James – odrzekł Szymon Ford – nie potrzeba mi pańskich uszu, ale pańskich nóg raczej. Czy pan dobrze odpoczął?

– Doskonale mój Szymonie. Gotów jestem iść za tobą wszędzie, gdzie ci się tylko spodoba.

– Henryku – rzekł Szymon Ford – odwracając się do syna – zapal nasze lampy bezpieczeństwa.

– Bierzecie lampy bezpieczeństwa! – zawołał James Starr zdziwiony, ponieważ nie można się było spodziewać eksplozyi gazów w sztolni zupełnie pozbawionej węgla.

– Tak, panie James, trzeba zawsze być roztropnym.

– No, to może mi każecie od razu przybrać i ubiór górnika? mój drogi Szymonie.

– Jeszcze nie teraz, panie James! jeszcze nie teraz! – odparł stary nadsztygar, którego oczy dziwnie zabłyśły.

Henryk wyszedł niebawem, wynosząc trzy lampy bezpieczeństwa.

Jedną z nich podał inżynierowi, drugą ojcu, a trzecią zawiesił sobie na lewej ręce, podczas gdy prawą ścisnął długi i gruby kij.

– W drogę! – rzekł Szymon Ford, który się uzbroił w silny oskard, stojący przy samych drzwiach ich domu.

– W drogę! – powtórzył inżynier. – Do widzenia Magdaleno!

– Idźcie z Bogiem! – odrzekła Szkotka.

– A zgotuj nam dobrą kolację, żono – zawołał Szymon Ford. – Będziemy głodni za powrotem i nieomieszkamy jej uczcić odpowiednio.

Rozdział VI

Kilka zjawisk niezrozumiałych.

Wiadomo wszystkim, jakie są zabobonne wierzenia w niższych i wyższych krainach Szkocji. W niektórych wioskach, pomniejsi dzierżawcy gruntów, zbierający się na wieczornicach, lubią powtarzać baśnie zapożyczone z repertuaru mitologii północnej. Nauka chociaż szeroko i szczerze udzielana w tym kraju, nie była dotąd w stanie umieścić tych legend w rzędzie bajek i żyją one jakby wkorzenione w sam grunt starej Kaledonii. Jest to kraj duchów i upiorów, ogników i wróżek. Tam to zjawia się ciągle jeszcze geniusz złośliwy, którego opłacać trzeba, żeby się usunął, zwany »Seer«, u górali szkockich, przepowiada on śmierć bliską. »May Moullach« występuje pod postacią młodej dziewczycy o ramionach pokrytych włosami, uprzedza rodziny o nieszczęściach, jakie je spotkać mają; wróżka »Branshie«, która oznajmia smutne zdarzenia, »Brawnies« mają sobie powierzone ruchomości po domach; »Urisk« przebywa szczególnie w dzikich wąwozach, koło jeziora Katrine i wiele innych.

Pojąc łatwo, że ludność, przebywająca w kopalniach węgla w Szkocji musiała się zaopatrzyć w swój własny zbiór legend i baśni, który dołączyła do tego repertuaru mitologicznego. Jeżeli góry szkockie zaludnione są istotami fantastycznymi, złemi i dobrymi, tembardziej ciemne kopalnie musiały zostać wypełnione w najgłębszych swych zakątkach. Któżby wstrząsał w posadach pokłady całe podczas nocy burzliwych? Kto wskazuje i naprowadza na ślad żyły dotąd niewyeksplloatowanej? Kto zapala gazy i sprowadza wybuchy straszne, jeżeli nie geniusze kopalni?

Była to przynajmniej opinia najbardziej rozpowszechniona wśród zabobonnych Szkotów. W istocie większość górników wierzyła chętnie w świat fantastyczny, gdy chodziło po prostu o jakieś fizyczne zjawisko, i napróżnoby czas tracił ten, ktoby tych ludzi chciał przekonać. Gdzieżby też łatwowierność znalazła szersze pole do domysłów, niż na dnie tych głębokich przepaści?

Otóż i kopalnie Aberfoyle eksploatowane od dawna w krainach legend, bardzo łatwo się nadawały do wszystkich zjawisk nadprzyrodzonych.

Obficie się też owe legendy roily. Trzeba dodać, że niektóre zjawiska niewytłómaczone dotąd, dodawały nowego pokarmu łatwowierności ogólnej.

W pierwszym rzędzie zabobonnych górników ze sztolni Dochart stał także Jakób Ryan, towarzysz i przyjaciel Henryka. Był to może największy zwolennik wszystkiego, co nadprzyrodzone. Wszystkie te historie fantastyczne przemienił w piosenki, które mu zapewniały powodzenie wielkie podczas zimowych wieczornic.

Nietylko Jakób Ryan, lecz i towarzysze jego twierdzili niemniej głośno, że kopalnie Aberfoyle były zamieszkałe przez duchy, które dosyć często przypominały swoje istnienie, jak to miewało miejsce w górach. Czyż może być lepsza widownia od tych ciemnych i głębokich kopalni? Czyż gdziekolwiek indziej geniusze, ogniki, dyabliki i inni aktorowie tych fantastycznych dramatów, mogłyby tak bezpiecznie i swobodnie igrzać? Dekoracye stały gotowe, czemużby ten nadprzyrodzony personal nie zechciał odegrać swej roli.

Tak twierdził Jakób Ryan i jego towarzysze z kopalni Aberfoyle. Liczne sztolnie łączyły się z sobą za pomocą galeryi i chodników podziemnych, porobionych pośród żył węglodajnych. Tak więc pod całym hrabstwem Stirling istniały ogromne gęszcze tuneli, piwnic, szybów, rodzaj podziemnego labiryntu, przedstawiającego się jak olbrzymie mrowisko.

Górnicy różnych sztolni spotykali się często z sobą, idąc lub wracając z robót. Stąd ciągła łatwość zamieniania i udzielania sobie wiadomości, które następnie obiegały całą kopalnię. Opowiadania rozchodziły się z nadzwyczajną szybkością, przechodząc z ust do ust i rosnąc coraz bardziej.

Dwóch ludzi posiadających więcej nauki, a może i silniejszego temperamentu, umiało się oprzeć ogólnej łatwowierności.

Nie chcieli oni żadną miarą przyznać istnienia dyablików, geniuszów ani wróżek.

Tymi ludźmi byli Szymon Ford i syn jego. Dowiedli tego, mieszkając dalej w ciemnej krypcie, po opuszczeniu przez wszystkich sztolni Dochart. Może być, że stara Magdalena miała niejaką skłonność do wiary w nadprzyrodzone siły, była to bowiem prawdziwa szkotka-góralka. Ale musiała się zadowolnić opowiadaniem cudownych legend sobie samej, czego też nie zaniedbywała czynić z obawy, aby nie stracić starych tradycji.

Szymon i Henryk Ford nie opuściliby zresztą swojej kopalni, chociażby nawet wierzyli tak, jak ich towarzysze we wróżki i duchy. Nadzieja odkrycia jakiejś nowej żyły dodawała im siły do stawienia czoła fantastycznym zastępom. Mieli oni jedną tylko wiarę, jeden zabobon: nie mogli przypuścić, żeby pokłady węglowe Aberfoyle zostały w zupełności wyczerpane. Można śmiało twierdzić, że Szymon Ford i syn jego mieli pod tym względem wiarę prostaków, tę wiarę w Boga, której nikt zachwiać nie jest w stanie.

Dlatego też od lat dziesięciu, nie opuszczając jednego dnia, tak ojciec jak i syn brali do ręki oskard, kij i lampę.

Szli tak we dwóch, szukając, macając po skale, uderzając w nią i nadśluchując, czy nie odezwie się echem pożądanem.

Dopóki poszukiwania dochodziły do granitowych pokładów pierwotnych, Szymon i Henryk byli zdania, że to, czego dzisiaj nie odkryli, odkryją jutro i dlatego nie trzeba zaprzestać poszukiwań. Życie całe postanowili spędzić w kopalni Aberfoyle, usiłując przywrócić jej dawną świetność. Jeżeliby ojciec nie doczekał tej szczęśliwej chwili, syn miał prowadzić zadanie na swoją rękę.

Równocześnie ci dwaj stróże namiętnie przywiązani do swej kopalni, przebiegali ją w celach utrzymania w niej porządku. Przekonywali się o trwałości podpór, podtrzymujących sklepienia, szukali, czy jakie osunięcie się gruntu nie było możliwe, i czy nie groziło niebezpieczeństwo zasypania której części sztolni. Badali ślady wnikania wód zewnętrznych i odprowadzali je ku większym zbiornikom.

Jednym słowem przyjęli na siebie dobrowolny obowiązek pilnowania tego przybytku jałowego, z którego tyle bogactw niegdyś wyszło, dziś zamienionych w dymy i popioły.

Podczas tych wycieczek, zdarzyło się parokrotnie Henrykowi natknąć się na zjawiska, których wytłómaczyć sobie nie umiał.

I tak po kilkakrotnie zdawało mu się, idąc wązkimi chodnikami, że słyszy silne uderzenie oskarda, wymierzone w boczne ściany sztolni. Henryk,

którego ani nadprzyrodzone, ani przyrodzone siły wystraszyć nie mogły, przyspieszył kroku, żeby pochwycić przyczynę tych tajemniczych odgłosów.

Tunel był pusty.

Lampka młodego górnika, podnoszona w górę ku ścianom, nie wykryła najmniejszego śladu uderzeń oskardem. Henryk zapytywał siebie, czy nie był igraszką iluzji akustycznej, jakiegoś dziwnego i fantastycznego echa.

Innym razem znowu, kierując nagle światło w zagłębienie podejrzone, ujrzał wyraźnie prześlizgujący się cień jakiś. Przyspieszał kroku... Nic nie zauważył i ani śladu przejścia jakiejś ziemskiej istoty.

W ostatnim miesiącu po dwakroć słyszał, zwiedzając zachodnią stronę kopalni, dalekie odgłosy wystrzałów, jakby który z górników urządzał wybuch naboju dynamitowego.

Za drugim razem, po nadzwyczaj ścisłych poszukiwaniach, udało mu się znaleźć jeden z filarów nadwyrężony nabojem.

Przy świetle lampki Henryk uważnie obejrzał ścianę dotkniętą przez nabój. Nie była ona zlepiąca z kamieni, ale ze skały łupkowej, która dochodziła aż do tej głębokości w pokłady węglowe. Czy wybuch miał na celu odkrycie nowej żyły? Czy też usiłowano jedynie zburzyć część kopalni? Henryk sam siebie o to zapytywał i gdy ojca zawiadomił o wypadku, ani stary, ani on, nie mogli sobie zadowalniającej znaleźć odpowiedzi.

– To dziwne – mawiał często Henryk. – Obecność istoty nieznannej w kopalni wydaje się niemożliwą, a jednak trzeba w nią wierzyć. Czyżby kto inny prócz nas chciał się przekonać o istnieniu jakiejś żyły nowej? Albo czy też nie stara się on raczej zniszczyć doszczętnie dawnej kopalni Aberfoyle? Ale w jakimże celu? Dowiem się o tem, choćbym miał życie postradać!

Na dwa tygodnie przed przybyciem inżyniera do sztolni Dochart, Henryk myślał, że jest u celu swych poszukiwań.

Przebiegał stronę południowo zachodnią kopalni z pochodnią w dłoni.

Naraz zdawało mu się, że jakieś światło zagasło o kilkaset kroków przed nim, w głębi ciemnego komina, który przecinał ostro galeryę. Rzucił się pospiesznie w danym kierunku.

Próżne poszukiwania.

Ponieważ Henryk nie nadawał przedmiotom fizycznym znaczenia nadprzyrodzonego, przeto stanowczo się upewnił, że jakaś istota nieznaną błędziła po kopalni. Ale pomimo wszelkich poszukiwań, pomimo badania najmniejszych nierówności ścian galeryi, nic nie znalazł.

Zdał się więc zupełnie na wypadek, dzięki któremu miał poznać tajemnicę. Od czasu do czasu widział co prawda światełka latające tu i tam, jakby ogniki na bagnach, ale zjawiska te przemknęły jak błyskawica.

Gdyby Jakób Ryan i inni zabobonni górnicy ujrzeli te światełka fantastyczne, niezawodnie zawołałiby, że to duchy.

Ale Henryk ani myślał o tem. Stary Szymon tembardziej. I skoro obaj rozmawiali o tych zjawiskach, pewni byli, iż powstały one drogą naturalną.

– Mój synu – mówił stary nadsztygar – czekajmy! Wszystko to wyjaśni się kiedyś!

Trzeba jednak przyznać, że nigdy dotąd ani Henryk, ani ojciec jego, nie

byli narażeni na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

Jeżeli kamień, który spadł dzisiaj u nóg Jamesa Starr, rzucony został ręką zbrodniczą, był to pierwszy czyn złośliwy w tym rodzaju.

James Starr sądził, że ten kamień mógł paść oderwany od sklepienia galeryi. Ale Henryk nie przypuszczał tak prostego tłumaczenia. Według niego kamień nie upadł, ale został rzucony.

Nie mógłby zakreślić półkola w powietrzu i paść bokiem, gdyby nie był skierowany obcą siłą.

Henryk widział w tem jeszcze usiłowanie jakiegoś zamachu na niego, na starego ojca, a nawet na inżyniera.

Potem cośmy wyżej powiedzieli, być może że miał słusność.

Rozdział VII

Doświadczenia Szymona Ford.

Dwunasta w południe biła na starym zegarze drewnianym wielkiej izby, gdy James Starr i jego dwaj towarzysze opuścili siedzibę Fordów.

Światło, dochodzące przez szyb wentylacyjny, oświecało słabo placyk przed mieszkaniem. Lampka Henryka niepotrzebną jeszcze była, ale niedługo miała im zacząć służyć, ponieważ stary nadsztygar poprowadził inżyniera do innego krańca sztolni Dochart. Przebiegłszy przestrzeń dwumilową głównej galeryi, trzej poszukiwacze przybyli do wejścia wąskiego tunelu. Był to rodzaj zamkniętej kiszki bez wyjścia, o sklepieniu spoczywającym na balach drewnianych, pokrytych mchem białawym. Tunel ten przebiegał tą samą linię, którą na tysiąc pięćset stóp ponad nimi płynęła rzeka Forth.

Chociaż James Starr znał dobrze dawniej wszystkie zakręty i zaułki sztolni Dochart, jednakże Szymon Ford przypominał mu plan ogólny, porównyując go z kartą geograficzną gruntu nad kopalnią.

James Starr i Szymon Ford rozmawiali, idąc. Henryk poprzedał ich, oświecając drogę.

Często nagłym ruchem kierował rzut światła w ciemniejsze zagłębienia, pragnąc tym sposobem oświetlić jakiś cień podejrzany.

– Czy daleko tak iść będziemy Szymonie? – zapytał inżynier.

– Jeszcze z pół milki, panie James. Dawniej przejechalibyśmy tę przestrzeń siedząc wygodnie w tramwaju mechanicznie poruszonym. Jak to już dawno jednak!

– Idziemy więc do ostatniego kresu żyły węglowej? – zapytał James Starr.

– Tak panie! Ot widzę, żeś pan nie zapomniał jeszcze drogi w naszych kopalniach.

– Trudno byłoby iść dalej, jeżeli się nie mylę, nieprawdaż Szymonie?

– W istocie panie James. W tem miejscu, oskardy nasze oderwały ostatni

kawałek węgla z pokładu. Pamiętam tę chwilę, jakby to dzisiaj było. Sam, własną ręką ostatni cios zadałem i odbił się on w mojej piersi mocniej niż na skale! Wokoło nas pozostały ściany z łupku lub gliny samej, a gdy wagonik poruszył się ku wyjściu, poszedłem za nim z bijącym sercem, jak się idzie za pogrzebem żebraka. Zdawało mi się, że to dusza kopalni uchodziła z nim razem!

Powaga, z jaką stary nadsztygar wymówił te słowa, wzruszyła do głębi inżyniera, który w duchu może podzielał te uczucia. Tak samo czuć musi marynarz, opuszczający okręt rozbity, rolnik, gdy przed nim runie domostwo przodków.

James Starr uściskał rękę Szymona, ale i Szymon schwycił dłoń inżyniera i szepnął:

– Panie, w dniu tym pomyliliśmy się wszyscy. Nie! Stara kopalnia nie umarła! Górnicy opuszczali wtedy mniemanego trupa, a przecież panie James, ja śmiało twierdzić mogę, że jego serce jeszcze bije!

– Mówże więc Szymonie! Odkryliście nową żyłę? – zawołał inżynier, który nie mógł zapanować nad sobą. Wiedziałem o tem! List wasz nie mógł co innego oznaczać. Ważna wiadomość dla mnie, w sztolni Dochart! Jakież inne odkrycie mogłoby mnie zająć, jeżeli nie pokład węglowy?

– Panie James – odrzekł stary prostodusznie, nie chciałem prócz pana kogokolwiek uprzedzać.

– I dobrzeście zrobili Szymonie! Ale powiedzcież mi jakim sposobem, przez jakie sondy, doszliście do tego?

– Posłuchaj mnie pan, panie James – odrzekł Szymon Ford. Nie odnalazłem pokładu...

– Cóż więc?

– Jedynie dowód namacalny, że ten pokład istnieje.

– Jakiż to dowód?

– Czy pan może przypuścić, żeby się gaz wydobywał z wnętrza ziemi, jeżeli niema węgla, któryby go wytwarzał?

– Nie – zawołał inżynier. Bez węgla nie może być gazu! Niema skutków bez przyczyny.

– Tak jak niema dymu bez ognia!

– A zatem przekonaliście się o obecności węglowodoru?

– Stary górnik taki jak ja, panie James, nie może się mylić. Poznałem naszego dawnego wroga, materiał wybuchowy!

– Gdyby to jednak był inny gaz – rzekł James Starr. – Węglowodór jest prawie bezwonny a zupełnie bezbarwny. Zdradza też swoją obecność jedynie przez wybuch!...

– Panie James – rzekł Szymon Ford, czy pozwolisz mi pan opowiedzieć sobie, co zrobiłem... i jak to zrobiłem... na mój sposób, pomijając rozwlekłość?...

James Starr znał dobrze starego nadsztygara, wiedział, że najlepiej było nie krępować go.

– Panie James – mówił Szymon Ford – od lat dziesięciu ani jeden dzień nie przeszedł, żebyśmy nie marzyli o przywróceniu kopalni jej dawnej

światłości – powtarzam – ani jeden dzień! Jeżeli istniał jakikolwiek jeszcze pokład węgla musielibyśmy go odkryć! Jakich środków użyć ku temu? Sondowania? Było to dla nas niemożliwe, ale mieliśmy instynkt górników, a często prosty instynkt prędzej prowadzi do celu niż rozum. Takie jest moje zdanie.

– Nie przeczę – odparł inżynier.

– Otóż Henryk zauważył parę razy podczas swych wycieczek do zachodniej strony kopalni, że się pojawiały ogniki, które nagle gasły, przechodząc poprzez warstwy łupku lub obmurowania galeryi krańcowych. Z jakiego powodu te ogniki się zapalały, nie mogłem i nie mogę dziś jeszcze tego powiedzieć. Ale widocznym było dla nas, że ogniki te spowodowane były przez obecność gazu, a dla mnie gaz, to żyła węglowa.

– Czy te ogniki nie wybuchają? – zapytał żywo inżynier.

– Owszem, małe częściowe wybuchy – rzekł Szymon Ford – takie, jakie sam sprowadzałem, gdy chciałem się przekonać o obecności gazu. Przypomina pan sobie w jaki sposób starano się uprzedzić wybuchy dawniej w kopalniach zanim nasz dobry geniusz, Humphry Davy – nie wynalazł lampki bezpieczeństwa?

– Przypominam sobie – odpowiedział James Starr. – Chcecie mówić o » pokutniku«. Ale nigdy go nie widziałem pełniącego swoje obowiązki.

– W istocie, panie James, pan jest jeszcze za młody, pomimo pięćdziesięciu pięciu lat swoich, nie mogłeś tego widzieć. Ale ja o dziesięć lat starszy od pana widziałem jeszcze ostatniego pokutnika w kopalni. Nazywam go tak, gdyż nosił długą suknię mnicha na sobie. Prawdziwe jego miano było »fireman«, człowiek ogniowy. W tych czasach nie znano innego sposobu niszczenia szkodliwego gazu, jak tylko zapalając go częściowo, zanim się mógł nagromadzić w większej ilości pod sklepieniem galeryi, jako nadzwyczaj lekki. Dlatego też pokutnik z maską na twarzy, z kapturem grubym na głowie, z korpusem ściśniętym w gruby ostry habit, czołga się przy samej ziemi. Oddychał w ten sposób czystym powietrzem warstw niższych, a w prawej ręce trzymał zapaloną pochodnię, którą ponad swoją głowę poruszał. Jeżeli się gaz znajdował w powietrzu w większej ilości, następował wybuch, który jednak szkodliwym nie był i powtarzając często tę czynność, uprzedzano zwykle katastrofy. Czasami pokutnik, uderzony gromem wybuchu został na miejscu. Inny go zaraz zastępował. Tak się działo, do chwili zastosowania lampki Davy'ego przez wszystkie kopalnie węgla. Znałem ten sposób i używając go, przekonałem się o obecności gazu, a co za tem idzie nowego pokładu węglowego w sztolni Dochart.

To co stary nadsztygar opowiedział o pokutniku było zupełną prawdą. W taki to sposób dawniej oczyszczano powietrze w galeryjach kopalni węgla.

Węglowodór, czyli gaz błotny, bezbarwny, prawie bezwonny, mało światła dający, jest zupełnie niezdolny do oddychania. Górnik nie mógłby żyć w miejscu napełnionym tym gazem szkodliwym, tak, jak niemożna żyć wewnątrz gazometru, napełnionego gazem oświetlającym. Zetknięcie się tego gazu z płomieniem sprowadza wybuch i najstraszniejsze często katastrofy.

Temu niebezpieczeństwu zapobiegła lampa Davy'ego, odosobniając płomień w cylindrze z tkaniny metalowej; tym sposobem gaz wypala się wewnątrz nie dopuszczając nigdy zajęcia się na zewnątrz. Ta lampka bezpieczeństwa została udoskonaloną w najrozmaitszy sposób. Jeżeliby się

stłukła, gaśnie natychmiast. Jeżeliby, pomimo wyraźnego zakazu, górnik chciał ją roztworzyć, gaśnie również. Dlaczego więc wybuchy zdarzają się jeszcze często? Dlatego, że nic nie jest w stanie przeszkodzić nieostrożności robotnika, który chce koniecznie zapalić fajkę lub przypadkowemu wydobywaniu się iskry, gdy jakie narzędzie uderzy o krzemień.

Nie wszystkie kopalnie mają tego wroga w postaci gazu szkodliwego. W tych, gdzie go niema używają lampek zwyczajnych. Taką jest sztolnia Thiers, w kopalniach Anzin. Lecz gdy węgiel eksploatowanego pokładu jest tłusty, zawierać musi pewną ilość materii lotnych i gaz wybuchowy może się wydobywać w wielkiej obfitości. Jedynie lampka bezpieczeństwa może przeszkodzić wybuchom tem straszniejszym, że górnicy, którzy nie zostali zabici od wybuchu, mogą się zadusić po galeryach, napełnionych gazem szkodliwym, utworzonym po zapaleniu, czyli kwasem węglowym.

W drodze Szymon Ford opowiedział inżynierowi wszystko, co uczynił dla dopięcia swego celu, jak się przekonał, że gaz wybuchający wydobywa się w głębi ostatniej galeryi, w stronie zachodniej; w jaki sposób spowodował małe, częściowe wybuchy, dotykając pochodnią warstw łupkowych, a te wybuchy przekonały go, że gaz uchodził w drobnych ilościach wprawdzie, ale nieustannie.

W godzinę po opuszczeniu domostwa, James Starr i jego dwaj towarzysze przebyli przestrzeń czteromilową. Inżynier upojony nadzieją i żądzą dowiedzenia się, przebył tę drogę, nie myśląc wcale o jej długości. Zastanawiał się nad tem, co mu mówił stary górnik. Ważył w myśli wszystkie okoliczności, stwierdzające przypuszczenia nadsztygara. Wierzył wraz z nim, że to uchodzenie bezustanne węgłowodoru oznaczało z pewnością istnienie nowego pokładu węglowego. Gdyby to był jedynie pewien zbiornik napełniony gazem, jaki się czasami znajduje pomiędzy warstwami, byłby się wkrótce wyczerpał i zjawisko przestałoby się powtarzać. Podług twierdzenia Szymona Ford, gaz się wydobywał bezustannie i z tego możnaby wnosić o istnieniu jakiejś znacznej żyły węgla. Co za tem idzie, bogactwa sztolni Dochart mogły nie być zupełnie wyczerpane.

Henryk, który poprzedzał ojca i inżyniera, zatrzymał się nagle.

– Otóż przybyliśmy! – zawołał stary górnik. – Dzięki Bogu, że i pan tu z nami, nareszcie więc dowiemy się...

Głos silny zwykle starego nadsztygara zadrżał.

– Mój drogi Szymonie – rzekł mu inżynier – uspokójcie się! Jestem na równi z wami wzruszony, ale nie trzeba nam tracić czasu!

W tem miejscu ostatnia galeryja kopalni tworzyła rodzaj ciemnej pieczary. Żadnego szybu nie było w tej stronie i galeryja, rozciągająca się tak obszernie we wnętrzu gruntu, pozostawała bez wybitnej łączności z powierzchnią hrabstwa Stirling.

James Starr, żywo zainteresowany, badał wzrokiem miejscowość, w której się znajdował.

Widniały jeszcze na krańcowej ścianie pieczary ślady uderzeń oskardów, a nawet dziury, w które wkładano naboje, rozrywające ostatnią skałę przy eksploatacyi.

Pokład ten łupkowy był nadzwyczaj twardy i nie potrzeba było obmurowywać ścian w tem miejscu, gdzie wszelkie roboty ustać miały.

Istotnie tutaj ginął ostatni ślad żyły węglowej wśród łupku i gliny gruntu trzeciorzędowego. Tutaj, w temże miejscu, wydobyty został ostatni kawałek materiału palnego w sztolni Dochart.

– Tutaj panie James – rzekł Szymon Ford, podnosząc swój oskard – tutaj napoczniemy ścianę, po za którą na mniejszej lub większej głębokości znajduje się żyła, której obecność i istnienie stwierdzam.

– Czy to na powierzchni tej ściany zauważyliście obecność gazu? – zapytał inżynier.

– Tak jest, panie James – odrzekł Szymon Ford – i zapaliłem go, zbliżając tylko lampkę do warstw łupkowych. Henryk to samo stwierdził.

– W jakiej wysokości? – zapytał James Starr.

– Na dziesięć stóp ponad poziomem gruntu – odrzekł Henryk.

James Starr usiadł na skale. Rzekłbyś, że węszył nosem powietrze pieczary i spoglądał na dwóch górników, jakby powątpiewał w prawdę ich słów, z taką stanowczością wygłoszonych.

Bo też istotnie węglowodór nie jest zupełnie bezwonny, a inżynier zdziwił się zrazu, że węch, który miał bardzo delikatny, nie odczuwał obecności gazu wybuchającego. W istocie, jeżeli ten gaz znajduje się w powietrzu, to chyba w nader małej ilości. A zatem nie było obawy wybuchu i można było bezpiecznie otworzyć lampkę bezpieczeństwa, jak to stary górnik już uczynił.

James Starr w tej chwili nie obawiał się, jak widzimy, zbytnej ilości tego gazu w powietrzu, bał się raczej by go nie było za mało, a nawet by go wcale nie było.

– Czyżby się omylili! – mówił do siebie. – Nie! To są przecież ludzie, którzy się na tem znają! A przecież!...

Czekał więc z pewnym niepokojem, by zjawisko oznajmione przez Szymona ukazało się w jego obecności.

Zdaje się, że to co go zaniepokoiło, ten brak woni charakteryzującej obecność gazu, musiała zwrócić uwagę Henryka, gdyż ten głosem zmienionym, wyrzekł:

– Ojczy, zdaje mi się, że gaz przestał uchodzić poprzez warstwy łupkowe!

– Co ty mówisz! – zawołał stary górnik.

I Szymon Ford, zacisnąwszy wargi, wciągnął nosem powietrze kilkakrotnie. Nagle obrócił się szybko:

– Podaj mi lampkę Henryku! – rzekł do syna.

Schwycił lampkę ruchem gorączkowym. Odszrubował pokrycie z tkaniny metalowej, otaczające płomień, a knot zapłonął na powietrzu.

Żaden wybuch nie nastąpił; a co ważniejsza, nie słychać było nawet lekkiego trzeszczenia, które znamionuje obecność gazu w małej ilości.

Szymon Ford wziął kij Henryka i, przytwierdzając lampkę do jednego końca, podniósł go wysoko w warstwy górne powietrza, gdzie gaz wskutek swej lekkości, byłby powinien się zebrać, choćby w najmniejszej znajdował się ilości.

Płomień lampki prosty i biały nie wykazał żadnego śladu węglowodoru.

– Do ściany! – rzekł inżynier.

– Do ściany – powtórzył Szymon Ford i skierował lampę w tę stronę, gdzie wczoraj jeszcze wraz z synem stwierdzili obecność gazu.

Ręka starego górnika drżała, gdy podnosił lampkę wzdłuż szpar pomiędzy warstwami łupku.

– Zastąp mnie Henryku – wyrzekł nareszcie.

Henryk ujął lampkę i poprowadził ją po ścianie, szukając szpar wyżej wspomnianych; ale potrząsał głową, bo nie było słyhać ani razu tego trzeszczenia właściwego gazowi, który uchodzi.

Wybuch nie nastąpił. Widocznym było, że ani odrobina gazu nie przedostaje się przez ścianę.

– Nie! – zawołał Szymon Ford, zaciskając pięść więcej z gniewu niż ze zdziwienia.

Henryk wydał nagle okrzyk zdumienia.

– Co się stało? – zapytał James Starr.

– Pozatykano szpary między warstwami łupku.

– Naprawdę? – krzyknął stary górnik.

– Patrz, ojczel!

Henryk nie mylił się.

Zatkanie szpar łatwo było można poznać przy świetle lampki. Znać było świeże lepienie wapnem, a na ścianie widniała biaława kresa, źle ukryta pod prochem czarnym węgla.

– To on! – zawołał Henryk – nikt, tylko on!

– On! – powtórzył James Starr.

– Tak jest! – odrzekł młodzieniec – ta istota tajemnicza, która zjawia się koło naszego domostwa, ten, na którego czatowałem tyle nocy bezskutecznie, autor niezawodny tego listu, który miał na celu wstrzymanie przybycia pana, ten nareszcie, który rzucił na nas kamień w galerii szybu Yarow! Niema najmniejszej wątpliwości! Ręka ludzka jest w tem wszystkim!

Henryk mówił z taką energią, iż przekonanie jego udzieliło się natychmiast inżynierowi.

Stary nadsztygar wiedział już o tem wszystkim oddawna.

Zresztą fakt obecny nie ulegał zaprzeczeniu. Pozatykano szpary, poprzez które gaz wczoraj jeszcze uchodził swobodnie.

– Bierz twój oskard Henryku – zawołał Szymon Ford – stań na moich ramionach, mój chłopcze! Jestem dosyć silny, bym cię uniósł!

Henryk zrozumiał.

Ojciec stanął przyparty do muru, Henryk wspiał się na jego ramiona w ten sposób, by oskardem mógł zbić ślady świeżego zatykania ściany. Następnie kilku uderzeniami odbił część skały łupkowej, która te szpary pokrywała.

Lekkie trzeszczenie dało się słyszeć, podobne do odgłosu musującego wina szampańskiego; odgłos ten w kopalniach angielskich znanym jest pod nazwą jednosylabową »puff«.

Henryk chwycił lampkę i przytknął ją do szpary.

Lekki odgłos dał się słyszeć i mały płomyk czerwony, niebieskawy po

brzegach, uniósł się po ścianie, jakby jaki ogień błędny na bagniskach.

Henryk zeskoczył zaraz na ziemię, a stary nadsztygar, nie mogąc ukryć radości swojej, chwycił za ręce inżyniera i zawołał:

– Hurra! panie James! gaz się pali! A więc istnieje żyła węglowa!

Rozdział VIII

Wystrzał dynamitowy.

Doświadczenie zapowiedziane przez starego nadsztygara udało się w zupełności. Węglowodór – jak wiemy – wydostaje się jedynie w pokładach węglowych. A zatem istnienie żyły drogiego opału nie ulegało wątpliwości. Jakie były jej rozmiary i gatunek? miano to poznać niebawem.

Takie były wnioski czynione przez inżyniera po odbytem doświadczeniu. Zgadzały się one w zupełności ze słowami Szymona Ford.

– Tak – mówił do siebie James Starr – za tą ścianą rozciąga się pokład węglowy, którego nasze sondy nie dosięgły. Wielka szkoda, gdyż wszystkie ruchomości kopalni opuszczone i zaniedbane od lat dziesięciu, będą musiały być odnowione zupełnie. Mniejsza o to! Odnaleźliśmy żyłę, która zdawała się być wyczerpaną i tym razem wyeksploatujemy ją do końca.

– No cóż, panie James – zapytał Szymon – co pan myśli o naszym odkryciu? Czym źle zrobił, żem pana trudził? Czy pan żałuje tej ostatniej wizyty złożonej w sztolni Dochart?

– Nie, nie, mój stary towarzyszu! – odrzekł James Starr. – Nie straciliśmy czasu na próżno, ale obyśmy go niepotrzebnie nie tracili obecnie tutaj. Wracajmy zaraz do waszego folwarku. Jutro tu powrócimy. Rozsadzimy tę ścianę za pomocą dynamitu. Odkryjemy nową żyłę, dotknąwszy się jej z lekka i rozpoczniemy seryę sondowań, a jeżeli pokład okaże się obfity, zbiorę na nowo Towarzystwo nowej Aberfoyle, ku wielkiemu zadowoleniu akcjonariuszów! We trzy miesiące trzeba, żeby pierwsze warstwy węgla zostały wydobyte z nowego pokładu

– Oto mi rozumna mowa, panie James! – zawołał Szymon Ford. – Stara kopalnia odmłodzi się, jak wdowa, która powtórnie za męża wychodzi! Całe ożywienie dawniejszych czasów rozpocznie się na nowo wraz z uderzeniem oskardów, młotów, wybuchów miny podłożonej, turkotem wagonów, rżeniem koni, zgrzytem wind, łoskotem maszyn! Zobaczą więc jeszcze to wszystko, zobaczą! Mam nadzieję, panie James, że pomimo mych lat przyjmie mnie pan za nadsztygara!

– Spodziewam się mój dobry Szymonie, czyż możecie na chwilę wątpić o tem! Pozostaliście młodszym odemnie, mój stary towarzyszu!

– Niechaj święty Mungo sił nam tylko doda! Pan będzie znowu naszym »viewerem«. Bodaj długie lata trwała nowa eksploatacja i obym mógł umrzeć, nie oglądając jej końca!

Radość starego górnika nie miała granic. James Starr podzielał jaw zupełności ale pozwalał Szymonowi cieszyć się za nich obu.

Henryk pozostał milczącym. W umyśle jego krążyły jedne za drugimi dziwne okoliczności niezrozumiałe, w pośród których odbyło się odkrycie nowego pokładu. To go niepokoiło o przyszłość.

W godzinę potem James Starr i dwaj jego towarzysze powracali na folwark.

Inżynier zjadł kolację z wielkim apetytem, potwierdzając skinieniem głowy wszystkie plany, jakie przed nim stary nadsztygar roztaczał i gdyby nie projekty jutrzejsze, nigdyby może tak spokojnej nocy nie miał w życiu swoim.

Nazajutrz po obfitem śniadaniu, James Starr, Szymon Ford, Henryk i Magdalena nawet wybrali się w drogę, którą poprzedniego dnia przebyli. Szli już jak prawdziwi górnicy, niosąc ze sobą rozmaite narzędzia i naboje dynamitowe, przeznaczone do wysadzania ściany krańcowej. Henryk niósł olbrzymią pochodnię i dużą lampę bezpieczeństwa, która mogła się palić ze dwanaście godzin. Tyle czasu może nie potrzeba było do odbycia podróży tam i napowrót wraz z przestankami niezbędnymi przy poszukiwaniach.

– Do dzieła! – krzyknął Szymon Ford, przybywszy wraz z towarzyszami swymi do końca galeryi.

I chwycił w rękę ciężki oskard, którym obracał jak piórkiem.

– Przepraszam – rzekł James Starr. – Zobaczymy wpierw, czy żadna zmiana nie zaszła od wczoraj i czy gaz się ciągle wydobywa poprzez ścianę.

– Masz pan słuszność, panie Starr – odrzekł Henryk.

Magdalena, siedząc na skale, badała uważnie wklęsnięcie i ścianę, którą trzeba było przebić.

Przekonano się, że wszystko tak stało, jak pozostawiono wczoraj. Szpary pomiędzy warstwami żadnej nie uległy zmianie. Węglowodór przedostawał się na zewnątrz, chociaż w małej ilości, z tego zapewne powodu, że od wczoraj miał wolne przejście. Jednak, to wydostawanie się na zewnątrz tak było ograniczonem, że nie mogło żadną miarą spowodować silniejszego wybuchu. James Starr i jego towarzysze mogli przeto postępować z całym bezpieczeństwem.

– A zatem do dzieła! – powtórzył Szymon Ford.

Niebawem pod jego oskardem skała zaczęła się kruszyć i rozpadać w kawały.

Składały ją głównie warstwy mieszane, ułożone pomiędzy łupkiem a gliną, jak to się najczęściej zdarza przy styczności z żyłą węglową.

James Starr podnosił kawały, które odlatywały wokoło i przyglądał się im uważnie, spodziewając się znaleźć jakieś ślady węgla.

Pierwsza ta robota trwała blisko godzinę. Powstało dosyć spore wklęsnięcie w ścianie krańcowej.

James Starr wybrał wtedy miejsce, gdzie miały być wykute dziury do zasadzania min i pracę tę wykonał Henryk szybko dłutem i młotkiem. Powsadzano w te otwory naboje dynamitowe. Przytwierdzono do nich długi knot, napojony żywicą i otoczony tkaniną bezpieczeństwa, wreszcie zapalono go przy samej ziemi. James Starr i jego towarzysze usunęli się na bok.

– Ach panie James – rzekł Szymon Ford tak głęboko wzruszony, że nie mógł nad głosem swoim zapanować – nigdy mi jeszcze w życiu serce tak mocno nie biło. Chciałbym już dostać się do węgla!

– Cierpliwości Szymonie – rzekł inżynier. – Nie spodziewasz się chyba znaleźć za tą ścianą gotowych galeryi i chodników.

– Przepraszam pana, panie James – odparł stary nadsztygar. – Spodziewam się i tego. Jeżeliśmy z Henrykiem mieli szczęście odnaleźć to schronienie, czemuż fortuna nadal niema nam sprzyjać?

Wybuch dynamitu nastąpił. Głuchem echem odbił się po całej sieci galeryi podziemnych.

James Starr, Magdalena, Henryk i Szymon Ford, przybiegli razem do ściany.

– Panie James! panie James! – wołał stary nadsztygar. – Patrz pan! Brama wysadzona!...

Henryk chciał się rzucić, przeskoczyć przez otwór. Inżynier ogromnie zdziwiony tą głębią, którą znaleźli, wstrzymał młodego górnika.

– Czekaj, aż się powietrze wewnętrzne oczyści trochę – powiedział.

– Tak, tak, strzeżmy się złych wyziewów kopalnianych – zawołał Szymon Ford.

Kwadrans przeszedł w strasznym oczekiwaniu.

Pochodnia umieszczona na końcu kija, została wsunięta w zagłębienie i paliła się dalej tym samym blaskiem.

– Idź, idź Henryku – rzekł James Starr – idziemy za tobą.

Otwór rozerwany dynamitem był zupełnie wystarczającym na przejście jednego człowieka.

Henryk z pochodnią w ręku skoczył w otwór bez wahania i zniknął w ciemnościach.

James Starr, Szymon Ford i Magdalena stanęli nieruchomo, czekając.

Upłynęła minuta, która im się wydała wiekiem. Henryk nie powracał, ani nie wołał.

James Starr zbliżył się do przejścia, ale nie ujrzał nawet blasku lampy, która oświetać miała ciemne zagłębienie.

Czy Henryk nie znalazł gruntu pod nogami? Czy może wpadł w jakąś czeluść lub przepaść, z której głos do nich dochodzić nie mógł.

Stary nadsztygar nie słuchając więcej, miał już wejść do otworu, gdy nagle ukazało się najpierw słabe światło, które się wkrótce wzmocniło i głos Henryka dał się słyszeć.

– Chodźcie, panie Starr! chodźcie ojczy! Droga do Nowej Aberfoyle otwarta.

Rozdział IX

Nowa Aberfoyle.

Gdyby z pomocą siły jakiejś nadludzkiej, inżynierowie mogli unieść razem na grubość tysiąca stóp cały kawał tej skorupy ziemskiej, która podtrzymuje mnóstwo jezior, rzek, odnóg i gruntów nadbrzeżnych hrabstwa Stirling, Dumbarton i Renfrew, znaleźliby pod tą ogromną pokrywą wklęsnięcie niezmiernie, podobne do sławnej groty Mammotha, w stanie Kentucky.

Wklęsnięcie to tworzyło się z setek tysięcy otworów i komórek, różnych form i wielkości. Rzekłbyś, że to ul olbrzymi z mnóstwem piętrowych celek, rozrzuconych kapryśnie na szerokiej skale, który zamiast pszczół, mógłby pomieścić wszystkich ichtyozaurów, megateryumów i pterodaktyłów epoki geologicznej!

Cały labirynt galeryi, niektóre wyższe od najwyższych sklepień katedralnych, inne podobne do zwężonych i krętych korytarzy kościelnych, jedne idące horyzontalnie, drugie pionowo w różne strony, łączyły wszystkie te wklęsnięcia i pozostawiały wolną komunikację pomiędzy nimi.

Słupy podtrzymujące te sklepienia, których linia gęsta przypominała wszystkie style, grube mury, ciężko osiadłe pomiędzy galeryami, korytarze nawet, na tem piętrze drugorzędnych pokładów, zlepione były z gliny i skał łupkowych. Ale wśród tych warstw nieużytych i silnie z sobą ściśniętych, biegły ogromne żyły węgla tak, jakby krew czarna tej dziwnej kopalni lała się ustawicznie wśród niedościgłej sieci. Pokłady te rozciągały się na czterdzieści mil od północy do południa, a podchodziły aż pod kanał Północny. Wielkość tego basenu nie mogła być oznaczoną aż po dokonanych sondowaniach, ale mogła przewyższać wielkość pokładów węglowych w Cardiff, księstwie Walii i hrabstwie Northumberland.

Trzeba dodać, że eksploatacja tej kopalni miała być bardzo ułatwiona, ponieważ przez dziwne urządzenie drugorzędnych gruntów, przez wstrzymanie materii mineralnych w epoce geologicznej, gdy cała ta masa tężała, natura już tworzyła galerye i tunele w Nowej Aberfoyle.

Tak jest, natura sama! Z początku możnaby sądzić, że odkryto kopalnię, której eksploatacja została zaniechana przed wiekami. Ale tak nie było. Nie porzuconoby takich skarbów. Termyty ludzkie nigdy nie napoczęły tej części podziemia Szkocji, a natura sama wszystkie te rzeczy ułożyła. Ale powtarzamy, ani groty epoki egipskiej, ani katakumby epoki rzymskiej nie mogły się z nią równać, chyba sławne groty Mammotha, które mając długości przeszło mil dwadzieścia, liczą 226 chodników, jedenaście jezior, siedem rzek, osiem katarakt, trzydzieści dwie studnie niezgłębione i pięćdziesiąt siedem wieżyc, z których niejedna zawieszona jest na wysokości 450 stóp.

Na podobieństwo tych grot, Nowa Aberfoyle była nie dziełem ludzi, ale dziełem Stwórcy.

Takiem było to nowe dominium niesłychanie bogate i rozległe, a którego odkrycie należało w zupełności do starego nadsztygara. Dziesięć lat pobytu w dawnej kopalni, rzadka wytrwałość w poszukiwaniach i wiara zupełna, podtrzymywana przez szczególny instynkt górnika, osiągnęły pomyślny rezultat.

Dlaczegoż sondowania pod kierunkiem Jamesa Starr dokonywane, podczas ostatnich lat eksploatacji, zatrzymały się właśnie w tym miejscu na samej granicy nowej kopalni? Było to dziełem wypadku, który zwykle dużą odgrywa rolę przy tego rodzaju poszukiwaniach.

Bądź co bądź, istniał w tym miejscu pod gruntem Szkocji rodzaj hrabstwa podziemnego, które mogłoby być zamieszkałe, gdyby promienie słoneczne doń dochodziły, lub w braku tychże, jakie sztuczne światło.

Woda, zlokalizowana w pewnych zbiornikach, tworzyła szerokie stawy, a nawet jeziora większe od jeziora Katrine, leżącego właśnie nad nimi. Zapewne te jeziora nie miały ruchu właściwego wodom, nie płynęły, nie odbijały w swych toniach jakich starych zamczysk gotyckich.

Ani brzozy, ani dęby nie pochylały się nad ich brzegami, góry nie rzucały długich cieni na ich powierzchnie, parowce nie przerzynały ich wód, żadne światło się w nich nie odbijało, słońce nie ogrzewało swymi jasnymi promieniami; księżyc nigdy nie wschodził na ich widnokręgu.

A jednak te głębokie jeziora, których powierzchni żaden najłżejszy podmuch nie poruszał, nie byłyby bez uroku przy świetle jakiejś gwiazdy elektrycznej, a połączone siecią kanałów, dopełniały geografii tej osobliwej miejscowości.

Podziemie to, aczkolwiek niezdatne do wszelkiej produkcji roślinnej, mogło być jednak służyć za mieszkanie dla całego plemienia. I kto wie, czy w tych ustroniach, o wiecznie jednej i tej samej temperaturze, w głębi tych kopalni Aberfoyle, tak jak w Newcastle, Alloa i Cardiff, skoro zupełnie wyczerpane zostaną, biedna klasa ludności Zjednoczonego Królestwa nie znajdzie kiedyś pomieszczenia?

Rozdział X

Droga i powrót.

Na dźwięk głosu Henryka, James Starr, Magdalena i Szymon Ford przeszli przez wąskie przejście utworzone w ścianie ze sztolni Dochart do Nowej Aberfoyle.

Znaleźli się na samym początku dosyć szerokiej galeryi. Zdawałoby się, że ją ręka ludzka przebiła, że oskard i motyka uprzątnęły ją w celu ułatwienia eksploatacji nowego pokładu. Poszukiwacze nasi zapytywali się w duchu, czy nie śnią, czy to przypadek dziwny sprowadził ich tutaj do jakiejś dawnej kopalni o której istnieniu, najstarsi górnicy hrabstwa nigdy nie słyszeli.

Lecz nie!

Prostu pokłady geologiczne »oszczędziły« tę galeryę w epoce formowania się gruntów drugorzędnych. Może jaki potok przebiegał ją podówczas, gdy wody się mieszały z zatopionymi roślinami; ale dzisiaj suchą była i ubita, jak gdyby umyślnie wykutą na parę tysięcy stóp w skale granitowej. Równocześnie powietrze przyplętało do niej swobodnie – co

nasuwało myśl, że wentylatory naturalne łączyły ją bezpośrednio z powietrzem zewnętrznym.

Uwaga ta uczyniona przez inżyniera była słuszną, czuć było, że odświeżanie powietrza odbywało się z łatwością w nowej kopalni. Co do tego gazu, który się wydobywał z pośród warstw łupku w ścianach, znać było, że pochodził z tak zwanej »pochwy«, czyli jedynego zbiorowiska obecnie wypróżnionego, a atmosfera galeryi nie zawierała go też zupełnie. Jednakże z wielkiej przeczności, Henryk zabrał był z sobą jedynie lampkę bezpieczeństwa, która mu zapewniała oświetlenie na jakie dwanaście godzin.

James Starr i jego towarzysze rozptywali się z radości.

Pragnienia ich zostały w zupełności uwieńczone pomyślnym rezultatem. Wkoło nich sam tylko węgiel się znajdował. Wzruszenie opanowało ich i odbierało mowę.

Było to może niebaczenie z ich strony zapuszczać się tak głęboko. Ale nie myśleli o odwrocie. Żadna otwarta szczelina nie zagradzała im drogi, żadna przepaść nie ziała nieczystymi wyziewami. Nie było więc powodu do zatrzymywania się i przez całą godzinę James Starr, Magdalena, Henryk i Szymon Ford szli przed siebie, nie zastanawiając się nawet jak się orientować w tym nieznanym tunelu.

I byliby tak szli w nieskończoność, gdyby nie doszli do pewnego kresu tej szerokiej drogi, która ich wiodła od wejścia do kopalni.

Galerya przytykała do ogromnej pieczary, której na razie nie można było oznaczyć, ani wysokości ani głębi. Dokąd zachodziło jej sklepienie, do jakiej odległości dochodziła jej ściana przeciwległa? Ale przy świetle lampki, poszukiwacze nasi mogli stwierdzić, że zapełniała ją woda jakiegoś stawu czy jeziora, którego brzegi urozmaicone, osłonięte wysokimi skały, ginęły w ciemnościach.

– Stójcie! – krzyknął Szymon Ford, zatrzymując się nagle. – Jeszcze jeden krok, a mogliśmy wpaść w niezgłębioną otchłań.

– Odpocznijmy wiec moi przyjaciele – odparł inżynier. – Trzeba też będzie pomyśleć o powrocie na folwark.

– Lampa nasza może nam jeszcze starczyć na dziesięć godzin, panie Starr – rzekł Henryk.

– No, to w każdym razie zatrzymajmy się tutaj – odrzekł James Starr. – Przyznaję, że nogi moje domagają się odpoczynku! A wy, Magdaleno, czyż nie odczuwacie zmęczenia po tak długiej wycieczce?

– Jeszcze nie bardzo, panie James – odpowiedziała tęga szkotka. – Mamy zwyczaj chodzić po całych dniach w starej kopalni Aberfoyle.

– Ho! ho! – dodał Szymon Ford. – Magdalena w razie potrzeby przeszłaby dziesięć razy tę drogę tam i napowrót! Ale teraz, panie James, może mi pan powie, czy słusznie pana trudziłem? Zaprzecz pan temu, jeżeli możesz, panie James!

– Mój stary towarzyszu – odrzekł inżynier – dawno podobnej nie ucuwałem radości. To cośmy oglądali w tej cudownej kopalni, zdaje się wskazywać, że jej rozległość przynajmniej wzdłuż, jest bardzo znaczną.

– I wzdłuż i wszerz, panie James – odparł Szymon Ford.

– Dowiemy się o tem wkrótce.

– Ręczę za to! Może pan polegać na moim instynkcie starego górnika. Nigdy mnie nie omylił!

– Pragnę temu wierzyć, Szymonie – odrzekł inżynier z uśmiechem. – Ale zresztą, o ile mogę sądzić z tych krótkich oględzin, posiadamy teren eksploatacyjny, który przez wieki się nie wyczerpie!

– Wieki! – zawołał Szymon Ford. – Bardzo temu wierzę, panie James! Tysiąc lat minie i więcej, zanim zostanie wydobyty ostatni kawałek węgla z naszej nowej kopalni!

– Oby was Bóg wysłuchał – rzekł Szymon Ford. – Co do gatunku węgla, który tu widnieje na ścianach...

– Znakomity, panie James, znakomity! – zawołał Szymon Ford. – Zobacz pan sam!

I to mówiąc, oderwał oskardem kawałek czarnej skały.

– Patrz pan! patrzcie wszyscy – powtarzał, podnosząc węgiel do lampki. – Powierzchnie tego odłamka są błyszczące! Będziemy mieli węgiel tłusty, bogaty w części żywiczne! A jak się pięknie kraje, prawie bez prochu! Ach, panie James, dwadzieścia lat temu, dopiero by ten pokład robił konkurencyjną kopalniom Swansea i Cardiff. A i dziś palacze wrywać go sobie będą, a choć eksploatacja kopalni nie wiele kosztować będzie, pomimo to, sprzedawać będziemy drogo taki węgiel!

– W istocie – rzekła Magdalena – która wzięła odłamek do ręki i przyglądała mu się okiem znawczyni. – Przedni to gatunek węgla. Weź go z sobą Szymonie, weź go na folwark! Chciałabym, żeby pierwszy kawałek tego węgla, spalił się na naszym ognisku.

– Masz słuszność, żono! – odrzekł stary nadsztygar. – Zobaczysz, żem się nie omylił.

– Panie Starr – zapytał teraz Henryk – czy ma pan pojęcie o możliwym położeniu tej długiej galeryi, którąśmy szli od chwili wejścia do nowej kopalni.

– Nie, mój chłopcze – rzekł inżynier. – Ż pomocą busoli mógłbym może oznaczyć jej kierunek ogólny. Ale bez busoli, jestem tu jak marynarz na pełnym morzu wśród mgły, który, gdy słońca nie widzi, nie może żadną miarą określić swego położenia.

– Bez wątpienia, panie James – rzekł Szymon Ford – ale proszę pana bardzo, nie porównywaj naszego położenia z położeniem marynarza, który wszędzie i zawsze ma otchłań pod nogami! Jesteśmy zaś tutaj na lądzie stałym i nie mamy potrzeby się obawiać, byśmy kiedykolwiek zatonęli.

– Nie chciałem wam czynić przykrości, Szymonie – odrzekł James Starr. – Daleką odemnie jest myśl obniżania ceny nowej kopalni Aberfoyle przez niesłuszne porównanie. Chciałem tylko powiedzieć, że nie wiemy, gdzie jesteśmy.

– Jesteśmy pod gruntem hrabstwa Stirling, panie James – rzekł Szymon Ford – przysięgłbym na to jak...

– Słuchajcie! – przerwał Henryk nagle.

Wszyscy nadstawili ucha, idąc za przykładem młodego górnika. Słuch jego nadzwyczaj ostry pochwyił odgłos głuchy, jakby szmer oddalony.

James Starr, Szymon i Magdalena nawet usłyszeli go z kolei. Słysząc

było w górnych warstwach pokładów rodzaj grzmotu, którego wyraźne crescendo i decrescendo kolejno dochodziło do uszów.

Wszyscy czworo stali kilka minut, nie mówiąc słowa.

Nakoniec Szymon Ford zawołał:

– Cóż to na świętego Mungo, czyżby wagoniki przebiegały już po szynach nowej Aberfoyle?

– Ojciec – odparł Henryk – zdaje mi się, że to szmer wód, toczących się w swem łożysku.

– Nie jesteśmy przecież pod morzem – zawołał stary nadsztygar.

– Nie – odrzekł inżynier – ale to możliwe, że znajdujemy się pod łożyskiem jeziora Katrine.

– W takim razie sklepienie musiałyby być bardzo cienkie w tym miejscu, jeżeli szmer wód, tak wyraźnie słycać się daje.

– W istocie nadzwyczaj cienkie – rzekł James Starr i z tego to powodu właśnie ta pieczara jest tak obszerna.

– Masz pan słuszność, panie Starr – rzekł Henryk.

– Zresztą, taka tam niepogoda na dworze – mówił dalej James – że wody jeziora muszą się podnosić, jak w zatoce Forth.

– Mniejsza o to – odparł Szymon – pokład węglowy nie będzie gorszy, chociaż się rozciąga pod samem łożyskiem oceanu. A gdyby nam przyszło eksploatować głębie całego Kanału Północnego, cóż w tem byłoby złego?

– Dobrze, dobrze Szymonie – zawołał inżynier, nie mogąc się wstrzymać od śmiechu, na widok zapału nadsztygara. – Posuńmy nasze poszukiwania pod wszystkie morza, podziurawiwszy jak rzeszoto całe łożysko Atlantyku, idźmy z młotem w rękę oglądać naszych braci w Stanach Zjednoczonych, przedostając się do nich suchą nogą, pod Oceanem. Docierajmy do wnętrza kuli ziemskiej, jeżeli tego potrzeba i wyrwijmy z niej ostatni kawałek węgla.

– Czy pan ze mnie żartuje panie James? – zapytał teraz Szymon tonem poważnym.

– Ale gdzie tam Szymonie, ani mi to w myśli, ale z was taki entuzjasta, że i mnie wciągacie w granice niemożliwości. A teraz wracajmy do rzeczywistości, która i tak jest piękną. Zostawmy tu nasze oskardy, po które niedługo powrócimy, i chodźmy do waszego folwarku.

Nie było, co prawda, innej rady na teraz. Wkrótce inżynier, otoczony całą brygadą górników, opatrzonych w lampki i narzędzia potrzebne, rozpocznie eksploatację Nowej Aberfoyle, ale teraz wypadało powracać spieszenie do sztolni Dochart. Droga była zresztą bardzo łatwą, galerya szła prosto, wśród ścian węglowych, aż do otworu, zrobionego przez wybuch dynamitu. Ani sposób zabłądzić.

James Starr zwracał się już do galeryi, gdy go Szymon Ford zatrzymał.

– Panie James – rzekł – widzisz pan tę ogromną pieczarę, pokrywającą podziemne jezioro i to wybrzeże, którego wody obmywają nasze stopy? Otóż ja tu przenoszę moje domostwo. Tutaj pragnę zbudować nowy folwark, a jeżeli dzielni towarzysze pójdą za moim przykładem, i rok nie minie, a nasza stara Anglia nową osadą podziemną poszczycić się będzie mogła.

James Starr uśmiechał się na wszystkie projekty Szymona, ucisnął mu

rękę i wszyscy trzej, a za nimi Magdalena, weszli do galeryi, udając się z powrotem do sztolni Dochart. Uszli pierwszą milę bez żadnego wypadku. Henryk szedł naprzód, unosząc lampę ponad swoją głowę. Trzymał się uważnie głównej galeryi, nie zagłębiając się w wązkie tunele, rozchodzące się na prawo i lewo. Zdawało się zatem, że powrót powinienby się odbyć tak łatwo, jak i przybycie, gdy nagle powstała pewna komplikacja, zmieniająca bardzo położenie poszukiwaczy.

W istocie, gdy Henryk podnosił swoją lampę, nastąpił silny podmuch powietrza, jakby uderzenie skrzydeł niewidzialnych. Lampa, uderzona z ukosa, wypadła z rąk Henryka i rozbiła się na twardym gruncie galeryi. James Starr i jego towarzysze znaleźli się nagle pogrążeni w zupełnej ciemności. Lampa, z której olej się wylał, nie mogła dłużej służyć.

– Cóż to Henryku – zawołał Szymon – czy chcesz, żebyśmy karki połamali przy powrocie na folwark?

Henryk milczał, zastanawiając się nad tym ostatnim wypadkiem, upatrywał w nim znowu dłoń tajemniczej istoty. Czyżby w tych głębiach istniał nieprzyjaciel, którego niepojęty antagonizm mógł kiedyś stworzyć poważne trudności? Któż miał interes bronienia nowego pokładu węglowego od wszelkiej eksploatacyi? W istocie było to nonsensem, ale fakty mówiły same przez się i gromadziły się w taki sposób, że zmieniały przypuszczenia w pewność.

Tymczasem położenie poszukiwaczy stawało się coraz gorsze, musieli jeszcze iść przez pięć mil galeryą, prowadzącą do sztolni Dochart, wśród głębokich ciemności, następnie dobrą godzinę drogi od wyłomu do samego folwarku.

– Idźmy dalej – rzekł Szymon – nie mamy chwili do stracenia, będziemy szli po omacku, jak niewidomi, ale niepodobna zabłądzić – tunele po obu stronach drogi naszej, to wązkie przejścia, kretowiska, a idąc główną galeryą, dojdziemy niebawem do otworu, przez który tutaj się dostaliśmy, następnie, to już nasza stara kopalnia, znamy ją i nie poraz pierwszy z Henrykiem będziemy ją przebiegali bez światła. Zresztą, znajdziemy nasze lampki, które zostawiliśmy, a teraz w drogę. Henryku naprzód! Panie James, proszę iść za nim, dalej Magdalena, a ja zamknę pochód. Nadewszystko nie rozdzielajmy się i następujemy sobie na pięty.

Należało ściśle trzymać się rozkazu starego nadsztygara. Po omacku niepodobnem było zmylić drogi. Trzeba tylko było zastąpić oczy rękoma, i spuścić się na ten instynkt, który u Szymona Ford i jego syna stawał się drugą naturą.

James Starr i jego towarzysze szli w porządku oznaczonym. Milczeli, ale myśleli ciągle w jaki sposób się uchronić od napadów, tak tajemniczo przygotowanych?

Henryk z rękami rozpostartymi, szedł śmiało naprzód, dotykając kolejno obu ścian galeryi. Jeżeli znajdował jakiś otwór, jakie przejście poprzeczne, poznawał ręką, że nie należy weń wchodzić i trzymał się prostej drogi.

Śród głębokiej ciemności, do której oczy przywyknąć nie mogły, gdyż była zupełną, ten odwrót trwał ze dwie godziny blisko i James Starr mniemał, iż muszą być niedaleko wejścia.

W istocie, w tejże chwili Henryk się zatrzymał.

- Czyż nareszcie przybyliśmy do końca galeryi? – zapytał Szymon.
 - Tak jest – odrzekł młody górnik.
 - No, to musisz znajdować pod ręką otwór, którym weszliśmy ze sztolni Dochart do nowej Aberfoyle.
 - Nie znajduję – odrzekł Henryk, którego zaciśnięte dłonie napotykały tylko gładką powierzchnię ściany.
- Stary nadsztygar postąpił kilka kroków naprzód, sam zbadał powierzchnię i wydał okrzyk rozpaczy.
- Albo zmylili drogę powrotną, albo wązkie przejście, utworzone w ścianie przez wybuch dynamitu, zostało na nowo zatkanie.
- Bądź co bądź James Starr i jego towarzysze byli uwięzieni w Nowej Aberfoyle.

Rozdział XI

Damy ogniste.

W osiem dni po wyżej opisanych wypadkach, przyjaciele Jamesa Starr byli bardzo zaniepokojeni. Inżynier znikł bez żadnego powodu. Dowiedziano się od jego służącego, że wsiadł na statek w Grantonpier, a kapitan statku »*Książę Walii*« zeznał, że go wysadził na brzeg w Stirling. Ale od tej chwili ani śladu o Jamesie Starr. Szymon Ford w liście swoim zalecił mu sekret, dlatego też inżynier nikomu nie mówił o swojej wycieczce do kopalni Aberfoyle.

W całym Edynburgu mówiono o tajemniczym zniknięciu inżyniera. Pan W. Elphiston, prezes »Instytucji królewskiej« doręczył swym kolegom list, jaki był otrzymał od Jamesa Starr, w dniu jego wyjazdu, donoszący, że nie będzie mógł być obecnym na następnym posiedzeniu. Dwie czy trzy osoby jeszcze podobne okazały listy. Wszystko to dowodziło, że James Starr opuścił Edynburg i o tem wszyscy byli przekonani, ale co się z nim stało, tego nikt nie wiedział. U takiego człowieka jak inżynier nadzwyczaj regularnego we wszystkim, ta przedłużająca się nieobecność, musiała zadziwić najpierw, a następnie niepokoić każdego z tych, którzy się nim interesowali.

Żaden ze znajomych i przyjaciół inżyniera nie pomyślał nawet o tem, by ten był mógł wyjechać do Aberfoyle. Wiedzano, że nie lubił nawet wspominać o miejscu, które było terenem jego pracy dawniejszej. Nigdy tam jego noga nie powstała od chwili, gdy ostatnia beczka węgla została wydobyta. Ponieważ jednak statek go wysadził przy stacyi Stirling, zaczęto robić poszukiwania w tych stronach.

Wszystkie jednak poszukiwania na nic się zdały. Nikt nie widział inżyniera w całej okolicy. Jeden Jakób Ryan, który go spotkał w towarzystwie Henryka na jednym z przystanków szybu Yarow, mógłby dać pewne objaśnienie w tym względzie. Ale jak wiemy, Jakób pracował na folwarku Melrose, o czterdzieści mil stamtąd, na południo-zachód hrabstwa Renfrew, i

ani się spodziewał, by się tak niepokojono nieobecnością Jamesa Starr. Zatem w osiem dni po spotkaniu, Jakób Ryan byłby wyśpiewywał jak dawniej na wieczornicach w Irvine, gdyby i on nie miał powodu do niepokoju, o którym niżej pomówimy.

James Starr był człowiekiem zanadto znanym i poważanym nie tylko w Edynburgu ale i w Szkocji całej, ażeby jaki fakt jego dotyczący mógł pozostać nie spostrzeżony. Lord prefekt, pierwszy urzędnik w Edynburgu, radcy, sędziowie, którzy po większej części byli przyjaciółmi inżyniera, nakazali wszędzie poszukiwania. Rozpuszczono agentów na wszystkie strony, ale niczego się nie dowiedziano.

Trzeba więc było umieścić w głównych dziennikach Zjednoczonego Królestwa ogłoszenie o zniknięciu inżyniera Jamesa Starr, podając jego rysopis i oznaczając datę, pod którą opuścił Edynburg. Obawy były wielkie w całym świecie uczonym Anglii, sądzono bowiem, że zginął bezpowrotnie jeden z najznakomitszych jego członków.

Równocześnie z osobą Jamesa Starr, przedmiotem niepokoju i żywych rozpraw, był syn Szymona, Henryk. Tylko zamiast zajmować opinie publiczną, niepokoił jedynie swego przyjaciela Jakóba Ryan.

Przypominają sobie czytelnicy, że przy spotkaniu w szybie Yarow, Jakób Ryan zaprosił Henryka na zabawę doroczną w Irvine, która miała się odbyć za tydzień. Henryk przyjął zaproszenie i obiecał, że się na nią stawi. Jakób Ryan wiedział, gdyż nieraz tego doświadczył, że można było liczyć na słowo towarzysza.

Otóż na uroczystości w Irvine nie brakło ani śpiewów, ani tańca, ani uciech wszelkiego rodzaju, niczego, prócz obecności Henryka Ford.

Z początku Jakób miał mu to za złe, ponieważ nieobecność przyjaciela psuła dobry humor. Taki był tem przygnębiony, że mu aż pamięć nie dopisywała i po raz pierwszy nie mógł dokończyć śpiewki, którą rozpoczął i która zwykle wywoływała wielkie oklaski.

Trzeba nadmienić, że ogłoszenie o zniknięciu Jamesa Starr nie wpadło dotąd do rąk Jakóba. Poczciwy ten chłopiec niepokoił się jedynie nieobecnością Henryka, mówiąc sobie, że tylko ważna jakaś okoliczność mogła być wpłynąć na niedotrzymanie słowa. To też nazajutrz po zabawie, Jakób miał zamiar udać się koleją z Glasgowa do sztolni Dochart i byłby to uczynił, gdyby nie wypadek, którego o mały włos życiem nie przyplacił. Oto co się stało w nocy 12-go grudnia. W istocie fakt był tego rodzaju, że przyznawał słusność wszystkim wyznawcom istnienia światów nadprzyrodzonych, a ci byli bardzo licznie reprezentowani na folwarku Melrose.

Irvine, małe miasteczko nadmorskie w hrabstwie Renfrew, liczące zaledwie siedem tysięcy mieszkańców, zbudowane jest przy zakręcie, jaki tworzy po stronie szkockiej zatoka Clyde. Port w tem miejscu dosyć zabezpieczony od wiatrów szerokiego morza, oświetlony jest jasnym światłem, które wskazuje miejsce stosowne do wylądowania tak, że żeglarz uważny i roztropny pomylić się nie może. To też rozbicia okrętów zdarzały się rzadko na tej stronie wybrzeża, a okręty, któreby chciały wejść do zatoki Clyde, udając się do Glasgowa, lub też wjechać do zatoki małej Irvine, mogły płynąć bezpiecznie, nawet podczas ciemnych nocy.

Gdy miasto ma jakąkolwiek przeszłość historyczną, skoro jego zamek należał dawniej do jakiegoś Roberta Stuarta, niepodobna, aby nie posiadało

ruin obecnie.

Otóż w Szkocji wszystkie ruiny nawiedzane są przez duchy. Przynajmniej takie jest ogólne mniemanie.

Ruiny najdawniejsze i równocześnie najgorzej renomowane w tej części kraju, były właśnie ruiny zamku Roberta Stuarta, który nosił nazwę Dundonald Castle.

W czasie, gdy się toczy nasza opowieść, zamek Dundonald, jako schronienie wszystkich dyablików, błądzących po okolicy, był zupełnie opuszczony. Rzadko go odwiedzano na wysokości skały, którą zajmował ponad morzem, o dwie mile od miasta. Bywało czasem, że jakiś cudzoziemiec przybywał w celu zbadania tych starych szczątków historycznych, ale wtedy sam je zwiedzał. Żaden z mieszkańców Irvine nie byłby go tam zaprowadził za wszystkie skarby świata. W istocie, rozpowiadano sobie różne historie o »damach ognistych«, które nawiedzały stare zamczysko.

Najbardziej zabobonni twierdzili, że na własne oczy widzieli te fantastyczne istoty. Naturalnie Jakób Ryan był jednym z tych ostatnich.

Rzeczywiście, od czasu do czasu pojawiały się długie smugi ognia, bądź to na ścianie muru w połowie zburzonego, bądź na szczycie wieży, która wznosiła się nad ruinami Dundonald Castle.

Czy te ognie miały kształt ludzki – jak to zapewniano? Czy zasługiwały na nazwę »Dam ognistych«, którą im nadawali Szkoci okoliczni? Było to jedynie złudzenie mózgowi łatwowiernych i nauka niezawodnie inaczej wytłómaczyłaby to zjawisko.

Bądź co bądź »damy ogniste« miały w okolicy reputację dobrze ustaloną, iż przebywają w starym zamku i odbywają w nim dziwne skoki i sarabandy. Jakób, chociaż był śmiałym i dziarskim chłopcem, nie byłby się jednak odważył przygrywać im do tańca na swojej dudzie.

– Stary Nick wystarcza im zupełnie – mówił – i nie potrzebuje mnie do dopełnienia swej piekielnej orkiestry!

Te dziwaczne zjawiska stanowiły zwykle temat bająk wieczornicowych. Jakób posiadał też cały repertuar legend o damach ognistych i był w swoim żywiole, gdy przyszło do opowiadania.

Podczas ostatniej wieczornicy, która zakończyła uroczystą zabawę w Irvine, i na której piwo »ale«, wódka i whisky płynęły obficie, Jakób Ryan zaczął znów opowieść na swój temat ulubiony ku wielkiej radości, a równocześnie ku wielkiej trwodze całego towarzystwa.

Wieczornica odbywała się w dużej stodole folwarku Melrose, na granicy wybrzeża. Tęgi ogień koksowy palił się na szerokim trójnogu, w samym środku zgromadzenia.

Na dworze burza szalała. Mgły gęste zakrywały fale, które silny wicher północno-zachodni spędzał do brzegu. Noc ciemna zupełnie, ani najmniejszego rozjaśnienia wśród chmur, choćby na chwilę. Ziemia, niebo i woda mieszały się w gęstych pomrokach, a gdyby jaki okręt chciał zawinąć do zatoki Irvine, niewątpliwie rozbiłby się o brzegi.

Maleńki port w Irvine nie jest bardzo uczęszczany, przynajmniej większe okręty omijają go zwykle.

Tego jednak wieczora jakiś rybak zapóźniony u wybrzeża, mógłby był widzieć ze zdziwieniem wielki statek, kierujący się w tę stronę. Gdyby się nagle rozwidniło, nie ze zdziwieniem, ale z trwogą patrzano na ten okręt, pędzony całą siłą wiatru, z rozpiętymi wszystkimi żaglami. I nie płonne byłyby obawy, bo gdyby nie trafił odrazu w wązki otwór zatoki, nie miałby już żadnego schronienia wśród strasznych skał wybrzeża. Jeżeli ten statek upierałby się przy swoim zamiarze, jakże zdoła się podnieść i na czas usunąć?

Wieczornica miała się ku końcowi, Jakób Ryan opowiadał ostatnią baśń, gdy nagle na zewnątrz rozległy się okrzyki trwogi. Jakób Ryan przerwał swe opowiadanie i wszyscy spieszenie opuścili stodołę.

Noc była ciemna. Deszcz długimi strumieniami siekł powierzchnię wybrzeża.

Dwóch czy trzech rybaków, opartych o skałę, wołało z całych sił. Jakób Ryan i jego towarzysze pobiegli w ich stronę.

Krzyki te nie odnosiły się jednak do mieszkańców folwarku ale do okrętu, który bezwiednie leciał na zgubę.

W istocie, ciemna masa widniała teraz w niewielkiej oddali. Był to okręt, łatwo dający się poznać po światłach, które nosił, białe na najwyższym maszcie, zielone poniżej, a czerwone u spodu. Widać go więc było, jak się zbliżał i pędził całą siłą ku brzegom.

– Okręt, na zatracenie idący? – zawołał Jakób Ryan.

– Tak jest – odrzekł jeden z rybaków – i teraz choćby chciał, nie mógłby już skrócić na bok.

– Sygnałów, sygnałów! – wołano na wszystkie strony.

– Jakich? – zapytał jeden z rybaków. – Na taki wichur niepodobna utrzymać ani jednej pochodni.

Podczas zamiany tych słów, wydawano nowe okrzyki. Ale niepodobna ich było słyszeć wśród tej niepogody. Załoga okrętu nie miała już najmniejszej nadziei ocalenia.

– Dlaczegoż pędzą w tę stronę? – zawołał rybak.

– Może chcą się tylko odbić? – rzekł drugi.

– Czyż kapitan nie widział latarni naszych? – zapytał Jakób Ryan.

– Chyba, że nie – odrzekł jeden z rybaków – chyba, że został oszukany przez jakiś pozorny...

Jeszcze nie dokończył zdania, gdy Jakób Ryan wydał straszliwy okrzyk. Niewiadome, czy go usłyszano z okrętu; w każdym razie zapóźno było, aby się ten mógł cofnąć z linii, o którą miał się niechybnie rozbić, a która bielą wśród nocy.

Ale i Jakób Ryan nie wydał okrzyku w tym celu. Stał obrócony plecami do morza. Towarzysze jego patrzyli również na punkt, znajdujący się o pół mili od brzegu.

Był to zamek Dundonald.

Długi jasny płomień widniał u szczytu starej wieżycy i kręcił się na wszystkie strony pod wpływem wichru.

– Dama ognista! – krzyknęli w wielkiej trwodze zabobonni Szkoci.

Co prawda, trzeba było bujnej imaginacji, żeby ujrzeć podobieństwo ludzkiej postaci w tym ognistym płomieniu. Poruszany wichrem, zdawał się unosić czasem ze szczytu wieży tak, jakby miał zgasnąć, ale natychmiast niebieskawym płomykiem od spodu, łączył się z wieżą napowrót.

– Dama ognista! dama ognista! – wołali rybacy i wieśniacy z przerażeniem.

Teraz łatwo było zrozumieć wszystko. Widocznym było, że okręt zmylił drogę wśród ciemności i burzy nocnej, i że brał ten płomień, zapalony u szczytu zamku Dundonald, za ogień z Irvine. Sądził, że się znajduje u wejścia zatoki, leżącej na dziesięć mil wyżej na północ i pędził na skały, które go przyjąć nie mogły.

Cóżby można uczynić dla ratowania go, gdyby czas był jeszcze po temu? Możeby można wejść na ruiny i zgasić ten ogień, ażeby go więcej nie brano za latarnię morską z portu Irvine!

Bezwątpienia, trzeba było tak postąpić bezzwłocznie, ale któryż z tych Szkotów odważyłby się stawić czoło damie ognistej?

Może Jakób Ryan, bo był odważny, a łatwowierność jego, acz silna, nie mogłaby go wstrzymać od tego kroku.

Ale było zapóźno. Usłyszano straszny trzask wśród ryku żywiołów.

Okręt obrócił się tyłem. Ognie jego zagasły. Linia biaława znikła na chwilę, statek ją sobą pokrywał, pokładał się na bok i rozbijał o skały.

I w tejże chwili dziwnym zbiegiem okoliczności, długi płomień na zamku znikł, jakby zerwany siłą wichru z nad wieży. Morze, niebo i wybrzeże, pograżyły się na nowo w ciemnościach.

– Dama ognista! – zawołał po raz ostatni Jakób Ryan, gdy to zjawisko nadziemskie znikło z przed jego oczów.

Wtedy ci zabobonni Szkoci, którzy nie mieli dosyć odwagi do zwalczania urojonego niebezpieczeństwa, odnaleźli ją całą, gdy chodziło o ocalenie bliźnich. Za pomocą lin puszczonej w morze, rzucili się, uwiązani na nich, na pomoc rozbitemu okrętowi.

Udało im się szczęśliwie wyrwać kapitana i ośmiu ludzi z załogi z paszczy bałwanów; złożono ich na brzegu, ale niektórzy z ratujących, a w tej liczbie Jakób Ryan, zostali porozbijani o skały.

Był to okręt norwegski »Motala«, naładowany drzewem i dążący do Glasgowa.

Rzeczywiście, kapitan mylnie kierowany płomieniem z wieży Dundonald, uderzył bokiem o skały, zamiast opłynąć zatokę Clyde.

A teraz »Motala« leżała rozbita i tylko gdzieniegdzie pływały jej szczątki, uderzane co chwila o skały nadbrzeżne.

Rozdział XII

Wyprawa Jakóba Ryan.

Jakób Ryan i trzech jego towarzysze, tak jak on ranni, zostali przeniesieni do jednego z pokoiów folwarku Melrose, gdzie ich otoczono troskliwą opieką.

Jakób ucierpiał najwięcej, bo w chwili, gdy z liną u pasa rzucił się do morza, bałwany wściekle rozbiły go o skały. O mało co, że go towarzysze martwego nie wynieśli na wybrzeże.

Pocziwy chłopiec został więc przykuty do łoża na kilka dni, co go bardzo gniewało. Ale ponieważ pozwolono mu śpiewać, ile zechce, uzbroił się w cierpliwość i folwark Melrose rozbrzmiewał teraz o każdej porze głośnym pieniem. Skutkiem tego wypadku, opanował go jeszcze większy strach przed tymi dyablikami i chochlikami, które bawią się, męcząc biednych ludzi i całą katastrofę okrętu »Motala« im przypisywał. Żeby się wybrał, ktoby mu chciał dowodzić, że dąmy ogniste nie istniały i że płomień tak nagle wybuchający z pośród ruin, był jedynie zjawiskiem czysto fizycznym.

Żadne dowodzenie by go nie przekonało. Jego towarzysze bardziej jeszcze od niego byli łatwowierni i uparci.

Twierdzili, że jedna z dam ognistych sprowadziła umyślnie okręt »Motala« do brzegu. Któżby ją za to chciał karać! Sędziowie i urzędnicy magistratu mogą nakazywać, jakie chcą poszukiwania w tym względzie. Nie więzi się ognia, nie okuwa w więzy istoty niepochwytnej. A urzędowe śledztwo, dokonane później, sprzyjało przynajmniej pozornie temu zabobonnemu sposobowi tłumaczenia rzeczy.

W istocie urzędnik, któremu polecono prowadzenie śledztwa względem katastrofy okrętu »Motala«, zaczął od wypytywania rozmaitych świadków wypadku. Wszyscy jednomyślnie stwierdzili, że przyczyną rozbicia okrętu, było zjawienie się dąmy ognistej na ruinach zaniku Dundonald.

Naturalnie, sprawiedliwość nie mogła się zadowolnić takimi dowodzeniami. Nie można wątpić, że jakieś fizyczne zjawisko ukazało się na ruinach; czy to zaś był przypadek, czy też niechęć i złośliwość ludzka, o tem chciał się urzędnik przekonać.

Wyraz »złośliwość«, nie powinien nas zdziwić. Nie trzeba sięgać daleko w historii Wielkiej Brytanii, by się o tem przekonać. Wielu korsarzy nadbrzeżnych uprawiało rzemiosło przyciągania okrętów do brzegów, by się dzielić potem jego szczątkami. Statek, sprowadzano umyślnie z drogi, za pomocą zapalonego krzaka żywicznego, wśród nocy, w jakieś ciasne przejście, skąd się wydobyć nie mógł. Niekiedy znowuż zapalano pochodnię, przywiązaną do rogów byka i puszczano bydłę, które wystraszone biegło jak szalone wzdłuż wybrzeża tu i tam, zmylając drogę wyznaczoną dla okrętów.

Skutkiem tych manipulacji, następowało niezawodnie rozbicie jakiegoś statku, z czego rozbójnicy korzystali. Trzeba było całej surowości praw i zajęcia się tą sprawą, aby nadużyciom kres położyć.

Któż jednak zaręczy, czy w obecnej okoliczności jakaś zbrodnicza ręka nie przypomniła sobie dawnych tradycji rozbójników morskich.

Tak też myślała policya, wysłana na miejsce, pomimo zapewnień Jakóba Ryan i jego towarzyszy.

Zabobonni ci ludzie, słysząc, iż pomimo wszystkiego będzie przeprowadzone śledztwo, rozdzielili się na dwa obozy; jedni ruszali ramionami i czekali końca; drudzy, więcej tchórzliwi, zapewniali, że niezadługo najstraszniejsze katastrofy zostaną sprowadzone przez duchy nadziemskie.

Przeprowadzono jednak śledztwo bardzo skrupulatnie. Policjanci przenieśli się do zamku Dundonald i rozpoczęli drobiazgowo poszukiwania.

Urzędnik, przewodniczący wyprawie, chciał najpierw zbadać, czy grunt zachował jakieś ślady kroków ludzkich. Niepodobna jednak było znaleźć najlżejszych znaków ani dawniej szych, ani nowych. Ziemia zupełnie wilgotna po wczorajszych deszczach zachowałaby niezawodnie jakieś ślady stóp.

– Ślady stóp chochlików! – zawołał Jakób Ryan, dowiedziawszy się o niepowodzeniu pierwszych poszukiwań, – to zupełnie to samo, co szukać śladów ognika błędnego na bagnach.

Pierwsza więc próba nie przyniosła żadnego rezultatu.

Było prawdopodobnym, że i następne pozostaną bezskuteczne.

Chodziło w istocie o dowiedzenie, w jaki sposób ogień mógł być zapalony na starej wieży, jakie żywioły służyły do utrzymania ognia i jakie pozostałości po nim znaleziono.

Na pierwsze pytanie, nie odnaleziono żadnej odpowiedzi, ani zapalki, ani kawałka papieru, któryby mógł służyć za podpałkę.

Na drugie pytanie odpowiedzi również nie było.

Ani traw wyschniętych, ani kawałków drzewa, które musiało się przecież palić obficie tej pamiętnej nocy.

Trzeciego pytania nie można było również rozwiązać. Brak wszelkiego popiołu, jakiegokolwiek śladu spalenizny, nie dozwolił nawet oznaczyć miejsca, w którym ognisko było roznieconem. Nie istniała nawet żadna zaczerniona plama, ani na ziemi, ani na skale. Czyż z tego wynikało, że ognisko mogło być utrzymane ręką jakiegoś złoczyńcy? Było to nieprawdopodobne, ponieważ zdaniem świadków, płomień przedstawiał rozmiary olbrzymie, tak, że załoga okrętu »Motala« mogła go widzieć pośród mgły o kilka mil z daleka.

– Naturalnie! – wołał Jakób Ryan – dama ognista potrafi się obejść bez zapalek! Dostyc jej dmuchnąć, by rozżarzyć ogień wkoło siebie, a takie ognisko żadnych popiołów nie pozostawia!

Z tego wszystkiego wynikło, że komisja nic nie znalazła, że nowa legenda przyłączyła się do dawniejszych, legenda, która miała uwiecznić pamięć katastrofy okrętu »Motala« i potwierdzić ukazywanie się dam ognistych.

Taki zuch jak Jakób, nie mógł długo pozostawać chorym. Zresztą nie miał też czasu chorować. A w tym pięknym kraju o zdrowym, górskim powietrzu, gdy niema czasu, niema choroby.

Jakób powrócił szybko do zdrowia. Skoro tylko stanął na nogi i zanim rozpoczął robotę na folwarku Melrose, zapragnął wykonać pewien projekt, który mu się uśmiechał oddawna. Chodziło o odwiedzenie Henryka i o dowiedzenie się, dlaczego nie był na uroczystości w Irvine. U człowieka takiego jak Henryk, który nigdy nie obiecywał bez dotrzymania słowa, nieobecność w tym wypadku była niewytłómaczoną. Nieprawdopodobnym

było również, by syn starego nadsztygara nie zasłyszał o katastrofie okrętu » Motala«, opisywanej szczegółowo przez wszystkie dzienniki. Musiał wiedzieć o udziale, jaki brał Jakób w tej sprawie, o wypadku, jakiego padł ofiarą i dziwną prawdziwie byłaby obojętność Henryka, który dotychczas nie przybył do Melrose uściskując dłoń chorego towarzysza.

Jeżeli więc Henryk do tej pory nie przyszedł, to widocznie nie mógł.

Jakób byłby prędzej uwierzył, że damy ogniste nie istnieją, aniżeliby zwątpił o przywiązaniu Henryka.

We dwa dni po katastrofie, Jakób Ryan wstał z łóżka i śmiałym krokiem opuszczał folwark, jakby nigdy nie chorował. Niebawem zabrzmiała w powietrzu piosenka wesola, a echo nadbrzeżne poniosło ją w dal, aż do dworca kolei żelaznej, która prowadziła przez Glasgow do Stirling i Callander.

Tam, czekając na pociąg, przeczytał afisz rozlepiony na ścianach, a zawierający co następuje:

»4-go Grudnia r. b., inżynier James Starr z Edynburga wsiadł na statek » Książę Walii« na przystani Grantopier. Tegoż samego dnia wysiadł na brzeg w Stirling. Od tej chwili ustały wszelkie o nim wiadomości.

Uprasza się o doniesienie wszelkich o nim informacji, prezesowi Instytucji Królewskiej w Edynburgu«.

Jakób odczytał afisz dwukrotnie, nie mogąc wierzyć własnym oczom.

– Pan Starr! – zawołał do siebie. – Przecież spotkałem go właśnie 4-go grudnia z Henrykiem na drabinach szybu Yarow. Dziesięć dni od tego czasu upłynęło. Czyżby nie wyszedł od tej pory? Czyżby z tego samego powodu mój przyjaciel nie przyszedł na uroczystość w Irvine?

I nie zatrzymując się dla napisania listu do prezesa Instytucji Królewskiej z oznajmieniem, co się stało z Jamesem Starr, dzielny chłopiec wskoczył do pociągu, z zamiarem dostania się do szybu Yarow. Stamtąd miał zejść do sztolni Dochart i odnaleźć Henryka, a zarazem z nim i inżyniera Jamesa Starr.

W trzy godziny potem wysiadł z pociągu na dworcu Callander i szybkim krokiem podążał do szybu Yarow.

– Nie pokazali się więcej – mówił sam do siebie. – Dlaczego? Czyż zaszła jaka przeszkoda? Czy jaka robota zatrzymuje ich tak długo w głębi kopalni?

I Jakób Ryan, przyspieszając kroku, przybył w niespełną godzinę do szybu Yarow.

Na pozór nic nie było zmienione. Takie samo milczenie panowało naokoło szybu. Ani żywej duszy w tej pustyni.

Jakób wszedł pod zrujnowany daszek, który pokrywał otwór do szybu. Zapuścił swój wzrok do środka... Nic nie zobaczył. Nadstawił ucha, nic nie słyszał.

– A gdzie moja lampka! – Czyżby ją sprzątnięto?

Lampka, którą się Jakób posługiwał podczas swoich wycieczek do szybu, była zwykle składana do kącika, na przystanku najwyższej drabiny.

Lampka ta dzisiaj znikła.

– Oto pierwsze niepowodzenie! – rzekł do siebie Jakób, który się zaczynał niepokoić.

Następnie bez wahania, pomimo zabobonów, rzucił się naprzód.

– Pójdę – mówił do siebie – choćby ciemniej było w tym szybie, niż w czeluściach piekła.

I zaczął powoli schodzić po długim szeregu drabin, prowadzących do ciemnego szybu.

Widocznie Jakób nic nie stracił ze swych dawnych przyzwyczajęń górnika i znał doskonale sztolnię Dochart, jeżeli się tak puszczał śmiało. Schodził co prawda bardzo ostrożnie.

Nogą próbował każdego szczebla drabiny, gdyż niektóre z nich były nadgniłe. Każde złe stąpienie mogło spowodować upadek śmiertelny z wysokości tysiąca pięciuset stóp. Jakób liczył też każdy przystanek pomiędzy jedną drabiną a drugą. Wiedział o tem, że ich było trzydzieści zanim się stawało na dnie szybu. Tam się dostawszy, mógł iść bezpiecznie dalej do mieszkania Fordów, zbudowanego, jak wiemy, przy końcu głównej galeryi.

W ten sposób przybył na dwudziesty szósty przystanek, zaledwie dwieście stóp dzieliło go od dna.

Wyciągnął nogę, szukając pierwszego szczebla dwudziestej siódmej drabiny; ale daremnie nogą poruszał – nie znalazł punktu oparcia.

Ukląkł na przystanku i ręką począł szukać drabiny...

Napróżno!

Widocznem było, że dwudziesta siódma drabina nie znajdowała się na swoim miejscu, a zatem, że ją ktoś zabrał.

– Chyba stary Nick tędy przechodził! – pomyślał Jakób i ciarki go przeszły.

Stał z założonemi na piersiach rękami, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemności i czekał. Przyszło mu do głowy, że ponieważ on nie mógł zejść, to i tamci z dołu wejść na górę nie mogli. W istocie, nie istniała żadna inna komunikacja pomiędzy zewnętrznym światem, a głębinami kopalni. Jeżeli to odjęcie drabin nastąpiło po jego ostatniej wizycie tutaj, cóż się stało z Szymonem Ford, jego żoną, synem i inżynierem? Nieobecność Jamesa Starr w Edynburgu wskazywała dokładnie, że nie opuścił kopalni od tego dnia, gdy Jakób spotkał się z nim i z Henrykiem w szybie Yarow. W jakim sposobie dostarczano prowizyi, potrzebnych im do życia? A może ci nieszczęśliwi, uwięzieni na tysiąc stóp pod ziemią, nie mieli co jeść?

Wszystkie te myśli przebiegły przez jego głowę, przekonał się, że sam nie mógłby zrobić i że nie dotrze do dna kopalni. Czyżby jaka złośliwa ręka przerwała komunikację? Nie można wątpić o tem. W każdym razie władza się o tem przekona, ale trzeba ją uprzedzić czempredzej.

Jakób nachylił się do głębi.

– Henryku! Henryku! – zawołał całą siłą głosu.

Echo powtórzyło kilkakrotnie imię Henryka i umilkło w głębiach szybu Yarow.

Jakób przebył spiesznie z powrotem drabiny i powrócił na ziemię. Nie tracąc chwili, udał się na dworzec w Callander, w kilka minut siedział w przedziale pociągu pospiesznego, dążącego do Edynburga i o trzeciej popołudniu, stawiał się u lorda-prefekta stolicy.

Tam przyjęto jego zeznanie. Szczegóły wyraźne, jakie przedstawiał, nie

pozwoływały wątpić w prawdziwość słów jego.

Pan W. Elphiston, prezes Instytucji Królewskiej był nie tylko kolegą, ale i osobistym przyjacielem Jamesa Starr; uwiadomiono go też natychmiast, i on to objął kierownictwo nad poszukiwaniami, jakie miano nakazać bez zwłoki w sztolni Dochart. Oddano mu do pomocy kilku agentów, którzy uzbrojeni w lampki, oskardy, długie sznurowe drabiny, nie zapomnieli również o zabraniu z sobą napojów i żywności. Cała ta wyprawa prowadzona przez Jakóba udała się natychmiast do kopalni Aberfoyle.

Tego samego wieczora, pan W. Elphiston, Jakób Ryan i ajenci przybyli do otworu szybu Yarow i zeszli aż do dwudziestego siódmego przystanku, na którym Jakób się zatrzymał kilka godzin temu.

Uwiązano lampki do długich sznurów i spuszczone je do dna szybu, przyczem stwierdzono, że czterech ostatnich drabin brakowało zupełnie.

Nie ulegało wątpliwości, że komunikacja pomiędzy sztolnią Dochart a światem zewnętrznym została rozmyślnie przerwana.

– Na co czekamy, proszę pana? – zapytał niecierpliwy Jakób.

– Na nasze lampki, które wciągają, mój chłopcze – odrzekł pan W. Elphiston. Potem spuścimy się na dno ostatniej galeryi i ty nas poprowadzisz do...

– Do mieszkania Fordów – zawołał Jakób – a jeżeli potrzeba będzie do ostatnich głębin kopalni!

Skoro tylko zaciągnięto lampki, ajenci przywiązali do przystanku silne drabiny sznurowe, które się rozwinęły w szybie. Przystanki niższe istniały jeszcze. Można więc było zatrzymać się na nich i schodzić od jednego do drugiego.

Przedstawiało to jednak dosyć trudności. Jakób pierwszy uczeplił się tych drabin bujających w powietrzu, i pierwszy stanął na dnie kopalni.

Pan W. Elphiston i ajenci połączyli się z nim niebawem.

Placyk na dnie szybu Yarow był zupełnie pusty. Nagle Jakób coś ujrzał na ziemi i zawołał:

– Oto szczątki drabin, patrzcie panowie, szczątki na poły spalone!

– Spalone! – powtórzył pan W. Elphiston. W istocie, a popioły ostygły od dawna.

– Czy pan sądzisz – zapytał Jakób – że inżynier James Starr mógł mieć jakiś interes w spaleniu tych drabin i przerwaniu wszelkiej komunikacji ze światem?

– Bynajmniej – odpowiedział pan W. Elphiston i zamyślił się głęboko. – Dalej mój chłopcze, do folwarku Fordów! Tam się prawdy dowiemy!

Jakób wstrząsnął głową, jakby o tem wątpił. Ale, biorąc lampkę z rąk jednego z agentów, poszedł szybko naprzód przez główną galeryę sztolni Dochart.

Wszyscy poszli za nim.

W kwadrans potem, pan W. Elphiston i jego towarzysze dosięgli zagłębienia, w którego kącie znajdowało się mieszkanie, zwane przez Szymona Ford »folwarkiem«. Nie było światła w oknach.

Jakób Ryan rzucił się do drzwi i otworzył je.

Mieszkanie było puste.

Zwiedzono wszystkie pokoje. Ani śladu jakiegobądź gwałtu lub zbrodni. Wszystko było w porządku, jakby stara Magdalena wyszła przed chwilą. Zapasy żywności były nawet obfite i mogły jeszcze wystarczyć na dni kilka dla całej rodziny.

Nieobecność mieszkańców była więc rzeczą niewytłómaczoną. Czy można było oznaczyć w jakiej porze, i jakim dniu opuścili mieszkanie? Można, bo w tym miejscu, gdzie dni od nocy trudno było odróżnić, Magdalena zazwyczaj zaznaczała ołówkiem każdy dzień w swoim kalendarzu.

Kalendarz ten wisiał na głównej ścianie izby. Ostatni znak krzyża zrobiony był przy dniu 6-go grudnia, czyli nazajutrz po przybyciu Jamesa Starr, co znowu potwierdził Jakób. Jasnym więc było, że od 6-go grudnia, czyli od dziesięciu dni, nie było w mieszkaniu ani Szymona Ford, ani jego żony, ani syna, ani inżyniera. Czyżby nowe badania i poszukiwania w kopalni dokonywane przez inżyniera mogły trwać tak długo? Naturalnie, że nie.

Tak przynajmniej sądził pan W. Elphiston. Zbadawszy pilnie i drobiazgowo całe mieszkanie, nie wiedział doprawdy co myśleć i co począć.

Ciemność była zupełna naokoło. Blask lampek w ręku agentów blado oświecał te cienie nocy.

Nagle Jakób Ryan wydał okrzyk.

– Tam! tam! patrzcie! – zawołał.

I potem wskazywał żywe dosyć światło, które się poruszało w oddali ciemnej galeryi.

– Biegnijmy do tego ognia, panowie! – zawołał pan W. Elphiston.

– Ogień chochlików! – krzyknął Jakób Ryan. Nigdy go nie osiągniemy!

Prezes Instytucji Królewskiej i ajenci, niezbyt skłonni do zabobonów, rzucili się w stronę ruchomego światła.

Jakób Ryan wziął na odwagę i puścił się za nimi. Pogoń była długa i męcząca. Pochodnię niosła jakaś istota drobna i małego wzrostu, ale dziwnie zwinna. Co chwila zdawała się ginąć za jakimś murem; następnie widziano ją znowu w głębi poprzecznej galeryi. Znowuż zniknęło światło, aż nagle ukazywało się płonące żywszym jeszcze blaskiem. W istocie, przestrzeń pomiędzy niemi, a ścigającymi, nie zmniejszała się wcale, a Jakób twierdził nie bez podstawy, że go nigdy nie osiągną.

Po godzinie próżnej gonitwy, pan W. Elphiston i jego towarzysze weszli do części południowo-zachodniej sztolni Dochart. Zapytywali sami siebie, czy nie byli igraszką jakiegoś niepochwytnego, błędnego ognika.

Naraz zdało im się, że przestrzeń pomiędzy nimi i tym ognikiem zmniejszała się po trochu. Byłoż to zmęczenie ze strony istoty uciekającej, czy też chęć wciągnięcia pana W. Elphiston i jego towarzyszy do miejsca, gdzie mieszkańcy folwarku zostali może również wciągnięci? Nie podobna było odpowiedzieć na to pytanie.

Ajenci widząc, że się przestrzeń zmniejsza, przyspieszyli kroku. Światło, które się ciągle trzymało dotąd na dwieście kroków przed nimi, obecnie oddalonem było o pięćdziesiąt zaledwie. Przestrzeń ta zmniejszyła się jeszcze, niosący pochodnię stawał się widzialnym. Czasami, gdy odwracał głowę, można było poznać niewyraźny profil twarzy ludzkiej i Jakób sam

musiał przyznać, że nie należał do istoty nadziemskiej, chyba, że który z chochlików przybrał na siebie ludzką postać.

To też podwajając kroku zawołał:

– Dalej, dalej towarzysze! Już się męczy widocznie. Dogonimy go niezadługo, a jeżeli mówi tak gładko, jak ucieka, musi nam opowiedzieć wszystko!

Pogoń stawała się jednak coraz trudniejszą. Wśród ostatnich zagłębin kopalni, wąskie tunele krzyżowały się ciągle, jak aleje labiryntu. Pośród nich, istota niosąca pochodnię, mogła łatwo ująć przed pogonią agentów. Wystarczyło, by zgasła pochodnię i rzuciła się w bok, w jakiś kąt ciemny.

– W istocie – pomyślał pan W. Elphiston – jeżeli chce ująć przed nami, czemuż tego nie czyni!

Istota niepochwytana nie zrobiła tego do tej pory; ale w chwili, gdy myśl ta przechodziła przez głowę pana W. Elphiston, światło jakby na rozkazy znikło, a ajenci pędząc dalej, znaleźli się nagle przed wązkim otworem, jaki skały łupkowe pozostawiły między sobą przy samym końcu jednego z chodników. Nie namyślając się ani chwili, podnieśli tylko światło swych lampek i wsunęli się przez szparę, a za nimi pan W. Elphiston i Jakób Ryan.

Nie uszli jeszcze stu kroków w nowej galeryi niższej i wyższej, gdy się zatrzymali na nowo.

Tam, oparte o ścianę głowami, leżały w poprzek cztery ciała – trupy może!

– James Starr! – zawołał pan W. Elphiston.

– Henryk! Henryk! – krzyknął Jakób Ryan, rzucając się na ciało przyjaciela swego.

W istocie byli to: inżynier, Magdalena, Szymon i Henryk Ford, rozciągnięci bez życia.

W tejże chwili jedno z ciał się poruszyło, a głos wyczerpany starej Magdaleny wymówił te słowa:

– Ich! ich ratujcie najpierw!

Pan W. Elphiston, Jakób Ryan, i ajenci zajęli się ratowaniem inżyniera i jego towarzyszy, podając im do ust kilka kropel wzmacniającego napoju.

Udało się ich ocucić odrazu. Ci nieszczęśliwi, zamknięci od dziesięciu dni w Nowej Aberfoyle umierali z głodu.

A jeżeli dotąd znajdowali się jeszcze przy życiu, jak to później James Starr opowiedział panu W. Elphiston, to tylko dzięki jakiejś opatrnościowej dłoni, która im po trzykroć przynosiła bułkę chleba i dzbanek wody! Niezawodnie ta istota, która im w ten sposób ratowała życie, nie mogła zrobić dla nich nic więcej.

Pan W. Elphiston zapytywał teraz siebie, czy to nie była dłoń tego niepochwytanego ognika, który ich obecnie przyciągnął do miejsca, gdzie ci nieszczęśliwi przebywali.

Bądź co bądź, inżynier, Magdalena, Szymon i Henryk Ford byli uratowani. Odprowadzono ich na folwark, przechodząc przez wązkie przejście, które im wskazała istota z pochodnią.

James Starr i jego towarzysze nie mogli odnaleźć otworu do galeryi,

wydrążonego za pomocą dynamitu, ponieważ tenże został starannie zatłany odłamami skał, a w tych głębokich ciemnościach nie mogli rozpoznać otworu, ani przeszkód usunąć.

Tak więc, podczas gdy zajęci byli badaniem wielkiej galeryi, wszelka komunikacja została zamkniętą pomiędzy starą a Nową Aberfoyle przez jakąś dłoń nieprzyjacielską.

Rozdział XIII

Miasto węglowe.

W trzy lata po wypadkach wyżej opisanych, przewodniki Joanne i Murray zaznaczały w swych opisach, jako »Great attraction« dla licznych turystów, przybywających do hrabstwa Stirling, kopalnię Nową Aberfoyle, jako miejscowość godną zwiedzenia.

Żadna kopalnia ani w nowym, ani w starym świecie nie przedstawiała tak ciekawego widoku.

Na samym wstępie, odwiedzających bez trudu i bez niebezpieczeństwa przenoszono do samego dna kopalni, na tysiąc pięćset stóp pod powierzchnią hrabstwa.

W istocie, o siedem mil na południo-zachód od miasta Callander zbudowano tunel, spuszcający się w głębinę, a wejście jego ozdobiono wieżyczkami i architektonicznymi ozdobami. Tunel ten zwolna zniżał się w ziemię tak, że zejście nie było gwałtowne, a szerokim był dosyć i kończył się u wejścia tej obszernej galeryi, wykutej przez naturę pod gruntem szkockim.

Podwójna kolej żelazna, której wagony hydraulicznie były poruszane, obsługiwała co godzina wioskę, która się już utworzyła w tych głębiach podziemnych, pod nazwą trochę pretensjonalną może »Coal-City«, czyli miasta węglowego.

Przybywający do Coal-City, znajdował się w miejscowości, gdzie elektryczność główną odgrywała rolę, jako dostarczycielka ciepła i światła.

W istocie, szyby przewietrzające, chociaż bardzo liczne, nie mogłyby dostarczyć światła dziennego dla rozjaśnienia głębokich ciemności Nowej Aberfoyle.

Jasne światło zapełniało te miejsca, a mnóstwo kul elektrycznych zastępowało kulę słoneczną. Uwieszone u szczytu sklepień, pozaczepiane do słupów naturalnych, a zasilane nieustannymi prądami, których dostarczały maszyny elektromagnetyczne, lampy w postaci słońc i gwiazd – oświetlały dostatecznie podziemia. Gdy nastawała godzina spoczynku, jedno wyłączenie odpowiedniego druta, zamieniało dzień na noc w całej kopalni.

Wszystkie te aparaty, większe i mniejsze, działały w zupełnej próżni, to jest, że światło ich nie łączyło się bynajmniej z powietrzem atmosferycznym. W razie więc, gdyby nawet to powietrze nasycone było węglowodorem, w

ilości dostatecznej do spowodowania wybuchu, nie trzeba się było tego obawiać. To też używano elektryczności na wszystkie potrzeby życia przemysłowego i domowego, tak po domach w Coal-City, jak i po galeryach eksploatowanych w Nowej Aberfoyle.

Należy przedewszystkiem zaznaczyć, że przewidywania inżyniera Jamesa Starr, co do eksploatacji nowej kopalni, nie były płonne. Bogactwo żył węglowych okazało się nieobliczone. Na zachodniej stronie, o ćwierć mili od Coal-city, uderzono oskardem w pierwsze żyły kopalni.

A zatem miasto robotników nie zajmowało jeszcze środka eksploatacyjnej przestrzeni. Roboty podziemne łączyły się z robotami zewnętrznymi za pomocą szybów przewietrzających i szybów ekstrakcyjnych, które ułatwiały komunikację pomiędzy różnymi piętrami kopalni, a powierzchnią gruntu. Wielki tunel, gdzie funkcjonowała kolej żelazna, o parciu hydraulicznym, służył jedynie do przewożenia mieszkańców CoalCity.

Przypominają sobie czytelnicy dziwną budowę olbrzymiej pieczary, gdzie stary nadsztygar i jego towarzysze zatrzymali się podczas swoich poszukiwań.

Tam, ponad ich głowami rozciągało się sklepienie formy kopulastej. Słupy, podtrzymujące to sklepienie łupkowe, miały do trzystu stóp wysokości, czyli, że równały się prawie wysokości »kopuły Mammoutha«, w grotach Kentucky.

Jak wiadomo, ta bezmierna pieczara – największa z całego świata kopalnianego w Ameryce – może łatwo pomieścić pięć tysięcy osób. Nowa Aberfoyle posiadała podobną rozległość i to samo urządzenie. Zamiast przepysznych stalaktytów tej sławnej groty, wzrok się spotykał tutaj z wystającymi naroślami żył węglowych, które zdawały się wytryskiwać na wszystkie strony pod naciskiem pokładów łupkowych. Rzekłbyś, olbrzymie garby dżetowe, których iskry promieniały pod światłem elektrycznych kręgów.

Pod tą olbrzymią kopułą rozlewało się jezioro, mogące być porównane do morza Martwego w podziemiach Mammoutha. – Jezioro to miało wody przezroczyste, w których roily się bezokie ryby; inżynier nadał tym wodom nazwę jeziora Malcolm.

Tam, też w tej olbrzymiej, naturalnej wklęsłości, Szymon Ford wybudował sobie nowy »folwark« i nie byłby go zamienił na najpiękniejszą rezydencję na Princess-Street, w Edynburgu. Dom mieszkalny położony był nad samym brzegiem jeziora, a jego pięć okien wychodziło na ciemne wody, rozciągające się poza krańce ludzkiego wzroku.

We dwa miesiące po tej pierwszej budowie, stanął drugi dom w pobliżu, w sąsiedztwie Szymona Ford.

Zamieszkał w nim James Starr.

Inżynier duszą i ciałem oddał się na usługi Nowej Aberfoyle, nawet w niej zamieszkał i musiały go chyba ważne interesa zmusić do opuszczania jej kiedyniekiedy i powrotu na ziemię.

Żył on tam istotnie wśród całego świata górników.

Od chwili odkrycia nowych pokładów, wszyscy robotnicy dawnej kopalni pospieszili do młota i oskarda, rzucając z radością pług i bronę. Mieli teraz pewność, że im roboty nie zbraknie nigdy, a wysokie ceny, jakie bogactwo kopalni gwarantowało robotnikom, nakłaniało wszystkich do rzucania życia na

powierzchni ziemi i przenoszenia się do głębin, gdzie z powodu przyrodzonego ustroju gruntu, mogli sobie z łatwością budować domostwa.

Domki górników, budowane z cegły, rozmieszczone były w sposób malowniczy; jedne nad samym jeziorem Malcolm, inne pod arkadami, które podtrzymywać się zdawały sklepienia, podobne tym, co podtrzymują kopuły katedralne.

Wszyscy robotnicy, których główna praca zasadza się na dnie kopalni, przenieśli się na stałe do Nowej Aberfoyle i założyli w miarę przybywania miasto Coal-City, położone na wschodniej stronie jeziora Katrine, a na północ hrabstwa Stirling.

Był to więc rodzaj osady flamandzkiej, założonej na brzegach jeziora Malcolm. Kaplica, wzniesiona pod wezwaniem św. Idziego, unosiła się na wyniosłej skale i z góry spoglądała na ten świat roboczy.

Gdy to miasto podziemne oświetlało się promieniami lamp, zawieszonych po słupach i u arkad, podtrzymujących sklepienia, zasługiwało w zupełności na pochwały, oddawane mu przez przewodnika Murray Joanne.

To też na zwiedzających nie zbywało nigdy.

Mieszkańcy Coal-City dumni byli ze swego miasta, rzadko je opuszczali, naśladując w tym Szymona Ford, który znów nigdy zeń wychodzić nie chciał.

Stary nadsztygar twierdził, że tam »na górze« deszcz ciągle pada, a co prawda, biorąc w rachubę klimat królestwa Zjednoczonego, nie mylił się tak bardzo.

Rodziny, zamieszkujące Nową Aberfoyle, rozwijały się pomyślnie.

Przez te trzy lata doszły do pewnego stopnia dobrobytu, którego nigdy nie osiągnęły na powierzchni hrabstwa. Wiele niemowląt, urodzonych po rozpoczęciu robót w kopalniach, nie odetchnęło jeszcze powietrzem zewnętrznym.

Jakób Ryan też mawiał z uśmiechem:

– Niektóre już od półtora roku ssać przestały, a jeszcze światła dziennego nie widziały.

W tem miejscu wypada zaznaczyć, że Jakób Ryan przybył jeden z pierwszych na wezwanie inżyniera, zwołującego do pracy. Wesoly ten chłopiec uważał sobie za obowiązek powrócić do dawnego rzemiosła. Folwark Melrose utracił swego śpiewaka i dudziarza. Ale za to Nowa Aberfoyle rozbrzmiewała echem jego pieśni.

Jakób Ryan zamieszkał razem z rodziną Fordów. Oddano mu jeden z pokoi, który przyjął bez ceremonii, jako człowiek prosty i szczerzy, bo takim był zawsze. Stara Magdalena lubiła go za jego dobroć i wesołość. Godziła się z nim także w przesądach o istnieniu istot fantastycznych, które musiały przebywać w kopalni i oboje, gdy się znajdowali sami, opowiadali sobie historie wstrząsające, godne pomieszczenia w mitologii tych krain północnych.

Jakób rozweselał folwark Fordów. Był on wybornym robotnikiem, po upływie roku, został mianowany szefem oddziału robót podziemnych.

– Otóż tak, to dobrze, panie Ford – mówił w kilka dni po wprowadzeniu się do nowego mieszkania. – Znalazł pan nową żyłę, a jeżeliś tego odkrycia mało zyciem nie przypłacił, to i tak nie byłoby to za drogo!

– Owszem, mój Jakóbie, bardzo tanio nawet udało nam się to odkrycie – odpowiedział stary nadsztygar. – Ale ani pan Starr, ani ja, nie zapomnimy nigdy, żeśmy ci winni ocalenie.

– Wcale nie mnie – zaprzeczał Jakób Ryan – życie zawdzięczacie Henrykowi, który miał szczęśliwą myśl przyjęcia moich zaprosin na uroczystość w Irvine.

– I który nie poszedł na tę uroczystość, nieprawdaż kochany Jakóbie? – dodał Henryk, śmiejąc się i ściskając dłoń przyjaciela. – Nie, mój Jakóbie, napróżno się wymawiasz, tobie jednemu, który pomimo ran swoich, nie straciłeś ani dnia ani godziny, żeby nas odszukać, winniśmy ocalenie.

– Ależ wcale nie! – wołał uparty chłopiec – nie pozwolę mówić tego, co nie jest! Mogłem być niespokojny o to, co się z tobą stało Henryku, ale na tem koniec. Chcąc przyznać każdemu, co mu się należy, musimy dodać, że gdyby nie pomoc tego nieschwytanego chochlika...

– Otóż mamy i chochlika! – zawołał Szymon Ford.

– Chochlika, czy ognika, czy syna ognia, czy wnuka dam ognistych, czy Uryska zresztą, mniejsza o to – mówił dalej Jakób – niemniej jest prawdą, że bez niego nie bylibyśmy się nigdy dostali do tej galeryi, skądęście się wydostać nie mogli.

– Bezwątpienia – odrzekł Henryk – chodzi tylko o to, czy rzeczywiście istota ta, ktokolwiek ona jest, należy do zjawisk nadzwyczajnych, w które wierzysz.

– Nadzwyczajnych! – zawołał Jakób. – Tak samo nadzwyczajnych, jak błędny ognik, który pędzi po bagniskach! Bądź spokojnym Henryku, zobaczymy go dziś lub jutro.

– No dobrze, Jakóbie – rzekł Szymon Ford – ognik, czy nie ognik – ale go poszukamy i trzeba będzie, żebyś nam dopomógł.

– Źle byś pan na tem wyszedł, panie Ford – odrzekł Jakób.

– Dobryś, Jakób zaczyna znowuż swoje!

Łatwo pojąć, że mieszkańcy Nowej Aberfoyle zaznajomili się niebawem z świeżem swem mieszkaniem, zwłaszcza rodzina Fordów. Henryk wkrótce poznał wszystkie zakręty i zakątki kopalni. Doszedł do tego, że mógł dokładnie oznaczyć z każdego punktu miejscowość, pod którą się znajdował. Wiedział, że pod tym a tym słupem rozciąga się zatoka Clyde, tam znowu jezioro Lomond, lub jezioro Katrine. To znowu sklepienie odpowiadało, wznoszącym się nad niem górą Grampian. Ponad tym szerokim stawem przechodziła kolej żelazna Bollock. Tu się kończyło terytorium szkockie.

Tam znowu morze się rozlewało i słycać było wyraźnie jego szmer, podczas wielkich burz. Henryk mógłby być zostać znakomitym przewonikiem w tych naturalnych katakumbach, a to, co czynią przewodnicy w Alpach na szczytach śnieżnych, czyniłby w kopalni, w zupełnych ciemnościach.

To też kochał on tę Nową Aberfoyle! Ileż razy z lampką u kapelusza zagłębiał się aż do ostatecznych krańców kopalni! Badał jej stawy na małej łódce, którą sam zręcznie kierował. Polował nawet, bo liczne dzikie ptactwo dostało się do kopalni, a więc bekasy i kaczki dzikie, żywiące się rybami, od których się te czarne wody roiły. Zdawało się, że oczy Henryka przywykły już

do tych ciemnych przestrzeni tak, jak oczy marynarza do dalekich widnokręgów.

Henryk, przebiegając w ten sposób kopalnię, żywił nadzieję, że odnajdzie kiedyś istotę tajemniczą, za pomocą której, prawdę mówiąc, on i jego towarzysze zachowani zostali przy życiu. Czy udadzą mu się te poszukiwania? Tak, wierzył w to, gdyż wierzył w swoje przeczucia. Ale, sądząc po niefortunnych dotąd poszukiwaniach, zdawało się, że nie dojdzie tajemnicy.

Kroki nieprzyjazne, wymierzone dawniej przeciw rodzinie Fordów, przed odkryciem Nowej Aberfoyle, nie powtórzyły się już od tego czasu.

Tak rzeczy stały w tej dziwnej okolicy.

Nie trzeba sądzić, żeby życie w Coal-City ogołocone było ze wszystkich przyjemności i radości życia zewnętrznego, i żeby ta ludność kilkotysięczna wiodła żywot monotony.

Bynajmniej.

Mieszkańcy Nowej Aberfoyle, mając wspólne interesa, wspólne gusta, jednakie zasoby majątkowe, tworzyli prawie jedną wielką rodzinę. Znano się dobrze, spotykano się ciągle i nie dbano o szukanie rozrywek na zewnątrz.

Zresztą w niedzielę urządzano wspólne wycieczki po kopalni, po stawach i jeziorach, co miało urok niesłychany.

Często dawał się słyszeć dźwięk dudy góralskiej nad brzegami jeziora Malcolm. Szkoci przybywali spiesznie i puszczano się w tany, a Jakób Ryan przyodziany w kostium góralski, bywał tego dnia królem zabawy.

Z tego wszystkiego wypadało, jak mówił Szymon Ford, że Coal-City mogło rywalizować ze stolicą Szkocji, z tym miastem, podległym wszystkim kaprysom zimy, upałam i nieprzyjemnościom klimatu niezdrowego, które w czarnej atmosferze dymów fabrycznych, zasługiwało w zupełności na przydomek:

»Starej wędzarni«.

Rozdział XIV

Zawieszony na nitce.

Rodzina Fordów, urzeczywistniwszy wszystkie marzenia, czuła się szczęśliwą. Jeden tylko Henryk zwykle z natury poważny, nawet trochę ponury, coraz więcej zamykał się w sobie, jak mówiła stara Magdalena. Nawet Jakób Ryan, z całą swoją wesołością, nie mógł go rozchmurzyć.

Pewnej niedzieli – było to w czerwcu – obaj przyjaciele przechadzali się po brzegach jeziora Malcolm. Coal-City świętowało. Na górze czas był burzliwy. Gwałtowne deszcze rozbijały ziemię, która parowała. Trudno oddychać było w tej parnej atmosferze hrabstwa. Przeciwnie, w Coal-City spokój panował zupełny, temperatura łagodna, ani deszczu, ani wiatru. Nic

tam nie wskazywało walki żywiołów na zewnątrz. To też wiele osób przybyło ze Stirling i okolicy, ażeby odetchnąć świeżym powietrzem w głębi kopalni.

Lampy elektryczne rzucały blaski, jakichby niezawodnie zazdrościło słońce brytańskie, chmurniejsze niżby nawet wypadało na dzień świąteczny.

Jakób Ryan robił uwagi nad przybyłymi, ale jego towarzysz zaledwie na nich zwracał uwagę.

– Patrz, patrz Henryku! – wołał Jakób – a to ciekawi nas oglądać! Dalejże przyjacielu! rozpędź smutne myśli i staraj się być uprzejmym gospodarzem! Dałbyś do myślenia wszystkim tym ludziom, tam z góry, że zazdrościsz ich losu.

– Jakóbie! – odrzekł Henryk – nie zajmuj się mną! Tyś wesół za nas obu, niech ci to wystarczy.

– Na starego Nicka! – krzyknął Jakób – czy wiesz, że ta twoja czarna melancholia i mnie się zaczyna udzielać! Oczy mi ciemnieją, wargi zaciskają, śmiech pozostaje w gardle. Powiedz że mi raz, co tobie, Henryku!?

– Wiesz dobrze Jakóbie, co mi jest.

– Ciągle ta myśl?

– Nieustannie!

– Ależ mój kochany! – rzekł Jakób, wzruszając ramionami – gdybyś tak, jak ja złożył wszystko na rachunek chochlików kopalni, miałbyś umysł spokojniejszy!

– Wiesz dobrze o tem Jakóbie, że chochliki istnieją tylko w twojej wyobraźni, i że od chwili rozpoczęcia robót w Nowej Aberfoyle, nie widziano już ani jednego.

– Niech i tak będzie! Ale jeżeli chochliki się nie pokazują, to zdaje mi się, że i te istoty, którym ty istnienia nie odmawiasz, również gdzieś znikły.

– Odnajdę je, Jakóbie!

– Ej Henryku! Henryku! duchy Nowej Aberfoyle nie tak łatwo ująć się dadzą!

– Odnajdę jednakże te twoje duchy – powtórzył Henryk, głosem stanowczym i energicznym.

– Pragniesz je ukarać?...

– Ukarać i nagrodzić, Jakóbie. Nie zapominajmy, że gdy jedna ręka nas więziła w tej galeryi, druga nas wybawiła! Ja o tem pamiętam zawsze.

– Ależ Henryku! Skądżeż pewność, że te dwie ręce do jednej nie należą osoby.

– Skądże tobie taka myśl przyszła do głowy?

– Bo... jak wiesz... Henryku! Te istoty, zamieszkujące otchłanie... nie są w niczem do nas podobne!

– Przeciwnie, Jakóbie, one są do nas podobne!

– O, stanowczo temu zaprzeczam... Zresztą, czyż nie możesz przypuścić, że się tutaj jakiś waryat dostał?

– Waryat! – odrzekł Henryk – Waryat, któryby tak logicznie myślał. Waryat, ten złoczyńca, który, od chwili zerwania drabin szybu Yarow, nie przestał nas prześladować!

– Przecież teraz nic złego nie robi, Henryku. Od trzech lat żaden czyn tego rodzaju nie został ponowiony ani przeciw tobie, ani przeciw twoim.

– Mniejsza z tem Jakóbie – odrzekł Henryk. – Mam przeczucie, że ta istota złośliwa ktokolwiek ona jest, nie wyrzekła się swoich zamiarów. Nie mógłbym sam określić dlaczego ci to mówię. To też Jakóbie, w interesie nowej eksploatacji, chciałbym wiedzieć, kto ona jest i skąd pochodzi.

– W interesie nowej eksploatacji? – zapytał zdziwiony Jakób.

– Tak jest. Nie wiem, czy się mylę, ale w tej całej sprawie widzę interes przeciwny naszemu. Myślałem często nad tem, i zdaje mi się, że mam słusność. Przypomnij sobie tylko cały szereg faktów nietłómaczonych, które się wiecznie ze sobą łączą. Ten list anonimowy, sprzeczny z listem mego ojca, dowodzi najpierw, że jakiś człowiek wiedział o naszych zamiarach i że chciał przeszkodzić ich spełnieniu. Pan Starr przybywa do nas do sztolni Dochart. Zaledwim go do niej wprowadził, aż tu olbrzymi kamień zostaje rzucony na nas i wszelka komunikacja z górą zostaje przeciętą przez zerwanie drabin w szybie Yarow. Rozpoczynamy poszukiwania, które nam miały wskazać istnienie pokładów nowych, zostają one uniemożliwione przez zatkanie wszelkich szpar w warstwach łupkowych. Pomimo to, stwierdzamy fakt, odnajdujemy żyłę. Powracamy. Silny podmuch powietrza wrywa nam lampkę, która się tłucze. Ciemności zalegają wokoło nas. Bez względu na to, dochodzimy do końca ciemnej galeryi... Ale nie mamy którędy wyjść. Otwór jest zatkany. Zostajemy uwięzieni. No i cóż Jakóbie, czyż nie widzisz w tem wszystkim ręki zbrodniczej. Tak jest! istota niepochwytna dotąd, ale nie nadprzyrodzona, jak ty twierdzisz, ukrytą była w kopalni. Nie wiem, jaki w tem miała interes, ale chciała nam bronić dostępu. Była tam!... Przeczucie mi powiada, że jest jeszcze, i kto wie, czy nie gotuje nam straszniejszego pocisku. A zatem Jakóbie, chociażbym miał życiem przypłacić, odkryję ją!...

Henryk wypowiedział to wszystko z takim przekonaniem, że zachwiał wątpliwości swego towarzysza. Jakób uwierzył, że Henryk miał słusność przynajmniej co do przeszłości. Czy fakty te nadzwyczajne miały przyczynę naturalną czy nadnaturalną, nie mniej pewną było rzeczą, że istniały.

Dzielny chłopiec nie mógł się wyrzec swoich poglądów co do tej sprawy. Ale pojmując, że Henryk nie uwierzy nigdy w istnienie jakiegoś tajemniczego geniusza, zwrócił się do wypadku, który zdawał się niezgodnym z uczuciem złośliwości, skierowanej przeciw rodzinie Fordów.

– Dobrze więc Henryku – rzekł – jeżeli ci muszę przyznać słusność, co do pewnych punktów, czyż ci nie przychodzi na myśl, że jakaś dobroczynna wróżka, przynosząc wam chleb i wodę, mogła was wybawić od...

– Ależ Jakóbie – przerwał Henryk – ta dobroczynna wróżka musi istnieć tak samo, jak i wyżej wspomniany złoczyńca i obojga ich szukać będę w najgłębszych otchłaniach kopalni.

– Czy masz jakiegokolwiek wskazówki w tym względzie?

– Być może – odrzekł Henryk.

– Posłuchaj mnie Jakóbie. W stronie zachodniej kopalni Nowej Aberfoyle, pod tem sklepieniem, które podtrzymuje jezioro Lomond, znajduje się studnia, czy szyb naturalny, który wchodzi prostopadle aż do samego wnętrza pokładów. Tydzień temu chciałem zbadać tę głębię. W chwili, gdy sondę zapuszczałem i schylony stałem nad otworem szybu, uczułem powiew

poruszonego wewnątrz powietrza, jakby od silnych uderzeń skrzydeł.

– Zapewne jakiś ptak się dostał do niższych galeryi kopalni – zauważył Jakób.

– To jeszcze nie wszystko Jakóbie – mówił dalej Henryk. – Dziś rano znowu powróciłem do tego szybu, i nad słuchując dobrze, zdawało mi się, że słyszę jęki...

– Jęki! – krzyknął Jakób. – Mylisz się zapewne Henryku! Był to przewiew wiatru... albo też może jaki chochlik...

– Jutro Jakóbie – rzekł Henryk – będę wiedział czego się trzymać.

– Jutro? – zapytał Jakób, patrząc trwożnie na swego towarzysza.

– Tak jest, jutro zejdem do tej otchłani.

– Henryku! Ty kuszisz Boga samego!

– Nie, Jakóbie, wezwę Jego pomocy i zejdem. Jutro pójdziemy obaj do tego szybu i weźmiemy jeszcze kilku towarzyszy. Długi sznur, do którego mnie przywiążecie, pozwoli wam spuszczać mnie i wyciągać na znak umówiony. Czy mogę liczyć na ciebie, Jakóbie?

– Henryku – odrzekł Jakób – uczynię wszystko, o co mnie prosisz, a jednak powtarzam ci: źle czynisz, narażając się.

– Lepšie to, niż ciągle wyrzuty, że się nic nie zrobiło – rzekł Henryk tonem stanowczym. – A zatem jutro z rana o szóstej i milczenie! Bądź zdrow, Jakóbie!

I nie chcąc przedłużać rozmowy, w której Jakób byłby usiłował go przekonać, Henryk szybko opuścił przyjaciela i powrócił na folwark.

Trzeba jednak przyznać, że obawy Jakóba nie były przesadzone. Jeżeli jakiś osobisty nieprzyjaciel znajdował się w tym szybie, gdzie młody górnik miał się spuszczać, Henryk bezwątpienia się narażał. A jednak skąd pewność lub prawdopodobieństwo nawet, żeby tak było?

– A zresztą – powtarzał Jakób – dlaczego się silić nad wytłómaczeniem szeregu faktów, które się tak łatwo tłómaczą przez wmieszanie się geniuszów kopalni?

Pomimo to, nazajutrz Jakób i trzech górnicy jego oddziału przybyli wraz z Henrykiem do tajemniczego, a podejrzanego szybu.

Henryk nic nie mówił o swoim projekcie ani do Jamesa Starr, ani do starego nadsztygara. Ze swej strony Jakób był tyle dyskretnym, że również nic nie mówił. Inni górnicy, widząc gotującą się wyprawę, przypuszczali, że chodzi o zwyczajne zbadanie pokładu w danym kierunku.

Henryk miał przy sobie sznur długi na dwieście stóp. Sznur ten nie był gruby ale wypróbowanej trwałości. Ponieważ miano go spuszczać i wyciągać, przeto chodziło tylko o to, by go sznur mógł unieść. Na dany znak miano go wyciągnąć natychmiast z podziemia.

Szyb był dosyć szeroki, miał bowiem dwanaście stóp średnicy przy otworze. Założono grubą belkę przez sam środek otworu, w rodzaju kładki w taki sposób, że sznur, ześlizgując się po jednym z boków belki, utrzymywał się przy osi szybu. Było to niezbędnym, bo inaczej przy spuszczeniu Henryk mógłby zostać potłuczonym o ściany boczne.

Henryk był gotów.

– Czy trwasz w zamiarze zbadania tej przepaści? – zapytał go Jakób.

– Naturalnie! – odrzekł Henryk.

Przywiązano mu sznur w koło bioder, następnie pod pachami w ten sam sposób, żeby ciało się utrzymywało w linii prostopadłej.

Ręce obie miał wolne. U pasa umocował sobie lampkę bezpieczeństwa, u boku długi i szeroki nóż szkocki obosieczny, umieszczony w pohwie skórczanej.

Henryk wszedł na belkę, przez środek której zarzucono linkę.

Usiadł na niej, i spuszczając nogi, ześlizgnął się z wolna, podtrzymywany silnie przez towarzyszy. Blask lampki oświecał z kolei wszystkie ściany szybu, i Henryk mógł je badać starannie.

Ściany te złożone były z łupka i węgla. Tak były gładkie, że niepodobna było utrzymać się na ich powierzchni.

Henryk obliczył, że się spuszcza z szybkością umiarkowaną: na sekundę, jedną stopę. Mógł więc dostatecznie się rozglądać i być w pogotowiu na wszelki wypadek.

Przez dwie minuty, spuszczenie odbywało się bez wypadku. Nie było żadnej galeryi bocznej po ścianach szybu, który się zwężał stopniowo w formie lejka. Henryk zaczął odczuwać świeższe powietrze od spodu, z czego wnosił, że dolna część szybu musiała się łączyć z jakim przejściem do niższego piętra kopalni.

Sznur spuszczał się ciągle. Coraz większa ciemność. Cisza panowała również. Jeżeli jaka istota żyjąca schroniła się w tej tajemniczej i głębokiej przepaści, nie była teraz na miejscu, gdyż żadne poruszenie nie zdradzało jej obecności.

Henryk, w miarę spuszczenia, stawał się bardziej ostrożnym, wyciągnął nóż z pochwy i trzymał go w prawej ręce.

Na głębokości stu osiemdziesięciu stóp, uczył grunt pod nogami, a sznur otaczający go, przestał się rozwijać.

Henryk odetchnął na chwilę. Jedna obawa, którą żywił, okazała się płonną, a bał się mianowicie, by sznura nad nim nie przecięto. Co prawda nie zauważył żadnej szpary ani otworu w ścianach, któreby chronić mogły jakąkolwiek istotę.

Dolny otwór szybu był bardzo wąski.

Henryk, odpiąwszy lampkę od pasa, oglądał grunt pod nogami. Nie omylił się w przypuszczeniach.

Wąskie przejście zapuszczało się do dolnego piętra pokładu. Trzeba było się schylić, żeby weń wejść i pełzać na rękach. Henryk chciał się dowiedzieć, w którą stronę rozciągała się ta galerya i czy dochodziła do jakiej przepaści.

Położył się na ziemi i zaczął pełzać. Ale w tejże samej chwili napotkał jakąś zaporę.

Dotknąwszy się, uczył pod ręką ciało leżące na ziemi.

Cofnął się w pierwszej chwili, ale zaraz wrócił.

Zmysły go nie myliły. Było to w istocie ciało. Uniósł je na ręce i przekonał się, że chociaż zlodowaciałe u kończyn, ciało to martwym nie było, ani

ostygłem zupełnie.

Przyciągnął je do siebie na dno szybu, podniósł nań światło lampki i zawołał nagle:

– Ależ to dziecko!...

Dziecko, znalezione na dnie tej przepaści, oddychało jeszcze, ale oddech jego tak był słabym, że Henryk mógł się obawiać, by nie ustał za chwilę. Trzeba było, nie tracąc czasu, zanieść dziecko do otworu szybu, a stamtąd na folwark, gdzie Magdalena by je wzięła w opiekę.

Henryk, zapominając o wszystkim innym, przymocował napowrót sznur do pasa, przywiązał lampkę, uniósł dziecko lewą ręką a prawą dał znak, by linę do góry wciągano.

Sznur się wyprężył natychmiast i rozpoczęło się wznoszenie do góry.

Henryk spoglądał w koło siebie z podwójną uwagą. Już teraz nie o niego samego chodziło.

W pierwszej chwili wszystko poszło dobrze, żaden wypadek nie przerywał wznoszenia, gdy nagle Henryk uczuł silny powiew pod sobą w szybie.

Spojrzał w dół i ujrzął w ciemnościach masę, która wznosząc się, otarła się o niego.

Był to ptak olbrzymi, którego gatunku rozpoznać nie mógł i który wzlatywał, bijąc silnie skrzydłami.

Potwór skrzydlaty zatrzymał się na chwilę, i z góry napadł na Henryka z dziką zaciętością. Henryk miał tylko prawą rękę wolną i nią się zastawiał od silnych uderzeń olbrzymiego dzioba i skrzydeł.

Bronił się zatem, zakrywając o ile mógł dziecko.

Ale ptak nie na dziecko się rzucał, tylko na niego.

Henryk, kręcąc się wraz z sznurem w koło, nie mógł go trafić nożem odrazu.

Walka się przedłużała. Henryk krzyknął z całych sił, spodziewając się, że towarzysze usłyszą jego wołanie.

Tak się też stało i sznur prędzej zaczął się unosić.

Pozostawało jeszcze około osiemdziesiąt stóp do przebycia.

Ptak rzucił się wtedy na Henryka ze zdwojoną siłą. Henryk zdołał go zranić w skrzydło; ptak wrzasnął straszliwie i znikł w głębi szybu.

Ale Henryk, wywijając obosiecznym nożem, żeby ranić ptaka, nadciął niebacznie jedną stroną liny.

Rozpacz go ogarnęła i krzyknął przeraźliwie.

Silniejsze trzeszczenie sznura oznajmiło, że pękł coraz bardziej pod ciężarem dwóch ciał zawieszonych.

Henryk puścił swój nóż i siłą nadludzką zdołał uchwycić linę ponad miejscem przecięciem w chwili, gdy pękła ostatecznie. Ale chociaż dłoń miał silną jak stal, uczuł, że sznur mu się wyślizguje z palców.

Mógłby był pochwycić go drugą ręką, puszczając dziecko, które trzymał... ale o tem nie pomyślał nawet.

Jakób Ryan i jego towarzysze, przerażeni wołaniem Henryka, ciągnęli go

z całych sił.

Henryk myślał, że już nie zdoła utrzymać liny do otworu szybu. Krew mu nadbiegła do twarzy; przymknął oczy, myśląc, że niebawem runie w przepaść.

Ale w tejże chwili, gdy już puszczał linę, silne dłonie chwyciły go za ramiona i uniosły wraz z dzieckiem na powierzchnię gruntu.

Wtedy dopiero nastąpiła reakcja i Henryk padł bez zmysłów na ręce swych towarzyszy.

Rozdział XV

Nella.

We dwie godziny potem, Henryk, który odrazu nie mógł przyjść do siebie i dziecko, które było nadzwyczaj słabe, przeniesieni zostali do mieszkania Fordów z pomocą Jakóba i jego towarzyszy.

Tam dopiero rozpoczęło się opowiadanie o ich wyprawie staremu nadsztygarowi, a Magdalena zajęła się biedną małą istotą, którą syn wyratował.

Henrykowi się zdawało, że z przepaści uprowadził dziecko.

Tymczasem była to dziewczynka, mająca piętnaście lub szesnaście lat. Wzrok jej błędny i zdziwiony wszystkim, jasna płeć blondynki, której nigdy światło słoneczne nie skąpało, kształty delikatne i drobne – wszystko to składało się na utworzenie istoty dziwnej i uroczej zarazem. Jakób miał niejaką słusność, porównyując ją do istoty nadziemskiej. Wyraz twarzy miała oryginalny. Oczy, jakby znużone zbytciem światłem lamp na folwarku, patrzyły błędnie.

Magdalena, ułożywszy dziewczynkę na swoim łóżku, zadała jej pierwsze pytanie:

– Jakże się nazywasz, maleńka?

– Nella – odpowiedziała.

– Czy cię co boli, Nello? – pytała Magdalena dalej.

– Jeść mi się chce – odrzekła – nie jadłam oddawna... od...

Po tych kilku wyrzeczonych słowach, znać było, że Nella nie przyzwyczajona była do mówienia. Język, którym się posługiwała, było to raczej narzecze staro-galickie, którego Szymon Ford i jego rodzina często używali.

Na słowa ostatnie dziewczynki, Magdalena przyniosła trochę pożywienia. Nella umierała z głodu. Odkąd przebywała w głębi szybu? Nie można się było dowiedzieć.

– Ileż tam dni przebyłaś, moje dziecko? – pytała Magdalena.

Nella nic nie odrzekła. Zdawała się nie rozumieć pytania.

– Od ilu dni? – powtórzyła Magdalena.

– Dni? – spytała Nella, jakby to słowo dla niej żadnego nie miało znaczenia.

I wstrząsała główką, jakby nie pojmując, o co ją pytają.

Magdalena wzięła ją za rękę i zaczęła pieścić.

– Ile masz lat córeczko? – zapytała, patrząc jej w oczy łagodnie, z uśmiechem.

Nella wstrząsnęła główką.

– Tak, tak, ile masz lat?

– Ile? – powtórzyła Nella. I to słowo, tak samo jak »dnie« nie było dla niej zrozumiałe.

Szymon Ford, Henryk, Jakób i jego towarzysze, patrzyli na nią z uczuciem współczucia i sympatii. Stan biednej istoty, przybranej w odzież z grubego płótna, mógł co prawda, wzruszyć każdego.

Henryk więcej od innych czuł się pociągniętym do Nelli dla samego jej dziwactwa.

Zbliżył się do niej. Wziął jej rękę z dłoni matki.

Spojrzał jej w oczy, i ujrawszy na ustach coś w rodzaju uśmiechu, rzekł:

– Nello... tam... w kopalni... czyś była sama?

– Sama, sama! – zawołało dziewczę, prostując się na łóżku.

Twarz jej wyrażała teraz przerażenie. Oczy które złagodniały już pod wpływem spojrzenia Henryka, zdziczały na nowo.

– Sama! sama! – powtórzyła i padła na łóżko, jakby ją siły zupełnie opuściły.

– To biedne dziecko jest zanadto słabe, by nam teraz odpowiadać mogło – rzekła Magdalena, układając napowrót dziewczynkę. – Kilka godzin spokoju, dobre odżywienie, przywróca jej siły. Chodźmy stąd wszyscy, i zostawmy ją, niech śpi spokojnie.

Za poradą Magdaleny, pozostawiono Nellę samą i przekonano się, że niebawem zasnęła głęboko.

Fakt ten narobił dużo hałasu nie tylko w samej kopalni, ale i w hrabstwie Stirling, a nawet mówiono o tem w całym Zjednoczonym Królestwie. Powtarzano sobie różne pogłoski o dziwnej istocie znalezionej w podziemiach. Gdyby był Henryk znalazł dziewczynę zamkniętą w skale łupkowej, na wzór tych okazów przedpotopowych, które uwalnia oskard górniczy od powłoki kamiennej więcej by ta sprawa chyba nie narobiła rozgłosu.

Bezwiednie Nella znalazła się na ustach wszystkich.

Ludzie zabobonni znaleźli nowy temat do opowiadań legendowych. Myśleli może, że Nella jest geniuszem Nowej Aberfoyle, a gdy Jakób to powtarzał Henrykowi:

– Niech i tak będzie – odpowiadał młody człowiek – niech i tak będzie, Jakóbie! W każdym razie dobry to geniusz! To ten, który nas wybawił od głodowej śmierci, który nam przynosił chleb i wodę, gdyśmy byli więźniami w kopalni! Nikt inny, tylko ona! Co zaś do geniusza złego, jeżeli został w

kopalni, odkryjemy go niezawodnie.

Inżynier James Starr został naturalnie uwiadomiony zaraz o tem, co się stało.

Skoro tylko dziewczynka trochę sił odzyskała w spokoju, zaczął ją inżynier sam wybadywać z największą troskiwością. Nie miała pojęcia o najprostszych rzeczach w życiu. Była jednak inteligentną, poznano to niebawem, ale niektórych pojęć elementarnych brakowało jej zupełnie, między innymi wiadomości o czasie. Widocznie nie uczono jej dzielić czas na dni i godziny, nawet te wyrazy były dla niej obce. Oczy jej przyzwyczajone do nocy, z trudnością znosić mogły blask światła elektrycznego; w ciemności za to, wzrok jej posiadał bystrość nadzwyczajną.

Łatwo też było poznać, że mózg jej nigdy nie doznał wrażenia świata zewnętrznego, że nie widziała innych widnokręgów, prócz świata kopalni i że ludzkość cała zamkniętą dla niej była w tych podziemiach.

Czyż mogła przypuszczać istnienie słońca, gwiazd, miast i wiosek, świata całego, w którym tysiące innych światów krążyło? Można było o tem wątpić i trzeba było czekać z pytaniami, aż niektóre słowa nabiorą w jej umyśle prawdziwego znaczenia.

Co do pytania, czy Nella zamieszkała sama w głębinach Nowej Aberfoyle, James Starr musiał wyrzec się dowiedzenia prawdy. W istocie, wszelka aluzya w tym względzie rzucała przestrasz w tę dziwną duszę. Czy Nella nie chciała, czy też nie mogła odpowiadać; w każdym razie była to tajemnica, którą tylko ona mogła wyjawiać.

– Czy chcesz z nami pozostać? A może wolisz powrócić tam, gdzie byłeś? – zapytał jej James Starr.

Na pierwsze pytanie, dziewczę odrzekło:

– O tak!

Na drugie, wydało okrzyk trwogi i zakryło twarz rękoma.

Wobec tego uporczywego milczenia, James Starr, Szymon i Henryk, odczuwali pewną obawę.

Nie mogli oni zapomnieć niezrozumiałych faktów, które towarzyszyły odkryciu kopalni. A chociaż od trzech lat żadne nowe zdarzenie nie miało miejsca, to jednak ciągle oczekiwali nowej zaczepki ze strony niewidzialnego nieprzyjaciela.

Postanowili też jeszcze raz zwiedzić szyb tajemniczy. Uczynili to w większem towarzystwie i dobrze uzbrojeni, ale nie znaleźli najmniejszego podejrzanego śladu. Szyb łączył się z niższymi piętrami kopalni, wykutymi w pokładach węglowych.

James Starr, Szymon i Henryk, często rozmawiali o tem. Jeżeli jedna lub więcej istot złośliwych, ukrywało się w kopalni, jeżeli gotowały jakieś zasadzki, Nella musiała o tem wiedzieć, a nie chciała mówić. Najlżejsze wspomnienie co do przeszłości dziewczęcia, wywoływało ataki nerwowe i trzeba było jej dać pokój. Z czasem i ta tajemnica zostanie wyjaśnioną.

We dwa tygodnie po przybyciu na folwark, Nella stała się pomocnicą inteligentną i gorliwą starej Magdaleny. Widocznie zdawało jej się rzeczą zupełnie naturalną, że miała na zawsze pozostać w tym domu, gdzie ją tak litościwie przyjęto, a może nawet nie wyobrażała już sobie innego życia.

Rodzina Fordów jej wystarczała, a z chwilą, gdy Nella weszła do ich domu, Szymonowie uważali ją za przybraną córkę.

Dziecko to było rzeczywiście urocze.

Nowe jej życie upiękniło ją. Były to zapewne pierwsze chwile szczęśliwe, jakie miała. Czowała niezmierną wdzięczność dla tych, którym je była winna. Magdalena powzięła dla niej sympatyę prawdziwie macierzyńską. Stary nadsztygar obejść się bez niej nie mógł.

Wszyscy ją kochali.

Jakób Ryan jednej tylko rzeczy żałował, mianowicie, że jej sam nie wyratował. Często przychodził do folwarku Fordów, śpiewał, a Nella, która nigdy śpiewu nie słyszała, znajdowała to nadzwyczaj pięknem; łatwo jednak było poznać, że dziewczę ponad pieśni Jakóba, przekładało poważne rozmowy z Henrykiem, który po trochu nauczył ją tego, czego nie wiedziała jeszcze o rzeczach ze świata zewnętrznego.

Trzeba przyznać, że wiara Jakóba w chochliki została bardzo zachwiana z chwilą, gdy się przekonał, że Nella nie jest nadziemską istotą.

We dwa miesiące później, wiara ta nowego doznała ciosu.

W istocie, w tymże czasie Henryk zrobił niespodziewane odkrycie, które tłumaczyło po części zjawianie się dam ognistych na zamku Dundonald, w Irvine.

Pewnego dnia po długich poszukiwaniach, w części południowej kopalni, Henryk z trudnością przebył ciemną galeryę, wykutą między skałami pokładowemi.

Nagle zdumiał, znalazłszy się na świeżem powietrzu.

Galerya powyższa, wychodząca prawie pionowo do góry, dochodziła właśnie do ruin zamku Dundonald. A zatem istniała komunikacja sekretna pomiędzy Nową Aberfoyle, a pagórkiem, na którym się stary zamek wznosił.

Otwór górny tej galeryi nie mógł być odkrytym z zewnątrz, ponieważ go zakrywały zupełnie kamienie i krzaki. To też podczas poszukiwań, urzędnicy magistratu nic znaleźć nie mogli.

W kilka dni potem, James Starr prowadzony przez Henryka, przyszedł sam zbadać naocznie to położenie naturalne pokładu węglowego.

– Teraz mamy czem przekonać zabobonnych górników. Żegnajcie nam wszystkie chochliki, ogniki i damy ogniste!

– Nie wiem, panie Starr – rzekł na to Henryk – czy możemy sobie tego odkrycia powinszować. Ich zastępcy nie wiele warcą, a mogą być gorsi od nich.

– W istocie mój Henryku – odparł inżynier – ale cóż robić? Prawdopodobnie istoty ukrywające się w kopalni, komunikują się z powierzchnią ziemi przez tę galeryę. One to niezawodnie przyciągnęły okręt » Motala« z pochodnią w ręku w tę noc burzliwą i jak dawniejsi piraci, rozkradliby jego szczątki, gdyby Jakób Ryan i jego towarzysze nie byli się tam znaleźli! Cokolwiekby jednak by było, teraz pojmuje wszystko. Oto jest otwór jaskini! Ci zaś, którzy ją zamieszkiwali, czyż znajdują się tu jeszcze?

– Niezawodnie, ponieważ Nella drży, gdy o tem mowa – odrzekł Henryk z przekonaniem. – A nie chce, czy nie śmie dotąd wspominać o tem.

Henryk mógł mieć słuszność. Jeżeli tajemniczy mieszkańcy opuścili kopalnię, lub jeżeli pomarli, dlaczegożby Nella z tego jeszcze tajemnicę robiła.

Jednakże James Starr koniecznie chciał dojść prawdy. Przeczował, że losy nowej kopalni od tego zależą.

Przedsięwzięto znowu wszelkie środki ostrożności. Władza została uprzedzona. Ajenci zajęli pokryjomu ruiny zamku Dundonald. Henryk sam ukrywał się przez kilka nocy wśród krzaków pokrywających pagórek. Próżna praca. Nic nie odkryto. Żadna istota żywa nie pojawiła się przy otworze.

Zdecydowano się przeto na jedno, a mianowicie, że złoczyńcy musieli ostatecznie opuścić Nową Aberfoyle, i że Nellę musieli uważać za umarłą w tym szybie, gdzie ją porzucili.

Przed poszukiwaniami, kopalnia mogła im służyć za schronienie bezpieczne, ukryte przed okiem ludzkim.

Ale odtąd okoliczności się zmieniły. Schronienie stawało się niebezpiecznym. Można się więc było spodziewać, że na przyszłość nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

James Starr jednakże uspokojonym nie był. Henryk również mawiał często do siebie:

– Nella musiała być wmieszaną w tę całą sprawę. Gdyby się już nie miała czego obawiać, dlaczegożby milczała? Ani wątpić, że się czuje u nas szczęśliwą. Kocha nas wszystkich! Ubóstwia moją matkę! Jeżeli milczy o swej przeszłości, o tem coby nas mogło uspokoić na przyszłość, to dlatego, że jakaś straszna tajemnica na niej ciąży, a sumienie zabrania jej ją wyjawić. Może też milczy, sądząc, że to jest w naszym interesie nic nie wiedzieć.

Ze względu na te wszystkie wnioski, zdecydował się nic nie mówić z dziewczyną o jej przeszłości.

Pewnego dnia jednak Henryk w rozmowie z Nellą, dał jej do zrozumienia, że są przekonani, iż jej zawdzięczają ocalenie, James Starr, ojciec, matka i on sam.

Był to dzień świąteczny.

Świętowano tak na powierzchni gruntu w hrabstwie Stirling, jak i w jego podziemiach.

W różnych miejscach słyhać było śpiewy, odbijające się echem doniosłem o sklepienia Nowej Aberfoyle.

Henryk i Nella wyszli z domu i szli w milczeniu po lewym brzegu jeziora Malcolm. Tam to blask elektryczności mniej się jaskrawym wydawał, a snopy światła łamały się o kąty jakiejś malowniczej skały, która podtrzymywała sklepienie. Ten półcień lepiej się nadawał do oczów Nelli, która się z trudnością przyzwyczajała do światła.

Po dobrej godzinie drogi, Henryk i jego towarzyszka przybyli na taras, który wystawał ponad wody jeziora, naprzeciw kaplicy świętego Idziego.

– Oczy twoje Nello nie przywykły jeszcze do światła i nie mogłabyś znieść blasku słonecznego.

– Bezwątpienia – odparło dziewczę – jeżeli słońce takie jest jasne, jak mi opisałeś.

– Nello – odrzekł Henryk – mową nie mógłbym nigdy określić i dać ci prawdziwego obrazu jego piękności, ani też cudów tego świata, którego twoje oczy nigdy nie oglądały. Ale powiedz mi też, czy to jest możliwe, abyś od chwili urodzenia, z tej czarnej kopalni, nigdy nie wyszła ponad powierzchnię ziemi?

– Nigdy Henryku – odrzekła Nella – i nie sądzę, aby mnie kiedy matka i ojciec wynieśli tam, gdy byłam małą. Byłabym niezawodnie zachowała jakieś wspomnienie o świecie zewnętrznym.

– I ja tak myślę rzekł Henryk. – Zresztą w tym czasie wiele osób nie wychodziło nigdy z podziemia. Komunikacja ze światem zewnętrznym była bardzo utrudniona i ja sam znałem niejednego chłopca, niejedną dziewczynę, którzy w twoim wieku nie wiedzieli nic o rzeczach, których i ty nie znasz. Po upływie kilku minut kolej żelazna wielkiego tunelu przewiezie nas na powierzchnię hrabstwa. To też droga Nello, chciałbym już raz usłyszeć od ciebie te słowa: – chodźmy Henryku, oczy moje mogą już znosić światło dzienne, a ja pragnę widzieć słońce! Pragnę poznać dzieło Boże!

– Powiem ci to niezapamiętam Henryku – odrzekła dziewczę – pójdę podziwiać z tobą ten świat nieznany, a jednak...

– Co chcesz powiedzieć, Nello? – zapytał żywo Henryk – czyżbyś żałowała tych podziemi, w których przeżyłaś pierwsze lata swego życia i skądśmy cię wydobyli prawie nieżywą?

– Nie, Henryku – odparła Nella. – Myślę tylko, że i ciemności są piękne. Żebyś wiedział, ile cudnych rzeczy w nich widza moje oczy do nocy przywykłe! Są na przykład cienie, które się przesuwały i za którymi chciałoby się płynąć do nieskończoności! Czasami znów koła jakieś wiążą się ze sobą i nie chce się z nich wychodzić! W głębi kopalni istnieją czeluście czarne, pełne światła niewyraźnych. A potem te głosy, które się rozlegają, które wyraźnie słychać, tylko rozróżnić nie można! Widzisz Henryku, trzeba tam żyć, ażeby zrozumieć, co ja czuję, a czego wyrazić nie mogę!

– I nie bałaś się, Nello, gdyś tam sama była?

– Henryku – odrzekła dziewczę ze drżeniem – właśnie gdy sama byłam, to się nigdy nie bałam.

Głos Nelli lekko zadrżał, gdy te słowa wymawiała, pomimo to Henryk chciał ją jeszcze badać i rzekł:

– Ale można było zabłądzić w tych galeryach, Nello. Czyż się tego nie bałaś?

– Nie, Henryku, znałam oddawna wszystkie zakątki nowej kopalni!

– Czyś nigdy z niej nie wychodziła?

– Tak... czasami – odrzekła dziewczę, ociągając się trochę – czasami przychodziłam do dawnej kopalni Aberfoyle.

– Musiałaś więc znać stary folwark?

– Folwark... tak... ale tylko z daleka tych, co go zamieszkiwali!

– To był mój ojciec i moja matka – odrzekł Henryk – to ja byłem! Nigdyśmy nie chcieli opuścić naszego domostwa!

– Możeby to lepiej dla was było! – szepnęła dziewczę.

– Dlaczegoż, Nello? Czyż to nie nasz upór zdołał odkryć nowy pokład? A

to odkrycie, czyż nie było korzystne dla całej ludności, która przez pracę znalazła dobrobyt dla ciebie zresztą Nello, która przywrócona do życia, znalazła serca kochające!

– Dla mnie! – odparła żywo Nella... Tak! bądź co bądź! Dla drugich... kto wie?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic, nic! Ale niebezpieczną było rzeczą wchodzić wtenczas do nowej kopalni! O tak, Henryku! bardzo było niebezpiecznie! Pewnego dnia jacyś nieopatrzeni ludzie weszli do tych podziemi, zaszli daleko, daleko, i... zabłądzili...

– Zabłądzili? – powtórzył Henryk, patrząc na Nellę.

– Tak, zabłądzili – mówiła Nella drżącym głosem. – Lampka ich zagasta! Nie mogli odnaleźć drogi...

I – zawołał Henryk – zostali uwięzieni przez całe osiem dni. Nello, o mało nie umarli. I gdyby nie istota litościwa, którą im Bóg przysłał, jak anioła swego, która ich tajnie karmiła chlebem i wodą, gdyby nie tajemniczy przewodnik, który przyprowadził wybawicieli, nie byłiby nigdy wyszli z tego grobu.

– Skąd ty wiesz o tem? – zapytało dziewczę.

– Nello, temi ludźmi nieszczęśliwie uwięzionymi był James Starr... byli moi rodzice... byłem ja nareszcie!

Nella podniosła głowę, schwyciła rękę młodego człowieka i spojrzała na niego tak dziwnie, że się uczuł wzruszonym do głębi duszy.

– Ty! – wyjąkała nareszcie.

– Tak! – odrzekł Henryk po chwili milczenia – a tą, której winniśmy życie, to ty byłaś Nello! Tak, ty jedna tylko mogłaś nią być!

Nella spuściła głowę na piersi i zakryła twarz obu rękoma.

Nigdy jeszcze Henryk nie widział jej tak zmienionej.

– Ci, którzy cię uratowali, Nello – dodał wzruszonym głosem – winni ci byli ocalenie, czy sądzisz, że ci to kiedy zapomną?

Rozdział XVI

Na drabinie wahadłowej.

Eksploatacja Nowej Aberfoyle prowadzona była z wielką korzyścią dla towarzystwa. Naturalnie, że inżynier James Starr i Szymon Ford, pierwsi, którzy odkryli te bogate pokłady węglowe – brali udział w tych korzyściach. Henryk mógł więc uchodzić za dobrą partyę. Ale ani myślał opuszczać folwarku. Zastąpił ojca swego w czynnościach nadsztygara i dozorował pilnie cały ten świat górników.

Jakób Ryan był dumnym i szczęśliwym z powodzenia swego towarzysza. I on także sumiennie spełniał swe obowiązki. Widywali się często tak w domu

Fordów, jak i przy robotach w kopalni. Jakób dobrze zauważył, że Henryk żywił szczere uczucie w sercu dla Nelly, Henryk nie przyznawał się do tego, ale Jakób śmiał mu się w oczy, gdy ten wstrząsał przecząco głową.

Jedno z najgorętszych życzeń Jakóba było towarzyszyć Nelly, gdy po raz pierwszy wyjdzie na powierzchnię hrabstwa. Chciał widzieć zdziwienie, podziw wobec natury, zupełnie jej jeszcze nieznaną. Miał nadzieję, że Henryk go zabierze z sobą na tę wyprawę. Dotąd jednak nie zaproponował mu tego i to go trochę martwiło.

Pewnego dnia Jakób schodził przez jeden z tych szybów, które łączyły niższe piętra kopalni z powierzchnią gruntu. Zajął był miejsce na jednej z tych drabin, które podnosząc się i spuszczać sposobem wahadłowym, ułatwiają schodzenie i wchodzenie bez żadnego zmęczenia. Już dwadzieścia razy wahadło się poruszyło i zniżyło przyrząd o sto pięćdziesiąt stóp do głębi, gdy na wązkim przystanku, gdzie się zatrzymał, spotkał się z Henrykiem, który wznosił się w górę.

– Czy to ty? – spytał Jakób, patrząc na towarzysza oświetlonego blaskiem lamp elektrycznych w szybie.

– Ja sam, mój Jakóbie – odpowiedział Henryk – i cieszę się, że cię spotykam. Mam interes do ciebie...

– Nic nie słucham, dopóki mi nie powiesz jak się miewa Nella! – rzekł Jakób.

– Nella ma się dobrze, tak dobrze, że za miesiąc lub sześć tygodni mam nadzieję...

– Ją poślubić?

– Co też ty wygadujesz, Jakóbie?

– No cóż wielkiego? Jeżeli nie chcesz, to już wiem co zrobię.

– Cóż zrobisz?

– Ożenię się z nią, jeżeli ty nie chcesz – odrzekł Jakób, śmiejąc się na całe gardło. – Przysięgam na świętego Mungo! Nella jest śliczną dziewczyną i podoba mi się. Poczciwe i młodziutkie stworzenie, które nigdy nie opuściło kopalni, prawdziwa żona dla górnika. Jest sierotą tak, jak ja, i jeżeli tylko ty o niej nie myślisz, a ona mnie będzie chciała...

Henryk patrzył badawczo na Jakóba. Dał mu się wygadać, nie przerywając wcale.

– Czy to, co mówię nie budzi w tobie zazdrości, Henryku? – zapytał Jakób tonem poważnym.

– Nie, Jakóbie – odrzekł spokojnie Henryk.

– Bo przecież, jeżeli się z Nellą nie ożenisz, nie możesz mieć pretensyi, żeby została starą panną?

– Nie mam żadnej pretensyi – odpowiedział Henryk.

Nowe poruszenie wahadła dało znak dwom przyjacielowi do rozłączenia się, jeden miał schodzić, drugi wchodzić do góry. Jednakże nie rozeszli się jeszcze.

– Henryku – rzekł Jakób – czy myślisz, że mówiłem seryo o poślubieniu Nelly?

– Nie, Jakóbie – odpowiedział Henryk.

- No to teraz będę mówił poważnie.
- Ty? cóż znowu, nigdy tego nie potrafisz!
- Ale może potrafię dać dobrą radę przyjacielowi.
- Proszę cię o nią, Jakóbie.
- A więc, ty kochasz Nellę, z całej duszy tak, jak na to zasługuje. Twój stary ojciec, twoja matka, kochają ją jak własne dziecko. Cóż łatwiejszego, jak im ją dać naprawdę za córkę! Dlaczegoż się z nią nie żenisz?
- Mój Jakóbie – odrzekł Henryk – czyś ty pewien uczuć Nelly, że tak o niej mówisz?
- Nikt o nich nie wątpi, nawet i ty jesteś ich pewien Henryku, dlatego nie jesteś zazdrosny ani o mnie, ani o innych. Ale otóż drabina się porusza, muszę schodzić i...
- Czekaj, Jakóbie – odrzekł Henryk, wstrzymując towarzysza, który już jedną nogą zeszedł na ruchomą drabinę.
- Henryku! bój się Boga – zawołał Jakób ze śmiechem – czy chcesz mnie rozćwiartować!
- Słuchaj uważnie Jakóbie – rzekł Henryk – bo ja zupełnie serio mówię.
- Słucham więc do następnego poruszenia, ale nie dłużej!
- Jakóbie – rzekł Henryk – nie taję się z tem, że kocham Nellę. Pragnę się z nią ożenić.
- A więc?
- Ale takiej, jaką jest dzisiaj, nie mógłbym zaślubić.
- Co to znaczy Henryku?
- To znaczy, że Nella nigdy nie wyszła z tych podziemi, gdzie się prawdopodobnie urodziła. Nie wie i nie zna nic po za kopalnią. Wszystkiego się musi uczyć oczami, a może i sercem. Kto wie, jakie będą jej myśli, gdy ją nowe opanują wrażenia! Niema w niej jeszcze nic ziemskiego i zdaje mi się, że byłoby nikczemnem zmuszać ją do jakiegokolwiek postanowienia, zanim pozna inne życie niż w kopalni. Pojmujesz mnie Jakóbie?
- Pojmuję... niezupełnie... ale zdaje mi się, że i na to poruszenie wahadłowe drabiny będę musiał pozostać głuchym.
- Jakóbie – rzekł Henryk poważnie – chociażby te przyrządy miały przestać istnieć, gdyby nawet ten przystanek pod naszymi nogami miał się zapaść – wysłuchać mnie musisz.
- Brawo Henryku! Tak to lubię, gdy do mnie mówisz. A więc, zanim Nellę poślubisz, oddasz ją do jakiego pensjonatu w »Starej Wędzarni«?
- Nie, Jakóbie, potrafię sam poprowadzić edukację mojej przyszłej żony.
- Tem lepiej będzie dla niej.
- Ale pierwej jeszcze – odrzekł Henryk – chciałbym, żeby Nella poznała prawdziwe życie zewnętrzne. Powiedz mi Jakóbie, co byś zrobił, gdybyś kochał dziewczynę niewidomą i gdyby ci kto powiedział: za miesiąc będzie uleczoną. Nie przeczekałbyś tego miesiąca?
- Tak, niezawodnie! – odrzekł Jakób.
- A więc Nella jest jeszcze niewidomą i zanim zostanie moją żoną, chcę,

żeby wiedziała, że ponad wszystko w świecie wybiera mnie i przyjmuje życie moje. Chcę, żeby jej oczy roztwały się i poznały światło dzienne.

– Dobrze Henryku, bardzo dobrze! Rozumiem cię teraz. A kiedyż odbędzie się operacja?...

– Za miesiąc Jakóbie – odrzekł Henryk. – Oczy Nelli przyzwyczajają się po trochu do światła elektrycznego. To dopiero przygotowanie. Za miesiąc mam nadzieję, że zobaczy ziemię i jej cuda, niebo i jego bogactwa. Będzie wiedziała, że natura dała wzrokowi ludzkiemu szersze trochę widnokreśli niż w ciemnej kopalni! Zobaczy nieskończoność granic wszechświata!

Podczas, gdy Henryk tak się zapalał, Jakób, opuściwszy przystanek wskoczył na pierwszy szczebel ruchomej drabiny.

– Gdzież ty jesteś Jakóbie – zawołał Henryk.

– Już pod tobą mój przyjacielu – odparł wesoło chłopiec. – Ty się wznosisz do góry, ja zapadam w otchłań!

– Bądź zdrow Jakóbie – odrzekł Henryk, czepiając się sam drabiany, idącej w górę. – Proszę cię nie mów nikomu o tem, com ci powiedział.

– Dobrze! ale pod jednym warunkiem.

– Pod jakim?

– Przrzecz mi, że mnie zabierzecie z sobą, gdy Nella poraz pierwszy wyruszy na powierzchnię ziemi!

– Przrzekam ci – odpowiedział Henryk.

Nowe poruszenie przyrzędu uczyniło przedział jeszcze większy między dwoma przyjaciółmi. Głosy ich dochodziły coraz słabiej jeden do drugiego.

A jednak Henryk usłyszał jeszcze słowa Jakóba:

– Gdy zaś Nella ujrzy gwiazdy, księżyc i słońce, czy wiesz co po nad to wszystko będzie wołała?

– Nie wiem Jakóbie!

– Ciebie mój przyjacielu, ciebie zawsze, i wszędzie!

I głos Jakóba zamilkł zupełnie w ostatnim okrzyku: hurra!

Henryk poświęcał każdą wolną godzinę na kształcenie Nelly. Nauczył ją już czytać i pisać, a młode dziewczę było pojętne i czyniło nadzwyczajne postępy.

Nigdy może jeszcze inteligencja nie odniosła tak szybkiego zwycięstwa nad zupełną ciemnotą. Nella budziła zachwyt wszystkich, którzy ją znali.

Szymon i Magdalena czuli codziennie większą sympatyę do przybranego dziecka, a jednak przeszłość Nelly niepokoiła ich ciągle. Poznali oni naturę uczuć Henryka dla niej i nie byli temu przeciwni.

Czytelnicy przypominają sobie, że za pierwszą wizytą inżyniera, stary nadsztygar mu powiedział:

– Dla Henryka trudno znaleźć żonę. Jakaż istota tam w górze zdecydowałaby się zostać żona chłopca, którego życie musi upłynąć w głębiach kopalni!

Czyż więc nie Opatrzność zsyła mu tej jedynej towarzyszkę, któraby się dostroiła do niego? Czyż to nie oczywista łaska niebios?

To też stary nadsztygar postanowił, że gdyby to małżeństwo przyszło do skutku, wyprawi w Coal-City zabawę weselną, która będzie stanowić epokę w życiu górników Nowej Aberfoyle.

Szymon Ford ani przypuszczał, że życzenia jego się ziszczą.

Trzeba dodać, że ktoś drugi pragnął niemniej gorąco połączenia Nelly z Henrykiem. Był to inżynier James Starr.

W istocie pragnął nadewszystko szczęścia dwojga młodych ludzi, ale była też inna jeszcze przyczyna.

Jak wiemy, James Starr zachowywał w głębi serca pewne obawy, chociaż obecnie nic ich nie usprawiedliwiało. Myślał, że to co kiedyś było, mogło się jeszcze powtórzyć.

Tajemnicę nowej kopalni Nella widocznie знаła i nie chciała jej wyjawic. Otóż gdyby przyszłość, miała chować nowe niebezpieczeństwo dla górników Aberfoyle, jakże się przed niem ustrzedz, jeżeli się nie znało przyczyny.

– Nella nie chce mówić – powtarzał często James Starr – ale to, co kryje dotąd przed innymi, tego nie zdoła ukryć długo przed mężem. Niebezpieczeństwo, grożące nam, groziłoby i Henrykowi. Otóż związek, który ma zapewnić szczęście młodej parze, a spokój ich przyjaciółom, jest dobrem małżeństwem, lub ja się na tem nie znam.

W ten sposób dowodził bardzo logicznie inżynier James Starr. Dzielił się tem zapatrywaniem ze starym Szymonem, który je w zupełności pochwalał.

Nic nie stało zatem na przeszkodzie młodym ludziom do pobrania się.

Któżby zresztą śmiał przeszkadzać.

Henryk i Nella kochali się. Starzy rodzice nie marzyli o innej towarzysze dla swego syna. Towarzysze Henryka zazdrościli mu szczęścia, przyznając wszakże, że mu się ono należy, Nella zależała od siebie i pytała jedynie swego serca.

Jeżeli jednak nikt nie mógł stawiać przeszkód temu małżeństwu, dlaczegóż w chwili spoczynku, gdy lampy elektryczne gasły, gdy noc zapanowała zupełna nad osadą roboczą, gdy mieszkańcy Coal-City pozamykali za sobą drzwi swoich domów, dla czegóż wtedy wysuwała się z najciemniejszych kątów Nowej Aberfoyle postać tajemnicza, która błędziła w pomroku? Jakiż instynkt wiódł tę istotę przez niektóre galerye tak wązkie, że się mogły wydawać niemożliwe do przejścia? Dlaczegóż ta postać zagadkowa, której oczy widziały w najzupełniejszej ciemności, prześlizgiwała się, czołgając aż do samego brzegu jeziora Malcolm? Dlaczego tak uporczywie krążyła koło domostwa Szymona Ford, a równocześnie tak ostrożnie, że wszelką czujność zmylić mogła? Dlaczego podsłuchiwała pod oknami i starała się pochwycić rozmowy po przez okiennice domu?

A gdy zdołała usłyszeć niektóre wyrazy, zaciskała pięść i groziła temu domowi, a z ust jej wychodziły słowa:

– Ona i on! Nigdy!

Rozdział XVII

Wschód słońca.

Po upływie miesiąca, wieczorem 20-go sierpnia, Szymon i Magdalena żegnali, życząc szczęśliwej drogi, czterem turystom, opuszczającym folwark.

James Starr, Henryk i Jakób Ryan wyprowadzali Nellę na powierzchnię gruntu, gdzie jej noga dotąd nigdy nie stała, pod niebo słoneczne, którego światła jeszcze jej oczy nie oglądały.

Wyprawa miała potrwać dwa dni.

James Starr po naradzie z Henrykiem chciał, żeby młode dziewczę widziało przez te czterdzieści osiem godzin wszystko, czego w ciemnej kopalni nigdy ujrzeć nie mogło. A więc rozmaite widoki jak w ruchomej panoramie: miasta, doliny, góry, rzeki, jeziora, zatoki i morza.

Otóż w tej części Szkocji, pomiędzy Edynburgiem a Glasgowem, zdawałoby się, że natura chciała właśnie zebrać wszystkie te cuda ziemskie, a co do niebios, były one tak, jak i wszędzie pokryte obłokami ruchomymi, oświetlone w dzień słońcem, w nocy księżycem czystym lub zakapturzonym i rojem iskrzących gwiazd.

Wyprawa zatem tak ułożoną została, ażeby wszystkie warunki powyższego programu mogły być wykonane.

Szymon Ford i Magdalena byliby bardzo chętnie towarzyszyli Henrykowi i Nelly, ale znając ich niechęć do opuszczenia folwarku, można się było z góry domyślić, że się w końcu nie zdecydują na wyjście, choćby parogodzinne z podziemi kopalni.

James Starr udawał się z nimi w charakterze obserwatora, filozofa, ciekawego sprawdzić pod względem psychologicznym, jakie wrażenie naiwna Nella wyniesie z tych oględzin świata.

Henryk trochę zaniepokojony, zapytywał siebie, czy mu się Nella nie odmieni przy pierwszej styczności ze światem zewnętrznym.

Co do Jakóba, ten był wesół jak szczygieł, który wylatuje z gniazda, ogrzanego pierwszymi promieniami słońca.

Miał nadzieję, że jego wesołość udzieli się łatwo towarzyszom podróży. Chciał im w ten sposób odwdziżyć się za to, że go z sobą zabierają.

Nella była milczącą i zamyśloną.

James Starr zdecydował bardzo słusznie, że wyjadą wieczorem.

Trzeba było bowiem, by dziewczę przeszło stopniowo z ciemności nocy do światła dziennego. Można to było osiągnąć w ten sposób jedynie, przypatrując się od północy do południa wszystkim kolejnym zmianom cieni i światła, do których jej wzrok miał po trochu przywyknąć.

W chwili opuszczania folwarku, Nella, ująwszy Henryka za rękę, zapytała:

– Henryku, czyż to konieczne, żebym wychodziła z naszej kopalni, choćby na parę dni?

– Tak jest, Nello – odrzekł młody człowiek – konieczne dla ciebie i dla mnie.

– Jednakże Henryku – mówiła Nella – odkąd mnie wyniosłeś z podziemi, jestem szczęśliwą nad wszelki wyraz. Tyś mnie oświecił. Czyż to nie wystarcza? Co ja tam w górze robić będę?

Henryk popatrzył na nią w milczeniu. Myśli które wypowiedziała, były prawie te same, co jego.

– Moje dziecko – rzekł wtedy James Starr – rozumiem twoje wahanie, ale skorzystasz, gdy z nami pójdziesz. Idziesz z tymi, którzy cię kochają i którzy cię tu napowrót przywiodą. Jeżeli zechcesz potem żyć w kopalni, jak stary Szymon, jak Magdalena, jak Henryk, uczynisz to. Ale przynajmniej będziesz wiedziała, czego się wyrzekasz, pozostając nadal w kopalni. Chodź zatem z nami.

– Chodź, kochana Nello – rzekł Henryk.

– Henryku, jestem gotowa iść z tobą – odrzekło dziewczę.

O dziewiątej godzinie, ostatni pociąg wyjeżdżał z tunelu, uwożąc Nellę i jej towarzyszy. We dwadzieścia minut potem wysiadali na dworcu, gdzie się łączyła odnoga kolei, idącej do Nowej Aberfoyle z linią główną Dumbarton-Stirling.

Ciemniało.

Sinawe obłoki zasnuwały horyzont, parte podmuchem północno-zachodnim, odświeżającym powietrze. Dzień był piękny, i noc obiecywała być pogodną.

Przybywszy do Stirling, Nella i jej towarzysze wysiedli z pociągu i opuścili dworzec.

Przed nimi, wśród drzew wysokich, rozciągała się droga, prowadząca do brzegów Forthu.

Pierwsze wrażenie, jakie otrzymała Nella, było uczucie świeżości powietrza, które jej płuca wciągały chciwie.

– Odetchnij głęboko Nello – rzekł James Starr – oddychaj tem powietrzem, przesiąkniętem ożywczymi zapachami wioski!

– Skąd te wielkie kłęby dymów płyną nad naszymi głowami? – zapytała Nella.

– To są obłoki i chmury – odpowiedział Henryk – inaczej mówiąc, pary zgęszczone, które wiatr popycha na zachód.

– Ach! – rzekła Nella – chciałabym tak lecieć z niemi w tej ciszy nocnej! – A te punkciki błyszczące, które świecą po przez chmury?

– To gwiazdy, o których ci już mówiłem Nello. Ile tych gwiazd, tyle słońc, tyle światów, podobnych może do naszego.

Konstelacje zarysowały się wyraźniej na ciemnym tle firmamentu, który wiatr oczyszczał powoli.

Nella patrzyła ciekawie na te miliony gwiazd świecących, które się nad jej głową roily.

– Jeżeli to są słońca – mówiła – jakżeż oczy moje mogą znieść ich blask?

– Moje dziecko – rzekł James Starr – są to słońca istotnie, ale słońca te wirują w niezmiernym od nas oddaleniu. Najbardziej zbliżoną z tych tysiąca tysięcy gwiazd które na nas patrzą, jest jedna z gwiazd Liry, Wega, którą tam widzisz prawie u zenitu, a i ona jest o pięćdziesiąt tysięcy miliardów mil od nas odległą. Blask jej przeto nie może razić oczów twoich. Ale nasze słońce wstanie jutro rano o trzydzieści osiem milionów mil tylko od nas dalekie, a żadne oko ludzkie spojrzeć nań nie może, gdyż razi ono silniej od żaru płomieni. Ale chodźmy dalej.

Puszczono się w drogę.

James Starr trzymał Nellę za rękę. Henryk szedł u jej boku. Jakób chodził tu i tam, jak pies wierny, niecierpliwący się z powolnej podróży pana swego.

Droga była pustą.

Nella patrzyła na sylwetę wielkich drzew, któremi wiatr w cieniu kołysał. Wzięłaby je chętnie za olbrzymów, machających rękami. Szum wiatru w ciszy nocnej, brzęk owadów, woń ziół nadbrzeżnych, wszystko to napawało ją wrażeniami nowymi, nie mającemi się nigdy zatrzeć. Nella zadająca z początku pytania, teraz milczała, a towarzysze jej, nieprzerywali tego milczenia.

Nie chcieli oni wywierać wpływu na wrażliwą wyobraźnię dziewczęcia.

O godzinie w pół do dwunastej doszli do wybrzeża północnego zatoki Forth.

Tam czekała na nich łódka, zamówiona wcześniej przez Jamesa Starr. Miała ona ich dowieść w kilka godzin do portu edynburskiego.

Nella ujrzała wodę przejrzystą, która podpływała jej pod nogi siłą przyływu. Miliony gwiazd błyszczących odbijało się w niej.

– Czy to jezioro? – spytała.

– Nie – odrzekł Henryk – to wielka zatoka o bieżącej wodzie, to ujście rzeki i odnoga morska. Weź trochę tej wody na dłoń twoją Nello. Zobaczysz, że nie jest tak słodką, jak w jeziorze Malcolm.

Nella schyliła się, umaczała rękę i poniosła ją do ust.

– To woda słona – rzekła.

– Tak – odparł Henryk – morze przyływa i dochodzi aż dotąd. Trzy części naszej kuli ziemskiej pokryte są tą słoną wodą, której skosztowałeś.

– A jeżeli woda rzeczna jest tą samą morską, zamienioną w chmury i spływającą z deszczem na ziemię, dla czegoż nie jest słoną? – zapytało dziewczę.

– Bo sól z niej wyparowała – odrzekł inżynier. – Chmury się utworzyły z tych par wodnych i pod postacią deszczu spływają napowrót do morza.

– Henryku, Henryku! – zawołała Nella – patrz, tam jakieś światło czerwone oświeca widnokrąg! Czy to las się pali?

I wskazywała punkt na niebie wśród mgły rozjaśnionej na wschodzie.

– Nie, Nello – odpowiedział Henryk. – To księżyc wschodzi.

– Tak jest! – zawołał Jakób. – Księżyc, przepyszna taca srebrna, którą geniusze niebios obracają na firmamencie i na którą spływa cała powódź

gwiazdzistej monety.

– Ho, ho! Jakóbie – zawołał inżynier – nie wiedziałem o tym talencie twoim. Pyszne robisz porównania!

– A może nie trafne, panie Starr? Patrzcie państwo, jak gwiazdy gasną przy blasku wschodzącego księżyca. Mówię więc, że spadają na tacę!

– Tak jest – rzekł inżynier – blask księżyca gasi jasność gwiazd szóstego rzędu i dlatego nikną one po jego drodze.

– Jakież to piękne! – powtarzała Nella, która pochłaniała wszystko wzrokiem. – Ale zdawało mi się, że księżyc powinien być okrągły.

– Jest okrągły w pełni – odpowiedział James Starr – czyli, gdy stoi na przeciwnej stronie od słońca. Ale dzisiaj, księżyc wchodzi w ostatnią swoją kwadrę i już mu brak kawałka; zamiast srebrnej tacy Jakóba, mamy raczej miseczkę do golenia.

– Pfe! panie Starr, jakże niegodne porównanie. Chciałem właśnie zaintonować kilka śpiewek na cześć księżyca:

Gwiazdo nocy, która w sercach Koisz...

Ale nie! Teraz to niepodobna! Niepoetyczna miseczka przerwała mi natchnienie!

Księżyc tymczasem wznosił się coraz wyżej na horyzoncie. Ostatnie pary wodne znikły z jego przybyciem. U zenitu i na zachodzie, gwiazdy błyszcząły na tle czarnem, które od blasku księżyca pobladło. Nella podziwiała w milczeniu ten cudowny widok, oczy jej znosiły z łatwością łagodne światło srebrzyste, ale ręka jej, drżąc w dłoni Henryka, dowodziła wzruszenia.

– Wsiadajmy do łódki przyjaciele – rzekł James Starr – musimy stanąć u szczytu Arthur-Seat, przed wschodem słońca.

Łódka była przymocowana do słupa nadbrzeżnego. Marynarz jej pilnował. Nella wsiadła do niej z towarzyszami swymi. Rozpięto żagiel, który wzdał się pod wiatrem północno-zachodnim.

Jakiegoż nowego wrażenia doznało wtedy dziewczę! Płynęła już dawniej na jeziorach Nowej Aberfoyle, ale tutaj po raz pierwszy, Nella czuła się uniesioną, ślizgając się tak lekko po wodzie, jakby balonem po powietrzu. Zatoka była gładką jak jezioro. Nella oparła się plecami o brzeg łódki i dawała się unosić spokojnym falom wody. Czasami promień księżyca uderzał o powierzchnię fali, a łódź zdawała się płynąć po srebrnej oponie, wyszywanej złotem. Fale, rozbijając się lekko po brzegach szemrały wzdłuż drogi. Było to czarujące!

Oczy Nelly przymknęły się bezwiednie. Rodzaj odrętwienia uczuła na chwilę. Głowa jej zwiśla na piersiach Henryka i dziewczę zasnęło spokojnie.

Henryk chciał ją zbudzić, by nie straciła nic z tych piękności nocy.

– Daj jej pokój mój chłopcze – rzekł inżynier, niech się wyśpi. Dwie godziny spoczynku przygotowują ją lepiej do wrażeń, jakie ma otrzymać we dnie.

O drugiej po północy łódka przybiła do przystani Granton. Nella zbudziła się skoro tylko uderzono o ląd stały.

– Spałam? – zapytała.

– Nie, moje dziecko – odrzekł James Starr. – Tylko ci się śniło, żeś spała.

Noc była bardzo jasna. Księżyc na połowie drogi od widnokręgu do zenitu

roztaczał swe promienie na wszystkie strony nieba.

Mały port Granton zawierał zaledwie dwie czy trzy łodzie rybackie, poruszane lekko falami zatoki. Wiatr ustawał przed nadejściem dnia. Powietrze, oczyszczone z mgły, zapowiadało jeden z tych cudownych dni sierpniowych, które bliskość morza jeszcze piękniejszemi czyni. Dziewczę mogło teraz podziwiać widok morza, łączącego się z niebem u samego widnokręgu. Wzrok ginąc się zdawał w przestworzu, ale jej oczy nie odczuwały tego dziwnego wrażenia, które daje ocean, gdy światło przedłuża jego granice do nieskończoności.

Henryk ujął Nellę za rękę i poszli poprzedzeni przez Jamesa Starr i Jakóba Ryan przez puste ulice miasta. To przedmieście stolicy, to nagromadzenie posępnych domów, przypominało Nelly Coal-City, z tą tylko różnicą, że tu sklepienie było wyższe i błyszczało promiennymi gwiazdami. Szła lekkim krokiem, a Henryk nie potrzebował zwalniać swego, żeby jej nie zmęczyć.

– Nie czujesz utrudzenia? – zapytał jej po półgodzinnym pochodzie.

– Nie – odrzekła. – Nogi moje zdają się nie dotykać ziemi. To niebo tak mi się wydaje wysoko umieszczone w górze, że mam chęć wzlecenia, jakbym skrzydła miała.

– Wstrzymajże ją Henryku! – zawołał Jakób Ryan. – Cóż byśmy robili bez naszej małej Nelly! I ja to samo czuję, ile razy przez czas dłuższy nie wychodzę z kopalni.

– To dlatego – rzekł James Starr, – że odczuwamy ciśnienie sklepienia łupkowego, które nakrywa Coal-City! Zdaje nam się potem, że firmament jest głęboką otchłanią, w którą bierze chęć się rzucić. Czyż nie to samo odczuwasz Nello?

– W istocie, panie Starr – odrzekła dziewczę. – Zdaje mi się, że dostaję zawrotu głowy.

– Przyzwyczaisz się do tego Nello – rzekł Henryk. – Przyzwyczaisz się do ogromu świata zewnętrznego i wtedy może zapomnisz o naszej posępnej kopalni!

– Nigdy, Henryku – zawołała Nella.

I zakryła oczy rękoma, jakby chciała odświeżyć w pamięci wspomnienie tego wszystkiego co opuściła.

Wśród domów, uśpionego miasta, James Star i jego towarzysze przeszli Leith-Walk. Obeszli Calton-Hill, gdzie się wśród zmroku wznosiły gmachy obserwatorium i pomnik Nelsona. Poszli ulicą Regenta, przebyli most i zboczywszy nieco z drogi, doszli do końca ulicy Canongate.

W mieście nie było widać jeszcze najmniejszego ruchu. Druga wybiła na dzwonnicy gotyckiej kościoła Canongate-Church W tym miejscu Nella się zatrzymała.

– Cóż to za zbita masa? – zapytała, wskazując na gmach, wznoszący się w głębi małego placu.

– Ta masa Nello – odrzekł James Starr – to pałac władców szkockich, Holyrood, gdzie tyle zaszło smutnych wypadków! Tam to historyk mógłby wskrzesić nie jeden cień królewski, od nieszczęśliwej Maryi Stuart aż do starego króla Francji Karola X. A jednak, pomimo tych grobowych

wspomnień, gdy dzień nadejdzie, gmach ten nie będzie ci się takim smutnym wydawał. Holyrood, ze swemi czterema wieżami ozdobnemi, podobny raczej do jakiegoś pałacyku, któremu właściciel umyślnie chciał pozostawić dziwną feodalną cechę. Ale idźmy dalej. Tam, w tym obrębie dawniejszego opactwa Holyrood, wznoszą się te przepyszne skały z Salisbury, nad którymi przoduje Arthur-Seat. Tam wejdziemy. Z tego wierzchołka, Nello, ujrzysz słońce ponad widnokręgiem morza.

Weszli do parku królewskiego. Następnie stopniowo wstępowali na drogę Wiktoryi, przepyszny bulwar dostępny dla powozów, a który Walter Scott opisał w jednej ze swoich powieści.

Arthur-Seat jest co prawda tylko pagórkiem wysokim na siedemset pięćdziesiąt stóp, a którego wierzchołek wznosi się ponad otaczające wzgórza. W pół godziny niespełna, idąc ścieżką wężykowatą, która ułatwia drogę, James Starr i jego towarzysze dotarli do czaszki tego lwa, do którego jest podobny Arthur-Seat, gdy się nań patrzy od strony zachodniej.

Tam wszyscy zasiedli, a James Starr, mając pamięć przepelnioną wyjątkami z dzieł wielkiego powieściopisarza szkockiego, wypowiedział te słowa:

– Oto co Walter Scott napisał w ósmym rozdziale »Więzienia edynburskiego«.

»Gdybym miał dane do wyboru miejsce, z któregooby można podziwiać wschód i zachód słońca, wybrałbym ten właśnie pagórek«.

Czekajże Nello. Słońce ukaże się za chwilę i będziesz je mogła podziwiać w całej okazałości po raz pierwszy w życiu.

Oczy dziewczęcia zwróciły się na wschód. Henryk, siedząc przy niej, badał ją z niepokojem. Czyż nie będą dla niej za silne pierwsze promienie słońca? Wszyscy czekali w milczeniu. Nawet Jakób Ryan zamilkł.

Już mała linia biała, z odcieniem różowawym, zarysowała się nad widnokręgiem, na tle lekkiej mgły. Reszta oparów nagromadzonych w zenicie, została uderzona pierwszym promieniem światła. U stóp Arthur-Seat, w głębokiej ciszy nocnej, Edynburg jeszcze drzemiący ukazywał się w półcieniu. Kilka świateł, gdzieniegdzie rozrzuconych, przerywało ciemności. Były to lampy ranne, które najwcześniej wstający zapalali w starym mieście. W tyle, na zachodzie, horyzont przecięty kapryśnemi sylwetami, ukazywał okolicę, ubarwioną w gór szczyty, a na każdy z nich słońce nakładało ognisty piuropusz.

Linia, łącząca morze z niebem, zarysowywała się wyraźniej na wschodzie. Gama barw układała się podług porządku, jaki nadaje krąg słoneczny. Czerwone zabarwienie obłoków na wschodzie, przechodziło w kolor fioletowy u zenitu. Co sekundę paleta nabierała mocy: kolor różowy przechodził w czerwony, czerwony w ognisty.

W tej chwili wzrok Nelly biegał od stóp pagórka do miasta, którego pojedyncze części zaczynały się wyraźnie odcinać.

Wysokie pomniki, ostre dzwonnice wybiegały tu i ówdzie, a ich linie rysowały się z profilu z najwyższą dokładnością. Rodzaj światła popielatego rozpląnął się w przestrzeni. Wreszcie pierwszy promień uderzył oko dziewczęcia. Był to promień zielony, który wieczorem i rankiem powstaje z morza, gdy niebo jest czyste.

W pół minuty potem Nella wyprostowała się i wskazując ręką na punkt dominujący, część nowego miasta:

– Pożar tam! – zawołała.

– Nie, Nello – odrzekł Henryk – to nie pożar. To pierwsza złota powłoka, którą słońce kładzie codziennie na szczyt pomnika Waltera Scotta.

W istocie, najwyższy szczyt dzwonnicy wysokiej na dwieście stóp, błyszczał jakby latarnia morska.

Dzień zajaśniał. Słońce wypłynęło. Kula jego zdawała się jeszcze wilgotną, jakby w rzeczy samej wyszła z wód morza.

Z początku szersze z powodu światła, zmniejszyło się po trochu i przybrało formę okrągłą. Blask jego niebawem niepodobny do zniesienia, wydawał się paszczą ognistą, ziejącego z nieba potworu.

Nella musiała zamknąć oczy.

Henryk chciał, by się odwróciła w stronę przeciwną.

– Nie, Henryku – rzekła – trzeba, żeby moje oczy nauczyły się patrzeć na to, na co patrzają twoje.

Poprzez oczy zamknięte, Nella widziała jeszcze blask różowy, który białiał stopniowo, gdy słońce się wznosiło ponad widnokręgiem. Wzrok jej powoli przywykał do tego. Powieki jej podniosły się nareszcie, a oczy napełniły światłem; pobożne dziewczę padło na kolana, wołając:

– Mój Boże, jakież Twój świat jest piękny!

Potem spuściła oczy i patrzała. U jej stóp roztaczała się panorama miasta: części nowe i równo zabudowane nowego miasta, zbiór bezładny domów i dziwna sieć ulic »Starej Wędzarni«. Dwie wysokości panowały nad miastem; zamek przypięty do skały bazaltowej i Calton-Hill, unoszący na swym grzbiecie świeże ruiny pomnika greckiego. Pyszne drogi rozchodziły się promienisto od stolicy na wszystkie strony kraju. Na północy, odnoga morska, zatoka Forth, zachodziła głęboko w ląd, na którego brzegu otwierał się port Leith.

Ponad tem, na trzecim planie, rozwijało się harmonijnie wybrzeże hrabstwa Fife. Droga prosta łączyła z morzem te Ateny północy. Na zachód wydłużały się piękne brzegi Newhaven i Porto-Bello, których piasek zabarwiony żółtawo, odbierał pocałunki pierwszych fal przyływu. W oddali kilka płynących szalup ożywiało zatokę, a dwa czy trzy parowce zakrywały niebo gęstą, czarną chmurą dymu. Dalej jeszcze zieleńiały rozległe pola.

Lekkie pagórki tu i tam wyskakiwały z płaszczyny.

Na północ Lomond-Hills, na zachód Ben-Lomond i Ben-Ledi odbijały promienie słoneczne, jak gdyby wieczne lody pokrywały ich wierzchołki.

Nella nie mogła przemówić. Usta jej poruszały się lekko, jakby wymawiając niezrozumiałe wyrazy. Ręce drżały, dostawała zawrotu głowy. Na chwilę siły ją opuściły. Wśród tego czystego powietrza, wobec tych wzniosłych widoków, uczuła, że mdleje i padła bez zmysłów na ręce Henryka, który stał przy niej.

Dziewczę, którego życie upłynęło dotąd we wnętrzu ziemi, zobaczyło nareszcie to wszystko, co składa wszechświat, jakim go uczynił Stwórca i człowiek. Wzrok jej, ujrawszy miasto i wioski, poleciał daleko po raz pierwszy

ku nieskończoności morza i bezmiarowi nieba.

Rozdział XVIII

Od jeziora Lomond do jeziora Katrine.

Henryk, niosący na rękach Nellę, a za nimi James Starr i Jakób, zeszli z pagórka Arthur-Seat. Po kilkugodzinnym odpoczynku i dobrym śniadaniu w hotelu, postanowiono na zakończenie wyprawy spacer pomiędzy jeziorami.

Nella odzyskała siły w zupełności. Oczy jej mogły już znosić odtąd światło dzienne, a płuca wdychały swobodnie powietrze ożywcze i zdrowe. Zieloność drzew, barwy rozliczne krzewów, błękit niebios, roztaczały przed jej wzrokiem barwną grę kolorów.

Na stacyi kolei żelaznej wsiedli do pociągu, który ich dowiózł do Glasgowa. Tam, z ostatniego mostu rzuconego nad Clyde przyglądali się ciekawemu widokowi marynarki na rzece. Następnie przenocowali w hotelu królewskim.

Nazajutrz ze stacyi »kolei Edynburg-Glasgow« pociąg pospieszny miał ich zawieźć przez Dumbarton i Balloch do części południowej jeziora Lomond.

– Tam jest kraj Rob Roy'a i Fergus Mac Gregor'a – zawołał James Starr – ziemia tak poetycznie opiewana przez Walter-Skotta. Nie znasz tych okolic, Jakóbie?

– Znam tylko z pieśni, panie Starr – odpowiedział Jakób – a skoro kraj może natchnąć tak poetę, musi być cudownym!

– Jest nim rzeczywiście – zawołał inżynier – a nasza droga Nella zachowa o nim jak najlepsze wspomnienie.

– Z takim przewodnikiem jak pan, panie Starr – rzekł Henryk – będzie to korzyść podwójna, gdyż nam opowiesz historię kraju, podczas gdy nań patrzeć będziemy.

– Niezawodnie – odrzekł inżynier – o ile mi tylko pamięć służyć będzie, ale pod jednym warunkiem, iż wesoły Jakób musi mi dopomóc; gdy się zmęcę opowiadaniem, on będzie śpiewał.

– I owszem – odparł Jakób i wyciągnął nutę dźwięczną, jakby chciał gardło nastroić.

Droga z Glasgowa do Balloch, pomiędzy metropolią handlową Szkocji a południowym brzegiem jeziora Lomond, wynosi zaledwie mil dwadzieścia.

Pociąg przeszedł przez Dumbarton, miasteczko królewskie i stolicę hrabstwa, którego zamek, zawsze obwarowany, stosownie do traktatu Unii, rzucony jest malowniczo na dwóch szczytach wielkiej skały bazaltowej.

Dumbarton leży przy połączeniu rzek Clyde i Leven. W tem miejscu James Starr opowiedział kilka szczegółów z historii Maryi Stuart. W istocie z tego to miasteczka wyjechała, żeby poślubić Franciszka II i zostać królową Francji. Po roku 1815 ministerjum angielskie chciało tam zamknąć

Napoleona; ale wybrano ostatecznie wyspę Św. Heleny i dlatego więzień angielski poszedł umierać na skale Atlantyku.

Pociąg niezadługo stanął w Balloch.

Statek »Sinclair« czekał na turystów, którzy zwiedzają jezioro. Nella i jej towarzysze wsiedli nań, wzięwszy bilety do Inversnaid, na północnej części jeziora Lomond.

Dzień był piękny, słoneczny, a mgły brytańskie, zalegające zwykle jezioro, znikły zupełnie. Ani jeden szczegół tego krajobrazu, który przez trzydzieści mil blisko roztaczał się przed oczyma widza, nie mógł ujść uwagi naszych podróżnych. Nella, siedząc pomiędzy Jamesem Starr a Henrykiem, połączyła zmysły cudną poezją, której dostarcza obficie ta piękna natura Szkocji.

Jakób Ryan chodził po pokładzie »Sinclair«, zadając ustawicznie pytania inżynierowi, który chętnie odpowiadał, unosząc się nad tym pięknym krajem Rob Roy'a.

Na początku jeziora Lomond, ujrzano najpierw mnóstwo małych wysp i wysepek, jakby rozsianych w tym miejscu. »Sinclair« krążył pomiędzy nimi tak blisko brzegów, że dostrzedz można było z łatwością na tych wysepkach rozkoszną dolinę, lub wąwóz dziki, pomiędzy ostremi skałami.

– Nello – rzekł James Starr – czy wiesz, że każda z tych wysepek ma swoją legendę, a czasami i pieśni tak, jak i góry, otaczające jezioro. Można by powiedzieć bez przesady, że historia tej okolicy wypisaną jest olbrzymimi literami z wysp i gór złożonemi.

– Czy wie pan, panie Starr – rzekł Henryk – co mi przypomina ta część jeziora Lomond?

– Cóż takiego Henryku?

– »Tysiące wysp jeziora Ontario«, tak pięknie opisane przez Coopera. Musisz być uderzona tem podobieństwem na równi ze mną Nello, gdyż kilka dni temu czytałem ci tę powieść, którą słusznie uważają za arcydzieło amerykańskiego pisarza.

– W istocie Henryku odrzekło dziewczę – ten widok jest podobny, a statek »Sinclair« prześlizguje się pomiędzy wyspami tak, jak na jeziorze Ontario barka Jaspera.

– To dowodzi – mówił dalej inżynier – że obie miejscowości zasługiwały zarówno, żeby je opisali poeci. Nie znam tych tysiąca wysp jeziora Ontario, ale wątpię, aby ich widok był bardziej urozmaiconym od archipelagu jeziora Lomond. Spójrzcie na ten krajobraz! Oto wyspa Murray ze starym zamkiem Lennox, gdzie mieszkała stara księżna Albany, po śmierci swego męża i swych dwóch synów, ściętych z rozkazu Jakóba I-go. Oto wyspa Clar, wyspa Cro, wyspa Torr, jedne skaliste, dzikie, bez śladu roślinności, inne ukazują się nam zielone i żyzne; rosną na nich modrzewie i brzozy, tam znowu istnieją łąki wrzosów pożółkłych i zeschłych. W istocie! trudno mi uwierzyć, żeby tysiące wysp jeziora Ontario przedstawiały taką różnorodność widoków.

– Cóż to za mały port? – zapytała Nella, która się zwróciła do wschodniego wybrzeża jeziora.

– To Balmaha, która tworzy wstęp do kraju górzystego, Highland – odrzekł James Starr. – Tam się zaczynają nasze góry szkockie. Ruiny, które widzisz Nello, były dawniej klasztorem dla kobiet, a te rozrzucone grobowce,

to szczątki licznych członków rodziny Mac Gregorów, których imię słynie jeszcze w całej okolicy.

– Słynne przez krew, którą ta rodzina rozlała – zauważył Henryk.

– Masz słuszność – rzekł James Starr – trzeba przyznać, że sława, zdobyta na polu bitew, jest jeszcze najgłośniejszą.

Daleko w historii sięgają te opisy bitew...

– I uwieczniają je pieśni – dodał Jakób Ryan.

A na poparcie tego zanucił pierwszą zwrotkę starej pieśni wojennej, która opowiadała czyny Aleksandra Mac Gregor'a, przeciwko sir Humphry Colquhoun z Luss.

Nella słuchała, ale te opisy bitew wywierały na niej smutne wrażenie. Pocóż tyle rozlewu krwi na tych dolinach, które dziewczę znajdowało tak obszerne, a gdzie miejsca nie brakłoby dla nikogo?

Brzegi jeziora, liczące trzy do czterech mil, zwężały się przy zbliżaniu do małego portu Luss. Nella ujrzała na chwilę starą wieżę dawnego zamku. Następnie statek »Sinclair« zwrócił się na północ, a oczom turystów ukazał się Ben Lomond, szczyt, wznoszący się na trzy tysiące stóp ponad poziomem jeziora.

– Cóż za wspaniała góra! – zawołała Nella – a jaki piękny widok musi być z jej szczytu!

– W istocie, Nello – odrzekł James Starr. – Spójrz na ten szczyt i zobacz, jak się odślania dumnie z poza gąszczu dębów, brzoź, modrzewi i buków, które pokrywają niższą część góry! Stamtąd widać dwie trzecie starej naszej Kaledonii. Tutaj to klan Mac Gregor'a obrał sobie rezydencję, na wschodniej części jeziora.

Niedaleko stąd kłótnie jakobitów i hanowerzystów zalewały nieraz krwią te wąwozy opuszczone. Tam, wśród pięknych nocy, powstaje ten błady księżyc, którego opowieści dawne zowią »latarnią Mac Farlane'a«. Tam to echa powtarzają jeszcze imiona niezapomniane Rob Roy'a i Mac Gregora Campbell'a!

Ben Lomond, ostatni szczyt łańcucha Grampian zasługuje istotnie na opis wielkiego szkockiego pisarza. Jak słusznie zauważył James Starr, istnieją wyższe góry, których szczyty pokrywają śniegi wieczyste, ale nigdzie może, w żadnym zakątku świata, nie są tak poetycznymi.

Statek »Sinclair« przybijał tymczasem do wioski Tarbet na przeciwnej stronie jeziora, gdzie wysadził podróżnych, udających się do Inverary. W tym miejscu Ben Lomond jaśniał w całej okazałości. Boki jego poprzeżynane łożyskami strumieni, lśniły się na słońcu jakby z żywego srebra.

W miarę, gdy »Sinclair« płynął u stóp góry, kraj stawał się coraz bardziej jałowym. Zaledwie gdzieniegdzie porozrzucane drzewa, między niemi wierzby, których pręty służyły dawniej do wieszania ludzi niskiego pochodzenia.

Jezioro dalej zwężało się, wydłużając ku północy. Góry równoległe ścisnęły je coraz bardziej. Statek parowy przepłynął jeszcze koło kilku wysepek, Invernglos, Eilad-Whou, gdzie widniały szczątki twierdzy, należące do Mac-Farlanów. Wreszcie, oba brzegi się zwały i »Sinclair« zatrzymał się przy stacji Inverslaid.

Stąd, po ukończonym śniadaniu, trzeba było się udać do jeziora Katrine. Kilka powozów z herbami rodziny Breadalbane, tej samej, która dostarczała dawniej drzewo i wodę wygnanemu Rob Roy – stało gotowych do przyjęcia podróżnych. Henryk usadowił Nellę na wierzchniej galerii, stosownie do obecnej mody. Towarzysze wraz z nim zajęli miejsca obok niej. Woźnica w czerwonej liberyi wziął w lewą rękę lejce i powóz ruszył pod górę, ponad samem łożyskiem strumienia.

Droga była nadzwyczaj spadzista. W miarę wstępowania po niej, zarysy szczytów, otaczających ją zmieniały się w oczach. Cały łańcuch gór po przeciwnej stronie jeziora, zdawał się wzrastać, a szczyty Arroquhar wychodziły ponad dolinę Invernglas. Po lewej stronie widniał Ben Lomond, który w ten sposób okrywał nagły spadek swego boku północnego.

Kraj, znajdujący się pomiędzy jeziorem Lomond, a jeziorem Katrine, przedstawiał widok dziki. Dolina rozpoczynała się wązkimi wąwozami, które się kończyły przy granicy Aberfoyle. Nazwa ta przypomniała dziewczęciu te pieczary straszliwe, na dnie których ubiegło jej dzieciństwo. To też James Starr pospieszył ją rozerwać nowemi opowieściami. Okolica się zresztą nadawała ku temu. Nad brzegami małego jeziora Ard wydarzyły się główne wypadki z życia Rób Roy'a. Tam to wznosiły się skały wapienne, o wyglądzie ponurym, pomieszane z kamieniami, które przez czas i powietrze stwardniały na cement. Nędzne chaty w rodzaju tych, które zowią »bourrochsami« spoczywały wśród owczarni porujnowanych. Nie można było orzec, czy je zamieszkiwały istoty ludzkie, czy dzikie zwierzęta. Kilkoro dzieci, o włosach wypłowiałych pod gołem niebem, patrzyło na powozy, wytrzeszczając wielkie oczy.

– Otóż to właśnie kraina, którą można nazwać specjalnie ojczyzną Rób Roy'a. Tutaj to dzielny Nichol Jarvie, godny syn swego ojca, został schwytany przez żołnierzy hrabiego Lennox. W tem to właśnie miejscu został uwieszony za połę swych spodni, zrobionych na szczęście z dobrego sukna szkockiego, nie zaś z lekkiego kamlociku francuskiego. Niedaleko źródeł Forth'u, zasilanych strumieniami Ben Lomonda, widać jeszcze przejście, które przeskoczył nasz bohater, uciekając przed żołnierzami księcia Montrose. Ach gdyby był znał wówczas nasze głębokie schronienia w kopalni, dopiero by się śmiał z wszelkich poszukiwań.

– Jak widzicie, moi przyjaciele, i kroku zrobić nie można w krainie cudownej pod tyłu względami, żeby nie spotkać się z temi wspomnieniami przeszłości, które natchnęły Walter-Scotta, gdy opisywał cudnemi wierszami wezwanie do broni klanu Mac Gregora.

– Wszystko to dobrze, panie Starr – wtrącił Jakób Ryan – ale jeżeli to prawda, że Nichol Jarvie został powieszony na części swoich spodni, to cóż się stanie z naszym przysłowiem, które mówi: »Mądrym ten będzie, który znajdzie kiedy spodnie u Szkota«?

– Mój Jakóbie, masz rację – odparł, śmiejąc się James Starr – to poprostu dowodzi, że nasz Nichol Jarvie nie był tego dnia ubrany podług mody swych przodków.

– W tem zawinił, panie Starr!

– Nie przeczę temu, Jakóbie!

Powóz tymczasem, dotarłszy do szczytu dzikich wybrzeży strumienia, spuszczał się teraz w dolinę bez drzew, bez wody, pokrytą jedynie chudą

roślinnością. W kilku miejscach stopy kamieni wznosiły się w kształcie piramid.

– Są to grobowce – rzekł James Starr.

Każdy przechodzień obowiązany był dorzucić kamień, przechodząc koło grobowca spoczywającego bohatera. Stąd powstała dawna przypowieść gaelicka: »Biada temu, który przechodzi koło grobowca, nie złożony kamienia w ostatnim pozdrowieniu«. Gdyby synowie byli zachowali dotąd wiarę swych ojców, stopy kamieni byłyby się zamieniły w pagórki. W istocie, w tej krainie wszystko się składa na rozwój naturalnej poezji, wrodzonej sercu górali. Wyobraźnia jest nieustannie podniecona przez te cuda, i gdyby Grecy zamieszkiwali płaszczyzny, nigdy by nie wymyślili starożytnej mitologii.

Wśród tej i wielu innych rozmów, powóz się toczył po wąskiej dolinie, która się nadawała do popisów gimnastycznych lub choreograficznych ogników i chochlików wielkiej wroźki Meg Merillies. Po lewej stronie pozostawiono małe jezioro Arklet i ukazała się droga, o stoku prostopadłym, która prowadziła do oberży Stronachlakar, nad brzegiem jeziora Katrine. Tam, przed małą przystanią wyłożoną drzewem, kołysał się umocowany parowiec, który nosił nazwę Rob-Roy'a. Podróźni nasi zaraz się na nim umieścili, bo miał odbijać od brzegu.

Jezioro Katrine ciągnie się zaledwie na dziesięć mil długości, a szerokość jego nie przechodzi dwóch mil. Pierwsze pagórki wybrzeża są nacechowane charakterem odrębnym.

– Otóż mamy jezioro – rzekł James Starr – które słusznie porównano do długiego węgorza! Twierdzą, że nigdy nie marznie. Nic o tem nie wiem, ale nie trzeba zapominać, że służyło za widownię, w której ukazywały się damy jeziora. Jestem pewien, że gdyby nasz Jakób przypatrzył się dobrze, ujrzałby niezawodnie na jego powierzchni lekki cień pięknej Heleny Douglas.

– Z pewnością, panie Starr – odparł Jakób Ryan – i dlaczegóżbym go nie miał widzieć. Dlaczegóżby ta piękna kobieta nie była taksamo widoczną na wodach jeziora Katrine, jak chochliki kopalni na wodach jeziora Malcolm?

W tej chwili dźwięki dudy góralskiej dały się słyszeć w tyle statku Rob-Roy.

Siedział tam góral szkocki w narodowym kostyumie i wygrywał na swej » bagpipe« o trzech fujarkach, z których najgrubsza brzmiała G. druga H. a najmniejsza była oktawą pierwszej. Palcami zaś przebiegał po ośmiu otworach, odpowiadających gamie G. major, w której F. było naturalne.

Przegrywka górala była śpiewną, łagodną i naiwną.

W istocie, można twierdzić, że te melodie narodowe nie zostały skomponowane przez nikogo, że są zbiorem naturalnym podmuchu wiatru, szmeru wód, szelestu liści. Forma przegrywki, powtarzająca się regularnie, była dziwną. Składała się z trzech taktów na dwa tempa i z jednego taktu o trzech tempach, zakończonym na tempie słabem. Na przekór wszelkim pieśniom dawniejszej epoki, był trzymany cały śpiew w tonie majorowym i można go było napisać jak następuje w tym języku cyfrowym, który daje nam nie dźwięki, ale przestanki międzydźwiękowe.

5 / 1.2 / 35 25 1.765 22. 22

l. 2 i 35 25 1.765 11. 11

Najwięcej był zadowolonym wtedy Jakób Ryan. Znał ten śpiew jezior szkockich. To też podczas gdy góral przygrywał na dudzie, Jakób swym pięknym głosem zaśpiewał hymn poświęcony legendom poetyckim starej Kaledonii.

Była godzina trzecia po południu. Brzegi zachodnie jeziora Katrine, mniej urozmaicone, oddzielały się podwójnym rzędem Ben Anu i Ben Venue. O pół mili stamtąd rysowała się wązka przystań, kędy Rob Roy miał wysadzić swoich pasażerów, udających się do Stirling przez Callander.

Nella zdawała się być wyczerpaną tem ciągłym natężeniem uwagi. Jedno tylko słowo powtarzała: Mój Boże! Mój Boże! za każdym razem, gdy nowy przedmiot zachwyty przedstawiał się jej oczom. Potrzeba jej było kilku godzin spoczynku chociażby na ustalenie w pamięci tych cudów.

Henryk w tej chwili ujął rękę dziewczyny. Spojrzał na nią wzruszony i rzekł:

– Nello, kochana moja Nello, niebawem wrócimy do naszej ciemnej siedziby! Czy nie będziesz żałowała tego, co widziałaś przez te kilka godzin, spędzonych pod światłem słonecznym?

– Nie, Henryku – rzekła dziewczę. – Rozkoszą będą dla mnie te wspomnienia, ale z radością powrócę z tobą do naszej kochanej kopalni.

– Nello – zapytał wtedy Henryk, który usiłował zapanować nad wzruszeniem swoim – Nello, czy chcesz, żeby węzeł święty połączył nas przed Bogiem i przed ludźmi? Czy przyjmiesz mnie za męża?

– Tak, Henryku – odrzekła Nella, patrząc nań swymi czystymi oczyma – chcę tego, jeżeli wierzysz, że ci wystarczę w życiu...

Nella jeszcze nie dokończyła zdania, które zawierało całą przyszłość Henryka, gdy nastąpiło niewytłómaczone zjawisko.

Rob Roy, znajdujący się jeszcze o pół mili od brzegu doznał mocnego wstrząśnienia. Przód jego uderzył o dno jeziora, a maszyna, pomimo wysiłków, wyciągnąć go zeń nie mogła.

Powodem wypadku było to, że w części wschodniej jezioro Katrine osuszyło się nagle i jakby ogromna szpara otworzyła się w jego łóżysku. W kilka sekund wyschło tak, jak wybrzeże morskie po wielkim odpływie morza.

Cała prawie zawartość tej części jeziora wyciekła do głębin ziemi.

– Przyjaciele moi – zawołał James Starr, jakby przyczyna tego zjawiska objawiła mu się nagle – niech Bóg zachowa Nową Aberfoyle!

Rozdział XIX

Ostatnia groźba.

Tego dnia w Nowej Aberfoyle roboty szły zwykłym regularnym trybem. Słysząc było z daleka huk naboju dynamitowych, którymi rozsadzano

pokłady węgla. Tutaj znów uderzenia oskardów i obcęgów, któremi węgiel drobiono i wyciągano, tam zgrzyt świrdrów, któremi dziurawiono ściany gliny i łupku. Na wszystkie strony przeciągłe podziemne odgłosy. Powietrze wdychane przez maszyny gwizdało poprzez galerye wentylacyjne. Drzwi drewniane zamykały się gwałtownie pod nagłym parciem powietrza. W tunelach niższych, pociągi wagonikowe, poruszane mechanicznie, posuwały się z szybkością piętnastu mil na godzinę, a dzwonki automatyczne uprzedzały robotników o usuwaniu się z drogi. Klatki wznosiły się i opadały bez przerwy, obracane przez ogromne koła maszyn, umieszczonych na powierzchni gruntu. Lampy elektryczne, rozżarzone mocno, oświetlały żywo całe Coal-City.

Eksploatacja prowadzona była z wielkim ożywieniem. Żyły węgla kruszyły się do wagoników, te znowu setkami wypróżniały się w beczki, umieszczone na dnie szybów ekstrakcyjnych. Podczas gdy część robotników odpoczywała po robotach nocnych, inni pracowali, nie tracąc ani chwili czasu.

Szymon Ford i Magdalena, po skończonym obiedzie, usiedli na podwórzu, przed swoim domem. Stary sztygar odpoczywał, jak zwykle, paląc fajkę naładowaną doskonałym tytunem francuskim. Skoro małżonkowie rozmawiali ze sobą, to zaraz albo o Nelli, albo o Henryku, o Jamesie Starr i ich wyprawie na powierzchnię ziemi. Gdzież teraz byli? Co robili w tej chwili właśnie? Dlaczego tak długo pozostawali po za obrębem kopalni? Czy im nie tęskno było do niej?

Nagle szalony huk dał się słyszeć i odgłos spadającej wody, jakby ogromny wodospad wpadał do kopalni.

Szymon i Magdalena powstali na równe nogi.

W tej samej chwili wody jeziora Malcolm podniosły się w górę prostopadle, jak ściana ostrosłupu, który zalał całe wybrzeże i rozbił się o mury domu Fordów.

Szymon Ford, uchwycił za rękę Magdalenę i pociągał ją szybko na pierwsze piętro mieszkania.

Równocześnie krzyki rozległy się ze wszystkich stron Coal-City, zagrożonego nagłą powodzią.

Mieszkańcy szukali schronienia aż na wysokości skał łupkowych, które tworzyły wybrzeże jeziora.

Trwoga była straszna. Niektóre rodziny górników, na pół mdlejąc ze strachu, rzuciły się do tunelu, chcąc się dostać do górnych pięter. Obawiano się, czy woda nie wdarła się do kopalni, której galerye sięgały aż pod kanał Północny. Cała kopalnia, Bóg wie jak obszerna nawet, zostałaby zupełnie zatopioną. Ani jeden z mieszkańców Nowej Aberfoyle nie byłby uszedł śmierci.

W chwili jednak, gdy pierwsi uciekający powchodzili do tunelu, znaleźli się naprzeciw Szymona Ford'a, który przed nimi wybiegł z mieszkania.

– Stójcie, stójcie, moi przyjaciele! – krzyknął na nich stary nadsztygar. Gdyby nasza osada miała być pochłoniętą, zalew by prędzej nastąpił, niżbyście uciec mogli i niktby przed nim nie uszedł! Ale wody już się nie wznoszą. Niebezpieczeństwo minęło.

– A nasi towarzysze, którzy pracują w głębi? – zawołało kilku górników.

– I o nich niema się czego obawiać. Eksploatacja się odbywa o piętro wyżej od łożyska jeziora.

Fakty niebawem potwierdziły słowa starego nadsztygara.

Zalew wody nastąpił nagle, ale umiejscowił się na niższym piętrze olbrzymiej kopalni, i nie wywołał innych następstw, prócz podniesienia na kilka stóp poziomu jeziora Malcolm. Coal-City przeto nie zostało zniszczone i można się było spodziewać, że zalew w najniższych piętrach kopalni nie pochłonał żadnej ofiary.

Przyczyny powodzi nie mogli dojść ani Szymon Ford, ani jego towarzysze; czy jakiś zbiornik wewnętrzny przepłynął przez szpary pokładowe, czy też jakaś woda z zewnątrz wpadła niespodzianie, rozbijając swoje łożysko aż do ostatnich pięter kopalni? Nikt zaś nie wątpił, że był to poprostu wypadek taki, jakie się często zdarzają w kopalniach węgla.

Ale wieczorem tego samego dnia wiedziano już czego się trzymać. Dzienniki hrabstwa podawały opis dziwnego zjawiska, którego widownią było jezioro Katrine.

Nella, Henryk, James Stan i Jakób Ryan, którzy spiesznie powrócili do kopalni, potwierdzili te wiadomości i dowiedzieli się z wielkim zadowoleniem, że wypadek spowodował tylko niewielkie materialne straty w Nowej Aberfoyle.

Łożysko zatem jeziora Katrine zapadło się nagle. Wody jego spłynęły szeroką szparą aż do kopalni. Damy jeziora, ulubione przez powieściopisarza szkockiego, nie miałyby tam gdzie pięknych swych nóżek zamaczać, przynajmniej w całej części południowej. Staw na kilka akrów rozciągłości, oto wszystko, co pozostało w miejscu, gdzie łożysko było niżej położone od części zapadłej.

Wypadek ten wywołał rozgłos niesłychany; po raz pierwszy zapewne jezioro w ciągu kilku minut pozbawione zostało wody; obecnie można je było wykreślić z mapy Królestwa Zjednoczonego, dopóki go na nowo nie napełnią sztucznie. Walter Scott byłby niezawodnie na ten widok w rozpacz, gdyby jeszcze był przy życiu.

Wogóle wypadek nie został wytłómaczony i James Starr, Szymon oraz Henryk zapytywali sami siebie, czy nagle zapadnięcie jeziora nie należy przypisać jakiej nowej, niewidzialnej złośliwości. Podejrzenie wkradło się znowuż do ich umysłów. Czyż ten zły geniusz zamierza ponownie rozpocząć swoje wycieczki przeciw pracującym w kopalni?

W kilka dni potem, James Starr rozmawiał o tem na folwarku ze starym nadsztygarem i jego synem.

– Wiecie co, Szymonie – rzekł do nich – mam jakieś przeczucie, że ten wypadek z jeziorem należy do kategorii zjawisk, których powodu, jak dotąd, napróżno szukamy.

– I ja tak myślę – odpowiedział Szymon. – Ale na miłość Boską, panie James, nie rozgłaszajmy naszych przypuszczeń i działajmy ostrożnie, jeżeli chcemy wykryć prawdę.

– Oh! – zawołał inżynier – wiem z góry, jaki będzie skutek naszych poszukiwań.

– Jakiż to, panie?

– Znajdziemy dowody zbrodni, ale nie znajdziemy winowajcy.

– A jednak on istnieje! – zawołał Szymon Ford. Gdzież się ukrywa? Jeden jedyny człowiek, choćby niewiem jak przewrotny, czyż byłby zdolny do przeprowadzenia idei tak piekielnej, jak spowodowanie zapadnięcia się jeziora? Doprawdy muszę wierzyć chyba jak Jakób Ryan, że to jakiś geniusz kopalni mści się na nas, żeśmy zajęli jego domostwo!

Nella, naturalnie nie była obecna podczas tych rozmów i narad. Całe jej jednak postępowanie, wskazywało zaniepokojenie na równi może z jej przybraną rodziną. Twarz jej nachmurzona nosiła cechy walki wewnętrznej, która nią miotła.

Nareszcie zdecydowano, że James Starr, Szymon i Henryk Ford, powrócą na miejsce wypadku i że spróbują zbadać przyczyny i powody jego. Nikt o tym projekcie nie wiedział.

W kilka dni potem, wszyscy trzej wsiedli w lekką łódkę, którą kierował Henryk i popłynęli dla obejrzenia słupów naturalnych, podtrzymujących tę część kopalni, nad którą się mieściło jezioro Katrine.

Poszukiwania wypadły pomyślnie. Słupy zostały podminowane. Ślady czarne były jeszcze widoczne, gdyż wody się zniżyły wskutek opadania i można było dotrzeć aż do podstawy słupów.

Zawalenie się tej części sklepienia było spowodowane, przez człowieka.

– Niema teraz wątpliwości – rzekł James Starr. – I kto wie, coby się było stało, gdyby zamiast wodom małego jeziora, otworzono przejście wodom morskim.

– Tak! – zawołał stary nadsztygar z pewną dumą – potrzebaby morza do zatopienia naszej Aberfoyle! Ale raz jeszcze zapytuję, jaki interes ma ta istota, ktokolwiek ona jest, w zniszczeniu naszej kopalni?

– To niezrozumiałe – odpowiedział James Starr. – Nie chodzi tu o zwyczajną bandę złoczyńców, którzy z ukrycia swego robili wycieczki w okolice w celu kradzieży i rabunku. Takie przestępstwa byłyby od lat trzech zdradziły złoczyńców. Nie chodzi tu również, jak przypuszczałem dawniej, o przemytników lub fałszerzy monet, którzyby się ukrywali w tych pieczarach podziemnych, a pragnęli nas stąd wykurzyć. Nie przemyca się towarów ani fałszuje pieniędzy dla siebie! A jednak jasnym jest, że nieubłagany nieprzyjaciel poprzysiągł zgubę Nowej Aberfoyle i że ma jakiś interes w zaspokojeniu swej nienawiści. Za słaby jest, by postępował otwarcie, działa więc w ukryciu, ale przebiegłość, jaką okazuje w przestępstwach, czyni z niego istotę dla nas straszną. Czy wiecie przyjaciele, że on lepiej od nas zna wszystkie tajemnice nowej siedziby, że zna lepiej jej kąty i zakątki, skoro tak długo uchodzić może przed naszymi poszukiwaniami! To zręczny złoczyńca, wypróbowany w swem rzemiośle! Ach, ach, czyście nie mieli kiedy jakiegoś osobistego nieprzyjaciela? Nie podejrzewacie nikogo? Poszukajcie dobrze w pamięci. Są czasami nienawiści, które i czas nie jest w stanie przytłumić. Przypomnijcie sobie całe wasze życie. Wszystko, co się tu dzieje, jest dziełem poważnym, które wymaga jak najskrupulatniejszego zbadania.

Szymon Ford przez chwilę nic nie odpowiadał, widocznym było, że rozpatrywał w myśli całe swoje życie.

Nareszcie rzekł: – Nie! Świadczę się Bogiem, ani Magdalena, ani ja, nie uczyniliśmy nic złego nikomu. Nie zdaje mi się, byśmy mogli mieć osobistego

nieprzyjaciela!

– Ach! – zawołał inżynier – gdyby Nella chciała nareszcie przemówić?

– Panie Starr i ty, mój ojciec – rzekł Henryk – błagam was, zachowajmy jeszcze dla nas samych tajemnicę poszukiwań. Nie pytajcie o nic mojej biednej Nelly. Widzę ją już zamyśloną i przybębioną. Nie ulega wątpliwości, że serce jej ukrywa z wysiłkiem jakąś tajemnicę, która ją gnębi; jeżeli milczy, to dla tego, że albo nic niema do powiedzenia, albo nie może jeszcze przemówić. Nie możemy wątpić o jej przywiązaniu do nas wszystkich. Później, jeżeli mi cokolwiek powie o tem, co dotąd kryje, uwiadomię was natychmiast.

– Niech i tak będzie – rzekł inżynier – a jednakże to milczenie Nelly, jeżeli ona cośkolwiek wie, zastanawia mnie bardzo. A widząc, że Henryk chce protestować, dodał:

– Bądź spokojny! Nie powiemy nic tej, która ma zostać twoją żoną.

– I która by już nią była, gdybyś się ty, mój ojciec, na to zgodził.

– Mój synu – rzekł Szymon Ford – od dziś za miesiąc może być wasze wesele. Pan zastąpi ojca Nelly, nieprawdaż panie James?

– Liczcie na mnie Szymonie – odpowiedział inżynier.

James Starr i jego towarzysze powrócili na folwark. Nic nie powiedzieli nikomu o rezultacie poszukiwań swoich i dla wszystkich pracujących w kopalni, wypadek pozostał zwykłym wypadkiem jedynie. Tylko Szkocya liczyła o jedno jezioro mniej.

Nella powoli powróciła do swych zwykłych zajęć. Z tej wycieczki na powierzchni hrabstwa zachowała niezatarte wspomnienie życia zewnętrznego, ale nie żałowała, że powraca do kopalni.

Lubiła tak, jak przedtem tę ciemną siedzibę gdzie się wychowała, wyrosła i gdzie nadal, jako żona Henryka, pozostać miała.

Wiadomość o przyszłym połączeniu Henryka i Nelli narobiła wiele hałasu w Nowej Aberfoyle. Winszowano im zewsząd, a Jakób Ryan przygotowywał nowe pieśni na tę uroczystość, w której cała ludność Coal-City miała brać udział.

Przez miesiąc poprzedzający zaślubiny Henryka z Nellą, w Nowej Aberfoyle zdarzały się coraz częstsze wypadki. Możliwe byłoby twierdzić, że właśnie zamierzone małżeństwo wywoływało ciągłe katastrofy. Wypadki zdarzały się zwłaszcza przy robotach wewnętrznych, a nigdy prawdziwej przyczyny nie odkryto.

Pewnego dnia pożar zniszczył podłogę galeryi niższej i znaleziono lampkę, którą podpalacz pozostawił. Henryk i jego towarzysze z narażeniem życia gasili ogień, grożący całemu pokładowi węgla i dokonali tego przy użyciu wody połączonej z kwasem węglowym, którą na wypadek pożaru przechowywano w kopalni.

Innym znowu razem zapadło się całe ocembrowanie szybu a James Starr stwierdził, że to ocembrowanie musiało być poprzednio nadpiłowane. Henryk, dozorujący robót w tej stronie, o mało nie został zasypany pod gruzami, cudem tylko uniknął śmierci.

W kilka dni potem przy tramwaju o mechanicznym parciu pociąg z wagonikami, na którym Henryk jechał, napotkał jakąś przeszkodę i

wywróconym został. Przekonano się następnie, że belkę położono w poprzek szyn.

Fakty powyższe tak się mnożyły, że wśród górników zapanowała prawdziwa panika. Sama obecność dyrektorów wystarczała podług nich do sprowadzenia nieszczęścia.

– Jakto – powtarzał Szymon Ford – tych złoczyńców musi być cała banda, a my nie możemy schwytać ani jednego.

Rozpoczęto poszukiwania. Policja hrabstwa czynną była dzień i noc, ale nic odkryć nie mogła. James Starr zabronił Henrykowi wydalac się z centrum robót, gdyż wszystkie te zamachy głównie były skierowane przeciw jego osobie.

Zarządzono te same ostrożności względem Nelly, przed którą na prośby Henryka ukrywano jednak wszystkie zbrodnicze zamachy, mogące jej przypominać przeszłość. Szymon Ford i Magdalena czuwali nad nią bezustannie. Biedne dziecko spostrzegło to, ale nie wyrażało zdziwienia ani trwogi. Nella ze swej strony czuwała nad drugimi i uspokajała się dopiero, gdy wszystkich kochanych widziała wkoło siebie. Wieczorem, gdy Henryk powracał, nie mogła się powstrzymać od okrzyku radości, co mało licowało z jej zwykłą skrytą naturą. Po przespanej nocy przyglądała się wszystkim. Niepokój ją ogarniał na nowo z chwilą rozpoczęcia robót.

Henryk pragnął dla jej spokoju, by ślub się już odbył. Zdawało mu się, że wobec tego faktu, złoczyńca musiałby broń złożyć i Nella, byłaby bezpieczną, zostawszy jego żoną. Z równą niecierpliwością James Starr i Szymonowie oczekiwali dnia ślubu. Liczono dni i godziny.

Wszyscy byli pod wrażeniem smutnych przeczuć. Nieprzyjaciela, którego nie wiedzano gdzie ująć i gdzie zwalczyć, musiało obchodzić widocznie wszystko, co się Nelly tyczyło. Akt uroczysty połączenia Henryka z Nellą mógł być powodem nowego zamachu.

Pewnego dnia, na tydzień przed uroczystością weselną. Nella, parta może jakim smutnem przecuciem, wyszła z domostwa, chcąc obejrzeć pobliskie okolice.

Zaledwie jednak próg przestąpiła, wydała okrzyk trwogi.

Krzyk ten usłyszano w całym domu i niebawem przybiegli Magdalena, Szymon i Henryk.

Nella była bladą jak śmierć, twarz miała zmienioną, rysy nacechowane trwogą bezmierną. Nie mogła mówić, oczy jej tylko nieruchomo wpatrzone były we drzwi domu, które przed chwilą otworzyła. Dłoń jej zaciśnięta wskazywała słowa wypisane na nich w nocy i których widok ją przerażał:

»Szymonie Ford, wykradłeś mi ostatnią żyłę z naszych starych kopalni! Henryk, twój syn, wykradł mi Nellę! Biada wam! Biada wszystkim, biada całej Nowej Aberfoyle«.

»Silfax«

– Silfax! – krzyknęli razem Szymonowie.

– Któż to jest? – zapytał Henryk, którego oczy śledziły uważnie wyraz twarzy rodziców i narzeczonej.

– Silfax! – powtórzyła Nella z rozpaczą – Silfax!

I cała jej istota drżała przy wymawianiu tego imienia, aż Magdalena zdjęta

litością zabrała ją z sobą do pokoju.

James Starr przybiegł natychmiast. Odczytawszy kilkakrotnie groźne wyrazy na drzwiach wypisane, powiedział:

– Ta sama ręka pisała do mnie list, odwołujący wasze zaproszenie do starej Aberfoyle. Szymonie, ten człowiek nazywa się Silfaxem. Widzę z waszego niepokoju, że go znacie! Kto to jest ten Silfax?

Rozdział XX

Pokutnik.

To nazwisko tłómaczyło wiele; stary nadsztygar znał je dobrze.

Był to ostatni »pokutnik« sztolni Dochart.

Dawniej, przed wynalezieniem lampki bezpieczeństwa, Szymon Ford znał tego ponurego człowieka, który z narażeniem własnego życia chodził codziennie, szukając nagromadzonego gazu i wywołując częściowe eksplozje. Widywał to dziwaczne stworzenie, czołgające się po kopalni w towarzystwie olbrzymiego harfanga, ptaka w rodzaju potwornego puchacza, który mu pomagał w niebezpiecznym rzemiośle, niosąc knot zapalony pod same sklepienia w te miejsca, gdzie ręka Silfaksa dosięgnąć nie mogła. Pewnego dnia starzec ten zniknął, a razem z nim mała sierotka urodzona w kopalni, której był pradiadem i jedynym opiekunem. Bez wątplenia tym dzieckiem była Nella.

Od lat piętnastu przebywali zapewne oboje w najgłębszych pieczarach kopalni, do dnia, w którym Henryk wyrwał stamtąd Nellę.

Stary nadsztygar przejęty równocześnie gniewem i litością udzielił inżynierowi i Henrykowi wszystkich wiadomości, jakie miał o Silfax'ie.

Sytuacja się wyjaśniła. Silfax był tą istotą tajemniczą, której tak długo poszukiwano w głębiach Nowej Aberfoyle.

– A więc znaleście go, Szymonie? – zapytał inżynier.

– Znałem, znałem – odparł nadsztygar. – Człowiek z harfaniem! Już wówczas był starym. Musiał mieć ze dwadzieścia lat więcej odemnie. Miał coś dzikiego w sobie, z nikim się nie zadawał, nie bał się ani wody ani ognia. Z własnej woli wybrał sobie rzemiosło pokutnika. Niebezpieczeństwo, jakie mu bezustannie groziło, pomieszało mu widocznie zmysły. Mówiono, że jest złym, był waryatem może. Siłę miał nadzwyczajną. Znał kopalnię, jak żaden z nas, lepiej odemnie nawet. Mówiono, że ma pieniądze. Zapomniałem o nim, a raczej sądziłem, że już dawno nie żyje.

– Ale – zapytał James Starr – cóż znaczą te słowa: »Wykradłeś mi ostatnią żyłę węgla z naszych starych kopalni!«

– Otóż to – odrzekł Szymon Ford. – Oddawna mając pomieszane zmysły, uważał kopalnię za swoją własność. W miarę jak węgla ubywało w sztolni Dochart, stawał się coraz bardziej ponurym. Zdawać by się mogło, że mu

wyrywano wnętrzości za każdym uderzeniem oskarda. – Musisz to pamiętać, Magdaleno?

– Pamiętam – odrzekła stara Szkotka.

– Przypomina mi się teraz wszystko odkąd ujrzałem na drzwiach nazwisko Silfaxa; przypuszczałem jednak, że dawno nie żyje i nie mogłem się domyślić, że ten złoczyńca któregośmy tak szukali, był tym samym pokutnikiem ze sztolni Dochart.

– Zaiste – rzekł James Starr – wszystko się teraz wyjaśnia. Przypadek zapewne odkrył Silfaxowi istnienie nowego pokładu. Jako prawdziwy egoista, chciał zachować dla siebie to odkrycie. Żyjąc w kopalni, przebiegając ją dniami i nocą, odkrył wasze zamiary, Szymonie, i dowiedział się, żeście mnie wezwali na folwark. Stąd ten list sprzeczny z waszym pismem, rzucenie kamienia i spalenie drabin do szybu Yarow; następnie zatkanie szpar w ścianie nowego pokładu; dalej nasze uwięzienie, a jeżeliśmy zostali uwolnieni, to dzięki tylko pomocy Nelly, bez wiedzy i woli Silfaxa!

– W istocie, tak być musiało, jak pan mówisz, panie James – odrzekł Szymon Ford. – Stary pokutnik zapewne zupełnie oszalał.

– To lepiej – wtrąciła Magdalena.

– Niewiadomo – rzekł James Starr – bo jego szaleństwo musi być strasznym! Rozumiem, dlaczego biedna Nella nie może myśleć o nim bez trwogi, pojmuję również dlaczego nie chciała wydać swego pradziada. Jakież smutne dni spędzać musiała przy tym starcu.

– W istocie! – odrzekł Szymon Ford – pomiędzy tym dzikim człowiekiem i jego harfangiem, nie mniej dzikim od niego, bo niezawodnie i ten ptak żyje jeszcze. On to musiał zgasić naszą lampkę, z jego przyczyny Henryk i Nella uwieszeni na sznurze podejrzanym, o mało co nie zginęli.

– Rozumiem teraz – rzekła Magdalena – jak go musiała podrażnić wieść o ślubie jego prawnuczki z naszym synem, i to mu do reszty rozum odebrało.

– Połączenie Nelly z synem tego, który jak powiada, wykradł mu ostatnie pokłady węgla z Aberfoyle, musiało go naturalnie mocno zirytować – rzekł Szymon Ford.

– Trzeba jednak będzie, żeby się z tą myślą pogodził – zawołał Henryk. – Chociaż jest przeciwny wszelkim oznakom życia społecznego, to jednak przekonać go łatwo możemy, że obecne życie Nelly więcej warte od dawniejszego, spędzonego w podziemiach kopalni. Jestem pewien, panie Starr, że gdybyśmy go tylko w nasze ręce dostali, potrafilibyśmy go nawrócić!

...

– Niepodobna nawracać szalonych, mój kochany Henryku! – odrzekł inżynier. Lepiej naturalnie znać swego nieprzyjaciela, niż działać po omacku, ale dzisiaj pomimo to, że wiemy, kto on jest, nie wygraliśmy jeszcze sprawy. Miejmy się więc na baczności, przyjaciele moi, i zacznijmy od wybadania Nelly. Henryku, trzeba tego koniecznie. Ona sama zrozumie, że jej milczenie na nicby się już nie zdało. W interesie nawet jej dziada, trzeba, żeby mówiła. Powinniśmy wiedzieć wszystko, chcąc siebie i jego uchronić od zguby.

– Niewątpię, panie Starr – rzekł Henryk – że Nella z własnej woli teraz odpowie na wasze pytania. Wiecie wszyscy, że uważała za powinność swoją nic dotąd nie mówić. Tak samo teraz obowiązkiem jej jest powiedzieć wszystko. Matka moja dobrze zrobiła, odprowadzając ją do jej pokoju.

Potrzebne jej było skupienie ducha, a teraz pójdę po nią.

– To zbyteczne, Henryku – odezwał się u wejścia głos młodej dziewczyny.
Nella weszła do sali blada i wzruszona.

Z oczów jej widać było, że płakała, ale znać było stanowczość w całej jej osobie.

– Nello! – zawołał Henryk, biegnąc ku niej.

– Henryku – odrzekła dziewczę, wstrzymując gestem narzeczonego – ojciec twój, matka i ty sam dowiedcie się dzisiaj wszystkiego. I pan, panie Starr, powinieneś się dowiedzieć szczegółów dotyczących dziecka nieznanego, któreście przyjęli, gdy je Henryk na swoje nieszczęście wydobył z otchłani.

– Nello! – zawołał Henryk.

– Daj jej mówić, Henryku – rzekł inżynier.

– Jestem prawnuczką starego Silfaksa – mówiła dalej Nella. – Nie znałam nigdy matki i poznałam ją dopiero tutaj – dodała zwracając się do Magdaleny.

– Niechaj ten dzień będzie błogosławionym, córko moja! – odrzekła stara Szkotka.

– Nie znałam i ojca, dopókim Szymona Ford nie poznała, nie miałam przyjaciela, dopóki dłoń Henryka mojej nie dotknęła! Samotna żyłam przez lat piętnaście w najgłębszych zakątkach kopalni. Widywałam zaledwie od czasu do czasu tego starca, mego pradziada. Gdy zniknął z Aberfoyle, zamknął się w tych ciemnych pieczarach, które sam jeden znał na świecie. Był wtedy dobrym dla mnie, ale się go zawsze bałam. Żywił mnie tym, co przynosił ze świata; przypominam sobie w moich dziecinnych latach kozę, która mnie żywiła i której stratę opłakiwałam gorzko. Dziad mój, widząc mnie tak zmartwioną, przyniósł mi inne zwierzątko – pieska. Na nieszczęście piesek był wesoły, skakał wkoło mnie i szczekał. Dziadek nie znosił wesołości, nienawidził hałasu. Nauczył mnie milczenia, ale pieska tego nauczyć nie mógł. To też biedne zwierzę znikło nagle bez śladu. Dziadek miał zawsze przy boku okropnego ptaka, harfanga, którego się strasznie bałam; ale ptak ten, pomimo wstrętu ku niemu, tak mnie polubił, że i ja w końcu do niego się przywiązałam. Doszło do tego, że więcej mnie słuchał niż dziadka, o co ten był zazdrosny. Zaczęłam się obawiać o życie harfanga, i ptak, jakby rozumiejąc niebezpieczeństwo, ukrywał przed dziadkiem przywiązanie do mnie!... Ale, za dużo wam mówię o sobie! Chodzi teraz o was...

– Nie, moje dziecko – odrzekł James Starr – mów dalej i opisz rzeczy kolejno.

– Dziadek mój – mówiła Nella – krzywem okiem patrzył zawsze na wasze sąsiedztwo w kopalni. Miejsca przecież nie brakowało, a on jak mógł najbardziej z daleka od was wybierał dla siebie siedzibę. Nie podobało mu się to, że miał was pod bokiem. Skoro się go pytałam o mieszkańców folwarku, chmurniał i nic nie odpowiadał. Zapalał gniewem szalonym, gdy zauważył, że nie poprzestając na folwarku, chcecie zająć i jego pieczary. Poprzysiągł wam śmierć, jeżeli wejdziecie do nowej kopalni, znanej dotąd tylko przez niego! Pomimo podeszłego wieku ma jeszcze olbrzymie siły i groźby te niezmiernie mnie zatrzyły

– Dalej, dalej Nello – rzekł Szymon Ford do dziewczęcia, które się

zatrzymało na chwilę, jakby chciało zebrać myśli.

– Po pierwszej próbie z waszej strony, dziadek widząc, żeście się dostali do galeryi Nowej Aberfoyle, zatkał otwór i zamknął was w więzieniu. Znałam was tylko z widzenia, ale nie mogłam znieść myśli, że chrześcijanie mają umrzeć z głodu w tych pieczarach i pomimo trwogi, jaką mnie dziadek napełniał, udało mi się przynieść wam trochę wody i chleba!... Chciałam wyprowadzić was na zewnątrz, ale trudno było zmylić czujność dziadka. Skazano was na śmierć. Jakób Ryan nadszedł z towarzyszami!... Bóg pozwolił, że ich spotkałam dnia tego. Pociągnęłam ich w waszą stronę. Gdym powracała z tej wyprawy dziadek mnie zobaczył. Myślałam, że mnie zabije. Od tej chwili życie moje stało się męczarnią. Obłąd dziadka wzmógł się jeszcze. Nazywał się królem ciemności i ognia. Gdy słyszał wasze oskardy, uderzające o skały, wpadał we wściekłość i bił mnie z całych sił. Chciałam uciekać. Ale było to niemożliwym, prawie wciąż mnie pilnował. Nareszcie, trzy miesiące temu, w chwili obłądu, wrzucił mnie do tej pieczary, gdzieście mnie znaleźli, i zniknął, wołając napróżno za sobą harfanga, który wiernie przy mnie pozostał. Odkąd tam byłam i jak długo? Niewiem. Przypominam sobie tylko, że mi się czuła bliską śmierci, gdyś ty nadszedł mój drogi Henryku i gdyś mnie wyratował. Widzicie zatem, że prawnuczka starego Silfaksa nie może zostać żoną Henryka, ponieważ tu chodzi o jego życie, o życie was wszystkich.

– Nello! – zawołał Henryk.

– Nie, nie – powtórzyło dziewczę. – Ofiara moja spełniona. Jeden jest tylko sposób, żeby was uchronić od zguby, mianowicie, powrót mój do dziada. On grozi całej Nowej Aberfoyle!... To człowiek nieubłagany, niezdolny przebaczyć i nikt nie może wiedzieć, czym go natchnąć może geniusz zemsty. Byłabym najnędnniejszą z ludzi, gdybym się jeszcze wahała. Bywajcie zdrowi. Dziękuję wam za wszystko. Daliście mi spróbować szczęścia tego świata. Cokolwiek się stanie, pamiętajcie, że serce moje do was należy!

Po tych słowach, Szymon, Magdalena i Henryk zrozpaczeni powstali.

– Jakto Nello! – zawołał – tybyś nas opuścić chciała?

James Starr usunął ich gestem, i idąc prosto ku Nelli, wziął jej obie ręce.

– Moje dziecko – rzekł do niej – powiedziałaś wszystko, coś powinna była powiedzieć, a teraz my ci odpowiemy. Nie puścimy cię od siebie, a jeżeli okaże się potrzeba, zatrzymamy cię przemocą. Czyż nas masz za takich tchórzy, żebyśmy twoją ofiarę przyjąć mogli? Groźby Silfaksa są straszne, nie przeczę, ale człowiek jest tylko człowiekiem i będziemy się strzegli. Czy możesz w interesie Silfaksa samego powiedzieć nam, gdzie się ukrywa, jakie są jego zwyczaje? Chcemy to wiedzieć jedynie dlatego, żeby go uczynić nieszkodliwym, a może nawet przyprowadzić do zdrowych zmysłów.

– Żądacie niepodobieństwa – odrzekła Nella. – Mój dziadek jest wszędzie i nigdzie. Nigdy nie znałam jego kryjówek, nigdy go nie widziałam śpiącego. Skoro znajdował jakieś schronienie, pozostawiał mnie samą i zniknął. Gdym powzięła myśl powrotu, wiedziałam z góry, panie Starr, co mi odpowiecie. Niech mi pan wierzy, że jeden istnieje tylko sposób rozbrojenia mego dziadka, a nim jest powrót mój do niego. Dziadek jest niewidzialnym, ale on widzi wszystko. Pomyślcie tylko, w jaki sposób odkrył wasze najskrytsze zamiary i czyny, począwszy od listu pisanego do pana Starr, aż do projektu małżeństwa

mego z Henrykiem. Dziadek mój, o ile sądzić mogę, nawet w szaleństwie swoim jest człowiekiem wielkiego rozumu. Dawniej nieraz mi opowiadał piękne rzeczy; uczył mnie o Bogu, lecz oszukiwał jednocześnie, mówiąc, że wszyscy ludzie są podstępni. W ten sposób chciał mnie natchnąć nienawiścią do całego rodu ludzkiego. Gdy Henryk mnie tu przyniósł, myśleliście zapewne, że nic nie umiałam, a ja byłam tylko przestraszona, przebaczcie mi, przez kilka dni zdawało mi się, że się dostała w ręce złych ludzi i chciałam uciekać. Wiecie co mnie do was nawróciło, do was i do prawdy? Wy sami. Obraz waszego życia, Magdaleno. Gdym widziała, jak jesteście kochani i szanowani przez męża i syna. Następnie gdym widziała tych robotników dobrych i szczęśliwych, jak kochali i czcili pana Starr, którego sądziłam, że są tylko niewolnikami. Następnie, gdy poraż pierwszy ujrzałam całą ludność Aberfoyle, klęczącą w kaplicy, modlącą się i dziękującą Bogu za Jego dobrodziejstwa, powiedziałam sobie: »Mój dziadek mnie oszukał«. Ale dzisiaj, gdy widzę jasno to, czegoście mnie nauczyli, sądzę, że sam siebie oszukiwał! Powrócę więc do niego drogami, które znam dokładnie. Musi na mnie czekać! Zawołam go... usłyszy, i kto wie, czy powróciwszy do niego, nie sprowadzę go na drogę prawdy?

Nie przerywano Nelli, wiedziano bowiem, że sprawi jej to ulgę, gdy wypowiedzi się ze wszystkiego, co miała na sercu.

Gdy umilkła wyczerpana, z oczyma łez pełnymi, Henryk zwrócił się do Magdaleny i zapytał.

– Matko moja, co byś powiedziała o człowieku, któryby opuścił szlachetne dziewczę, którego spowiedzi dopiero wysłuchaliśmy?

– Powiedziałabym, że ten człowiek jest podłym – odrzekła Magdalena, a gdyby tym człowiekiem był mój syn, wyrzekłabym się go i przeklęła!

– Słyszałaś Nello wyrok matki mojej – rzekł Henryk. – Gdziekolwiek pójdiesz, pójdę za tobą. Jeżeli chcesz jechać, pojedziemy razem...

– Henryku! Henryku! – zawołała Nella.

Ale wzruszenie było za silne. Dziewczę pobladło, wargi jej zbieleły i padła bez zmysłów w objęcia Magdaleny, która uprosiła inżyniera, Szymona i Henryka, by je same zostawiono.

Rozdział XXI

Wesele.

Groźba starego Silfaxesa zanadto była wyraźną, aby nie zwrócono na nią uwagi. Zachodziło pytanie, czy stary pokutnik nie posiadał w swym ręku jakiegoś środka, mogącego zniszczyć od razu całą Aberfoyle.

Stróże zbrojni ustawieni zostali przy różnych wejściach do kopalni, z rozkazem baczego śledzenia we dnie i w nocy. Każdy, przybywający miał być przyprowadzony przed Jamesa Starr, celem sprawdzenia jego tożsamości. Udzielono też wszystkim mieszkańcom Coal-City wiadomości o

groźbach Silfaksa dla całej kolonii, a ponieważ były pokutnik nikogo znajomego w kopalni nie miał, nie obawiano się zdrady. Nella również powiadomiona została o wszystkich przedsięwziętych środkach ostrożności i chociaż nie usunęło to jej obawy całkowicie, uspokoiło jednak znacznie. Postanowienie zaś Henryka, ogłoszone w obecności wszystkich, że pójdzie za nią gdziekolwiek by się udała, wystarczyło w zupełności aby zaprzestała myśleć o ucieczce.

Podczas tygodnia, poprzedzającego wesele, żaden wypadek nie zakłócił spokoju w Nowej Aberfoyle.

To też górnicy, nie przestając czuwać, pozbyli się tej paniki, która o mało co nie skłoniła ich do opuszczenia kopalni.

James Starr nie ustawał w poszukiwaniach starego Silfaksa. Ponieważ siwy starzec oświadczył, że Nella nigdy nie zaślubi Henryka, trzeba było przypuszczać, że się przed niczem nie cofnie, aby przeszkodzić temu małżeństwu. Najlepiej byłoby, gdyby go można schwytać, bez narażenia jego życia. Rozpoczęto więc znowuż poszukiwania w Nowej Aberfoyle. Przeszukiwano galerie aż do wyższych pięter, które przytykały do ruin zamku Dundonald w Irvine. Mniemano słusznie poniekąd, że Silfaks wydostawał się przez stary zamek na zewnątrz kopalni, aby się zaopatrzyć w żywność.

Co do »dam ognistych« James Starr domyślił się i słusznie, że gaz wybuchowy, wydobywający się w tej stronie kopalni, został zapalony przez Silfaksa. Wszelkie poszukiwania pozostały bezowocne.

James Starr, podczas tej nieustannej walki przeciw niepochwytnemu nieprzyjacielowi, był najniezwyklejszym z ludzi, chociaż tego po sobie poznać nie dawał. W miarę zbliżania się dnia ślubu obawy jego wzrastały, niemniej zaniepokojonym był także stary nadsztygar.

Nareszcie nadszedł dzień tyle upragniony.

Silfaks nie dawał znaku życia.

Od rana cała ludność Coal-City była na nogach.

Roboty w Nowej Aberfoyle zostały wstrzymane.

Dyrektorzy i robotnicy chcieli tym sposobem okazać swoje uznanie dla starego nadsztygara i jego syna. Spłacali tylko dług wdzięczności dwom ludziom odważnym i wytrzymałym, którzy przywrócili dawną świetność starej kopalni.

Ceremonia ślubna miała się odbyć o godzinie 11-ej zrana w kaplicy świętego Idziego, wystawionej nad brzegiem jeziora Malcolm.

O naznaczonej godzinie wyszli z folwarku Henryk, trzymając matkę pod rękę i Szymon Ford, prowadzący Nellę.

Za nimi postępował inżynier James Starr, niewzruszony na pierwszy rzut oka, ale w istocie przygotowany na wszystko i Jakób Ryan, w wspaniałym kostymie dudziarza.

Następnie szli inni inżynierowie kopalni, urzędnicy z Coal-City, przyjaciele i towarzysze starego nadsztygara; wszyscy członkowie tej wielkiej rodziny górników, która tworzyła odrębną ludność Nowej Aberfoyle.

Na dworze panował upał sierpniowy, który zwykle bywa nader przykrym w krajach północnych.

Powietrze burzliwe dochodziło aż do głębokości kopalni, gdzie

temperatura wzrosła w sposób anormalny. Czuć było nagromadzenie elektryczności w powietrzu napływającym przez szyby odświeżające i szeroki tunel Malcolm.

Można było zauważyć, że barometr w Coal-City zniżył się nagle. Zachodziło pytanie, czy naprawdę burza nie wybuchnie pod sklepieniem łupkowym, tworzącym horyzont olbrzymiej kopalni.

Co prawda, nikt wewnątrz kopalni nie troszczył się o zmiany atmosferyczne, zapowiadane na zewnątrz.

Wszyscy przywdziali na tę uroczystość najpiękniejsze stroje.

Magdalena włożyła kostium, przypominający dawne czasy. Na głowie miała przybranie starych matron szkockich, zwane »toy«, a na plecach powiewała »rokelay«, rodzaj mantyli w kraty, którą szkotki noszą z pewną elegancją.

Nella postanowiła nie dać poznać nikomu po sobie niepokoju. Wstrzymywała bicie serca, przygłuszała w niem tajemne obawy, okazując wobec wszystkich twarz pogodną i skupioną.

Odzianą była skromnie, a prostota jej stroju, którą wolała od najbogatszych kostymów, dodawała wdzięku jej postaci. Za całą ozdobę przypięła do głowy »snood«, kokardę z wstążki różnokolorowej, które kładą zwykle młode kaledonki.

Szymon Ford miał na sobie surdut, który byłby przywdział chętnie sam czcigodny Nichol Jarvie, Walter Scotta.

Wszyscy udali się do kaplicy św. Idziego, nader suto przybranej.

U stropów Coal-City lampy elektryczne, ożywione silnymi prądami, błyszcząły jak niezmierzone słońca.

Atmosfera świetlana zapełniała całą Nową Aberfoyle.

W kaplicy, lampy elektryczne rzucały jasne światło, a szyby kolorowane błyszcząły, jak żywe kalejdoskopy.

Czcigodny pastor William Hobson miał celebrować. Oczekiwał oblubieńców u drzwi kaplicy świętego Idziego.

Orszak zbliżał się, okrążywszy brzegi jeziora Malcolm.

W tej samej chwili zagrały organy i dwie pary, poprzedzane przez pastora, weszły do kaplicy.

Wezwano błogosławieństwa Bożego na całe zgromadzenie; następnie Henryk i Nella zbliżyli się sami do celebranta, który trzymał w ręku księgę świętą.

– Henryku – zapytał pastor – czy chcesz wziąć za żonę Nellę i przyrzec jej, że ją zawsze kochać będziesz?

– Przysięgam! – odrzekł młodzieniec głosem silnym.

– A ty, Nello, czy chcesz poślubić Henryka Ford, i...

Nella nie zdążyła odpowiedzieć, gdy nagle krzyk i hałas ozwały się na zewnątrz.

Jedna z tych ogromnych skał otaczających brzegi jeziora Malcolm, na sto kroków od kaplicy, rozpadła się nagle, bez huku, tak, jakby jej upadek przygotowany był wcześniej.

Poniżej wody jeziora wpadły z hukiem w głęboką otchłań, o której istnieniu nikt dotąd nie wiedział.

Naraz wśród skał zapadłych, ukazała się łódka, którą silna dłoń popchnęła na powierzchnię jeziora.

Na tej łódce stał starzec, w płaszczu z ciemnym kapturem, z włosami najeżonemi, z długą białą brodą, spadającą mu na piersi.

Trzymał w ręku swoim lampkę Davy'ego, w której błyszczał płomień, otoczony metaliczną tkaniną aparatu.

Równocześnie silny głos starca rozległ się dokoła:

– Gaz, gaz wybuchający! Biada wszystkim! biada!

W tej chwili lekki zapach, charakteryzujący obecność węglowodoru, rozszedł się w powietrzu. Powodem tego było zapadnięcie się skały, wypuszczającej ogromne masy gazu wybuchającego, zawartego w niezmiernych czeluściach, których otwory zatkałe były dotąd przez pokłady łupku. Kłęby gazu unosiły się ku sklepieniom górnym pod ciśnieniem pięciu do sześciu atmosfer.

Starzec sam znał istnienie tych czeluści i otworzył je nagle, czem wywołał huk donośny, który usłyszano w kaplicy.

James Starr i kilku górników, opuściwszy spieszenie kaplicę, biegło w stronę brzegów.

– Wychodźcie z kopalni! wychodźcie z kopalni! – krzyknął inżynier, który, zrozumiałszy ogrom niebezpieczeństwa, rzucił ten okrzyk trwogi u wejścia do kaplicy.

– Gaz! gaz wybuchający! – powtarzał starzec, popychając łódkę na szerszą wodę jeziora

Henryk pociągnął rodziców i narzeczoną i spieszenie opuścili kaplicę.

– Wychodźcie! wychodźcie z kopalni – wołał James Starr.

Zapóźno było uciekać!

Stary Silfax stał gotów do spełnienia swej groźby, aby przeszkodzić połączeniu Nelly z Henrykiem, nie wahał się zagrzebać całej ludności Coal-City pod gruzami kopalni.

Ponad jego głową krążył potworny harfang o białych piórach, czarno nakrapianych. Naraz człowiek jakiś rzucił się do wody i zaczął szybko płynąć w stronę łódki.

Był to Jakób Ryan.

Zamierzał obezwładnić szaleńca, zanim ten zdoła uskutecznić dzieło zniszczenia.

Silfax spostrzegł płynącego. W mgnieniu oka stłukł szkło lampki, wyrwał z niej knot zapalony i poruszył nim w powietrzu.

Grobowe milczenie zaległo nad całym zgromadzeniem.

James Starr, zrezygnowany, dziwił się, że nieunikniona eksplozja dotąd nie zniszczyła Nowej Aberfoyle.

Silfax zrozumiał, że gaz zbyt lekki do utrzymania się w dolnych warstwach powietrza, musiał się nagromadzić pod samem sklepieniem.

Skinął na harfanga, który natychmiast uchwycił w swe szpony knot

ognionośny i tak jak dawniej w sztolni Dochart, zaczął się z nim wznosić ku górze, w kierunku wskazanym mu ręką starca.

Jeszcze kilka sekund, a Nowa Aberfoyle istnieć przestanie.

W tej chwili Nella wysunęła swą rękę z dłoni Henryka.

Spokojna i natchniona zarazem, pobiegła na brzeg jeziora.

– Harfang! harfang! – zawołała dźwięcznym swym głosem – do mnie, chodź do mnie!

Wierny ptak, zdziwiony, zatrzymał się na chwilę, jakby się wahał. Nagle, widząc poznał Nellę, bo rzucając knot zapalony w wodę, zatoczył wielkie koło i przypadł do stóp dziewczęcia.

Warstwy powietrza pomieszanego z gazem wybuchającym nie zostały naruszone.

Krzyk straszny rozległ się z łódki. Był to ostatni jęk starego Silfaksa.

W chwili, gdy Jakób Ryan dosiądał łodzi dłonią, starzec widząc, że mu zemsta z rąk się wymyka, rzucił się w fale jeziora.

– Ratujcie go! ratujcie! – zawołała Nella rozdierającym głosem.

Henryk ją usłyszał; rzucił się w pław, dosięgnął Jakóba i kilkakrotnie dał nurka.

Ale wszystkie usiłowania były daremne.

Wody jeziora Malcolm nie oddały swej zdobyczy. Zwały się na zawsze nad starym Silfaxem...

Rozdział XXII

Legenda starego Silfaksa.

W sześć miesięcy po wyżej opisanych wypadkach, odbył się ślub Nelly i Henryka, w kaplicy św. Idziego, tak dziwnie przerwany za pierwszym razem.

Skoro pastor Hobson pobłogosławił związek, młodzi małżonkowie przybrani jeszcze w żałobę, powrócili na folwark.

James Starr i Szymon Ford, pozbywszy się wszelkiej trwogi, przewodniczyli uroczystej zabawie, która nastąpiła po ceremonii i przeciągnęła się do dnia następnego.

Jakób Ryan przybrany w swój piękny kostyum dudziarza, odniósł potrójny tryumf, śpiewając, grając i tańcząc równocześnie, przy głośnych oklaskach całego zgromadzenia.

Nazajutrz roboty wewnętrzne i zewnętrzne rozpoczęły się na nowo pod dyrekcją inżyniera Jamesa Starr.

Zbytecznym mówić, że Nella i Henryk byli szczęśliwi.

Te dwa serca, tak ciężko doświadczone, znalazły w swym związku szczęście, na które zasłużyły.

Co do Szymona Ford, honorowego nadsztygara Nowej Aberfoyle, żywił on nadzieję doczekania pięćdziesiątej rocznicy swego ślubu z dobrą Magdaleną, która również nic przeciwko temu nie miała.

– A po pierwszym jubileuszu będziemy czekać na drugi – mówił Jakób Ryan.

– Masz słuszność, mój chłopcze – odpowiedział spokojnie stary nadsztygar. – Cóżby to było dziwnego! W uroczym klimacie Nowej Aberfoyle, który nie zna zmian i pór roku, można tu doczekać lat dwustu!

Czy mieszkańcy Coal-City mieli kiedykolwiek być świadkami tej drugiej ceremonii? Przyszłość na to odpowie. W każdym razie, jeżeli kto miał doczekać nadzwyczajnej starości, to był nim harfang Silfaxes.

Zamieszkał on i nadal ciemne pieczary kopalni. Ale po śmierci starca, chociaż Nella próbowała go niejednokrotnie zatrzymać, uciekał zawsze po kilku dniach.

Towarzystwo ludzi nie podobało mu się tak samo, jak i jego dawnemu panu; prócz tego, zdaje się, zachował niechęć do Henryka; zasmucony ptak poznał i nienawidził w nim tego, który mu porwał Nellę.

Nella widywała go kiedy niekiedy, krążącego nad wodami jeziora Malcolm.

Czy chciał zobaczyć swoją dawną przyjaciółkę? Czy też chciał dosięgnąć okiem dna tych głębin niezmiernych, które pochłonęły Silfaxesa?

Obie wersje przyjęto i harfang przeszedł do legendy, która posłużyła Jakóbowi Ryan za temat do historii fantastycznej.

Dzięki temu wesołemu towarzyszowi, śpiewają dzisiaj jeszcze, podczas wieczornic szkockich, legendę o ptaku starego Silfaxesa, dawnego pokutnika kopalni Aberfoyle.

KONIEC

PZYPISY